

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 3/426

1983



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

AI. BESANÇON: **DRUGIE MILCZENIE KOŚCIOŁA**

M. BRANDYS: **TWARDY CZŁOWIEK**

Zb. BYRSKI: **NOWA FAZA REWOLUCJI**

TECHNOTRONICZNEJ

AI. GELLA: **INTELIGENCJA POLSKA NA OBCZYŻNIE**

SPIS RZECZY

Alain Besançon:	<i>Drugie milczenie Kościoła</i>	3
Marian Brandys:	<i>Twardy człowiek</i>	13
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	34
George Orwell:	<i>Orwell nadal aktualny</i>	48

WIERSZE

Jacek Kaczmarski:	<i>Dwie piosenki</i>	53
Leszek Szaruga:	<i>Nagle. — Tylko tak</i>	56
Tadeusz Szyma:	<i>Aksjomaty</i>	56
Witold Wirpsza:	<i>Krótkie przemówienie</i>	58

ARCHIWUM POLITYCZNE

Zbigniew Byrski:	<i>Nowa faza rewolucji technologicznej</i>	60
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli</i>	70

K R A J

Paweł Morga:	<i>Notatki</i>	82
Tomasz Mianowicz:	<i>Polityczny ruch oporu</i>	89
Nie-stały Czytelnik:	<i>List do Redaktora</i>	95

SPRAWY I TROSKI

Aleksander Gella:	<i>Inteligencja polska na obczyźnie</i>	97
Stanisław Gomułka:	<i>Studenci polscy kontynuują naukę w Wielkiej Brytanii</i>	110

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	113
Alexander Tomszky:	<i>Kronika czeska i słowacka</i>	120
T. K.:	<i>Kronika litewska</i>	121
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	122

KRONIKA KULTURALNA

Włodzimierz Odojewski:	<i>O Hilarym — próba syntezy</i>	127
Felicja Krance:	<i>Magdalena Abakanowicz</i>	131

CI, CO ODESZLI

Bolesław Sulik:	<i>Grażyna Kuroń</i>	135
-----------------	----------------------------	-----

POLEMIKI

—	<i>List do Redaktora „Kultury”</i>	139
Ks. Adam Boniecki:	<i>List do Redaktora „Kultury”</i>	148

KSIĄŻKI

Janina Katz Hewetson:	<i>Marek Nowakowski</i>	150
Witold Wirpsza:	<i>Dobre kompendium</i>	155
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	156



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	160
—	<i>K o m u n i k a t</i>	167



Zofia Hertz:	<i>Humor Krajowy</i>	168
St. Frankiewicz, W. Wirpsza,	<i>Listy do Redakcji</i>	169
W. Zalewski, A. Zieliński:	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	171
—	<i>Z ostatniej chwili</i>	173
Redaktor:	<i>Wyjaśnienie</i>	173
—	<i>Sprostowanie</i>	173

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Marzec - Mars

1983

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

M. i C. Barakońscy, Sherman Oaks, CA (USA), po raz 14-ty — \$ 58,00	F. 395,00
Anna i John Besemeres, Canberra, ACT — zamiast kwiatów na grób Stefana Żywczaka	F. 326,25
Bevel Stamping Co., Ltd., Downsview, Ont. (Kanada) — \$ c. 100,00	F. 548,00
Prof. Zbigniew Brzeziński, Washington, D.C., po raz 14-ty — \$ 1.000,00	F. 6.800,00
Geneviève Choudhuri i Bernard Cerelli — zamiast kwiatów na grób śp. Jadwigi Różańskiej — \$ 10,00	F. 68,00
Manfred Dąbkowski, Audincourt (Francja), po raz 7-my	F. 60,00
Wanda i Czesław Deminet, Albuquerque, N.M. (USA), po raz 12-ty — \$ 46,00	F. 313,00
Jacqueline Dyjas, Paryż — dla uczczenia pamięci niedawno zmarłego Ks. prof. Jana Szurleja	F. 200,00
Ryszard Fiks, Chicago, IL (USA), po raz 16-ty — \$ 8,00	F. 54,40
Leon Grobelny, Dearborn, MI (USA), po raz 4-ty — \$ 8,00	F. 54,40
Dr Jerzy Gintel, Caracas (Wenezuela), po raz 22-gi	F. 160,00
W. Iwanowski, Milton, MA (USA), po raz 22-gi — \$ 8,00	F. 54,40
Dr Zdzisław Jaworski, Ottawa, Ont. (Kanada), po raz 4-ty — \$ US 104,00	F. 707,20
Dr Jacek Jędruch, Pittsburgh, Pa (USA), po raz 7-y — \$ 8,00	F. 54,40
Edmund Kowalewski, Kelowna, B.C. (Kanada), po raz 9-ty — \$ c. 12,00	F. 66,00
Leszek Labno, Nussbaumen (Szwajcaria), po raz 4-ty	F. 225,00
Prof. Jerzy Langrod, Paryż, po raz 36-ty	F. 100,00
Prof. dr Kazimierz Laski, Wiedeń, po raz 8-my	F. 300,00
A. J. Luckevych, Palos Verdes, CA (USA), po raz 6-ty — \$ c. 55,00	F. 308,00
Wilhelm B. Matykiewicz, Plainview, N.Y. (USA), po raz 11-ty — \$ 8,00	F. 54,40
Witold i Renata Mikułowscy, Bujumbura (Burundi), po raz 4-ty	F. 330,00
Mamert Miż-Miszyn, Hohenbrunn (RFN) — zamiast życzeń świątecznych i Noworocznych — DM 60,00	F. 208,00
Michał Ochalski, Chicago, IL (USA), po raz 11-ty — \$ 8,00	F. 54,40
Bronisław Partyka, Wallington, NJ (USA), po raz 5-ty — \$ 8,00	F. 54,40
Jarosław Paszyński, Buena Park, CA (USA) — dla uczczenia pamięci ukochanej Żony, śp. Anny z Hutorowiczów, zmarłej 30 października 1982 roku — \$ 50,00	F. 340,00
P. E., : Helsingfors — F.M.K. 100,00	F. 100,00
Władysław Piegdoń, Milwaukee, WI (USA), po raz 6-ty — \$ 8,00	F. 54,40
Z. A. Pietrzyk, Bellevue, WA (USA) — \$ 20,00	F. 136,00
Tomasz Płodowski, Upper Montclair, N.J. (USA), po raz 15-ty — \$ 48,00	F. 326,50
François Prause, Paryż, po raz 23-ci	F. 100,00
Bolesław Rodowicz, Astoria, N.Y. (USA), po raz 3-ci — \$ 8,00	F. 54,40
Stefan Rose, Paryż, po raz 4-ty	F. 160,00
Kazimierz Rożankowski, Ocean Grove, NJ (USA), po raz 7-my — \$ 25,00	F. 170,00
Alexander M. Schenker, Hamden, CT (USA), po raz 13-ty — \$ 60,00	F. 408,00
M. Sienko, South River, NJ (USA), po raz 7-my — \$ 8,00	F. 54,40
Marian P. Sierant, Norwich, CT (USA), po raz 2-gi — \$ 8,00	F. 54,40

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 174)

Drugie milczenie Kościoła

Podobnie jak w religii, w polityce trzeba umieć nazwać przeciwnika. Trzeba go nazwać, aby przedmiot sporu był klarowny a cel walki jasno wytyczony, a także dlatego, że nazwanie go po imieniu będzie pierwszym dowodem odwagi i trzeźwości, które wreszcie umożliwią i spór, i walkę. Można by w tym miejscu zrobić zastrzeżenie, że chrześcijanin, a zwłaszcza mnich chrześcijański ma samych przyjaciół, skoro winien „kochać nieprzyjaciół swoje”. Nic nie wydaje mi się równie zgubne jak takie pomieszczenie kategorii. Nakaz kochania nieprzyjaciół zakłada bowiem, że dokonano uprzednio rozróżnienia między przyjaciółmi a nieprzyjaciółmi. Ponadto, jak słusznie pisze św. Tomasz, nic nie jest miłosierdziu równie wstrętne jak kochanie nieprzyjaciół jako nieprzyjaciół. Znaczy to bowiem „miłość do zła bliźniego”, a nawet „miłość do zła w bliźnim”, i oto ześlizgujemy się z zasad Ewangelii w stronę pacyfizmu Tołstoja albo masochizmu Dostojewskiego, z którymi się je niekiedy myli (p. *SUMMA* IIa, IIae, qu 25, ad 8). Jednak to pomieszczenie kategorii nie jest bez udziału w upokarzającym strachu, jaki wpoili nam nasi główni wrogowie, wzbraniający nam nazwać ich pełnym głosem wrogami. Nasz strach idzie w ten sposób na konto miłosierdzia.

W głębi serca każdy wie, kim są główni wrogowie rodzaju ludzkiego w XX wieku: hitlerowski nazizm i leninowski komunizm.

Kościół miał dość czasu, by nie tylko nazwać, ale wręcz wykrzyknąć ich imię w czasach, kiedy ich nacisk nań nie był jeszcze zbyt silny: taki był cel dwu encyklik ogłoszonych w odstępie pięciu dni w 1937 roku, *Divini redemptoris* (o komunizmie) i *Mit brennender Sorge* (o hitleryzmie). Wówczas nie było jeszcze

możliwe pełne rozpoznanie tych dwu plag tak trudnych do ogarnięcia umysłem, bo wykraczających w znacznej części poza obręb tego co ludzkie, a także dlatego, że nie rozwinęły jeszcze w pełni swych skrzydeł (przynajmniej jeśli idzie o hitleryzm). Kiedy jednak niebezpieczeństwo wzrosło, Kościół, zamiast kontynuować analizę, by postawić przed całym światem jasną diagnozę, stanął niczym porażony. Zapanowało milczenie, lub raczej dwa następujące po sobie milczenia. Pierwsze jest słynne. Mam na myśli milczenie pontifexa rzymskiego, niemal na pewno poinformowanego (podobnie jak równie milczący Roosevelt i Churchill) o „ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej”. Jest jednak i drugie milczenie, to, które Kościół zachowuje od 1964 roku. Gdy papież Pius XII w słowach nie pozostawiających wątpliwości potępił komunizm, a 322 biskupów zażądało, by został napiętnowany „jako taki” w dokumencie soborowym, z powodów nie wyjaśnionych jeszcze przez historię petycja ich nie została nawet poddana pod dyskusję, zniknęła gdzieś, przepadła, i od tego czasu samo słowo „komunizm” zniknęło z dokumentów kościelnych. Minęło prawie dwadzieścia lat. Przez ten czas komunizm dokonywał na Ziemi coraz głośniejszych, powszechnie znanych zbrodni: niekiedy przyznawali się do nich sami ich sprawcy. Ideologia komunizmu pod różnymi formami przenikała do ciała Kościoła, do jego myśli, jego języka, jego kleru. Im obecność komunizmu była agresywniejsza, groźniejsza, straszniejsza, tym rzadziej nazywano go po imieniu. Jan Paweł I odważył się przez okamgnienie wspomnieć po łacinie imię Lenina. Odtąd zapadła jeszcze głębsza cisza.

Kiedy się jednak wzbrania dojrzeć coś równie fundamentalnego w swym polu widzenia, wypacza się cały obraz, zdeformowany nieuchronnym promieniowaniem punktu ciemności. Stwierdzić to można na wielorakie sposoby.

Milczenie wymaga uzasadnienia. Istniało coś, co przyjęto nazywać „społeczną doktryną” Kościoła, wypracowaną głównie za pontyfikatów Leona XIII i Piusa XI. Zwykła ona przeciwstawiać sobie nawzajem dwa kierunki równie sprzeczne z doktryną Kościoła, liberalizm nowoczesnych systemów politycznych i socjalizm, zrodzony w tych systemach i pragnący je zreformować. Dychotomię tę Kościół utrzymał, deformując ją i amplifikując, aby odpowiedzieć na wyzwanie komunizmu. Kościół milcząco uznał, że należy potępić po równi, *symetrycznie*, „kapitalizm” i bolszewicki „socjalizm”. Nie zwrócił przy tym uwagi, że wchodzi w ten sposób bezwiednie w świat ideologii. W rzeczywis-

tości dualizm ideologiczny dzieli świat na dwie antagonistyczne *rzeczywistości*, z których jedna ma skapitulować przed drugą. Te dwie rzeczywistości określa się mianem kapitalizmu i socjalizmu. Naprawdę jednak oba te pojęcia, dalekie od objęcia pełnego obrazu rzeczywistości, gruntownie przeciwdziałają rozpoznaniu jej. Normalne, spontaniczne, nieskończone złożone funkcjonowanie nowoczesnego społeczeństwa nie da się sprowadzić do pojęcia kapitalizmu, które tylko w ideologii marksistowsko-leninowskiej ma precyzyjną konotację. Grzechem pojęcia kapitalizmu jest jego niewystarczalność. Idei socjalizmu zaś absolutnie nie udało się wcielić w życie. Społeczeństwo socjalistyczne nie istnieje, istnieje tylko ideokratyczna dominacja partii nad zrujnowanymi i zatomizowanymi resztkami społeczeństwa. Grzechem pojęcia socjalizmu jest jego ekscesywność. Utopia u władzy pozostaje utopią: ogromny aparat służący materialnemu, intelektualnemu i duchowemu zniewalaniu bezustannie stara się nadać pozory realnego istnienia czemuś, co nie istnieje.

Jest więc bardzo niepokojące, że hierarchia katolicka podejmuje tę dychotomię i przeprowadza swojego rodzaju ontologiczne równanie między naszym światem, zwanym światem kapitalistycznym, a światem zwanym socjalistycznym. Jeśli uznać, że socjalizm istnieje, powołany on jest do tego samego co wszelka rzecz pod słońcem, do poddania się prawu Bożemu: należy go zatem *nawrócić*. A skoro przyjmuje się go *à la lettre*, jako częściowo już zrealizowany projekt ustanowienia na Ziemi „sprawiedliwości społecznej”, jedyną możliwą krytyką wobec niego jest wskazywanie na jego odstępstwa od pierwotnego zamierzenia. Kościół będzie więc wytaczał wobec niego zarzuty z dziedziny „praw człowieka”, żądał odeń większej wierności własnym zasadom i projektom społecznym i domagał się zgody na „duchowy suplement”, jakim byłoby uznanie religii. Tym sposobem Kościół kompletnie mija się z celem. O komunizmie należy powiedzieć nie, że jest niesprawiedliwy, tyrański czy ateistyczny, ale przede wszystkim, że jest *fałszywy*, że nie istnieje, że jest kłamstwem podniesionym do wyżyn zasady powszechnej. Sam fakt przyjęcia za dobrą monetę, choćby dla celów krytycznych, jego projektu etycznego, jego pretensji filozoficznych czy jego „dokonań” równoznaczny jest z przyznaniem mu konsystencji ontologicznej, której nie posiada, i prowadzi do tego, co Solżenicytny słusznie piętnuje jako *osobiste uczestnictwo w kłamstwie*, nieodwracalne ustępstwo wobec ideologii. Jeśli z drugiej strony sprowadzić nasz świat do pojęcia „kapitalizmu”, niezliczone niesprawiedliwości, które się w nim co dzień zdarzają nabierają sensu i znajdują przyczynę: kapitalizm. Jeśli zatem uznamy, że kapitalizm (a nie nasz rzeczywisty świat, dla którego nie jest

on wystarczającą definicją) istnieje, trzeba go przezwyciężyć. Kościół wysunie więc wobec niego żądania znacznie radykalniejsze niż wobec socjalizmu, jeśli bowiem kapitalizm istnieje, jest z natury swej niesprawiedliwy. Wzywać się zatem będzie do zmiany jego „struktur”, z natury „niesprawiedliwych” i „nie do zaakceptowania”. W ten sposób dokonamy dalszego kroku w stronę ideologii. Socjalizm wymaga poprawek, a kapitalizm zmiany: w gruncie rzeczy socjalizm nie twierdzi niczego innego.

Choć za wcześniej może na wyciąganie takich wniosków, choć spór nie jest jeszcze zamknięty, skutki błędnego punktu wyjścia można dostrzec w finale polskiej rewolucji.

Rzecz nie w tym, by w najczarniejszych latach stalinizmu Kościół polski nie był zdolny do trafnej diagnozy. W swym oświadczeniu na soborze 20 września 1965 roku prymas kardynał Wyszyński dowodził, że nie sposób mówić o *jednym* świecie nowoczesnym, skoro istnieje i inny: „świat ukształtowany wedle zasad *diamatu*” (*dialektickeskiej materializm*). Jak widzimy, Wielki Kardynał nie nadaje socjalizmowi żadnej, ale to żadnej konsystencji. Nasz świat nie jest podzielony na dwoje, ale nie stanowi też *jedności*, ponieważ pewna jego część została odeń oderwana i przekształcona przez ideokratyczną partię „zgodnie z zasadami *diamatu*”. Socjalizm nie istnieje, zamiast niego powstało natomiast *państwo diamatu*. Nie sposób jednak, dorzuca Wyszyński, zawrzeć przymierza czy podpisać jakiegokolwiek umowy z *państwem diamatu*, ponieważ neguje ono istotę prawa: „Prawa osoby ludzkiej są całkowicie podporządkowane celom rewolucji. Jednak nawet tak ujęte nie są one niczym stałym, przeciwnie, są funkcją 'woli klasy panującej z mocą prawa'. *Diamat* podważa i odrzuca wszelkie stałe normy prawne i wszelkie stałe zasady. W świecie, którym rządzi nie istnieją ani ład społeczny, ani nie-tykalne zasady, ani odwieczne idee. (...) Pojęcie prawa ustępuje w nim przed pojęciem celu, który uświęca środki, z przemocą i zniewalaniem włącznie. W chwili gdy *diamat* osiąga swój cel, porzuca środki, które straciły rację bytu. Dziś służą jako oręż w walce, jutro się je odrzuci. To samo dzieje się z umowami, układami czy konwencjami podpisywanymi ze względów taktycznych, ale bynajmniej nie traktowanymi przez świat *diamatu* jako wiążące, podczas gdy druga strona uważa się za moralnie zobligowaną. Ugoda między Kościołem a *państwem diamatu* wiąże Kościół, wcale natomiast nie wiąże państwa z chwilą, gdy osiągnie swój cel, którym jest zniewolenie Kościoła. Wszelka zawarta umowa na dla państwa wartość wyłącznie praktyczną, neutralizuje przeciwnika, wcale natomiast nie ma siły prawa. 'Przeciwnik' natomiast, czyli Kościół, ma honorowy obowiązek dotrzymać obietnic. Tym sposobem żaden układ z *państwem dia-*

matu nie zapewnia Kościołowi bezpieczeństwa. Nie istnieje żadna norma prawna, zabezpieczająca człowieka dziś przed złamaniem jej jutro. W tych warunkach liczy się tylko jedno: autorytet moralny Kościoła, wiara i stałość wiernych”.

Warto było zacytować dłuższy fragment tego oświadczenia, ogłoszonego pod szacowną kopułą, bo stanowi ono chyba szczyt jasności widzenia, na jaki kiedykolwiek zdobyły się doczesne władze duchowne w obliczu tak śliśkiego wroga.

Kiedy się zaczęła polska rewolucja, ta szlachetna walka społeczeństwa cywilnego o wyemancypowanie się od *państwa diamatu*, przed przywódcami jej zarysowały się dwie drogi. Pierwsza polegała na publicznym oświadczeniu, że socjalizm nie istnieje, jego ideologia jest jałowa a władza bezprawna. Taka droga wystawiłaby Polaków na duże ryzyko. Istniały jednak pewne szanse, że zadając przeciwnikowi cios w serce, ogłaszając publicznie, że król jest nagi, uda się nim zachwiać. Jeśli nie, uwolniono by przynajmniej zmobilizowane masy od ciężaru kłamstwa, które im się klei do skóry i przywrócono by im godność i prawdę. Inna droga, ta, którą w zasadzie wybrano, polegała na praktycznym poszerzaniu obszaru wolności społeczeństwa cywilnego. Dokonywano rewolucji nie nazywając jej po imieniu, w nadziei że poddane zmasowanemu naciskowi *państwo diamatu* zrezygnuje ze swej monopolistycznej wszechwładzy i zadowoli się ograniczoną sferą administracji. Bezpośrednie ryzyko takiej drogi było niewątpliwie mniejsze. Istniały jednak inne, niemniej groźne niebezpieczeństwa. Po pierwsze: wyzwolenie spod władzy, której rządy oparte są na dyktacie kłamstwa, martwocie języka i kontroli nad Słowem dokonuje się poprzez prawdę, powrót do żywego, spontanicznego języka, odzyskanie przyjątego znaczenia słów. Jeśli tego zabraknie, zmusza się masy do „osobistego uczestnictwa w kłamstwie”, co je osłabia, dezorientuje i atomizuje, nawet jeśli doskonale wiedzą, jaka jest prawda. Po drugie, przyznanie *państwu diamatu* choćby cienia tytułu do nazywania się „socjalistycznym” wystawia nas na walkę fałszywymi nabojami, które wypaczają świadomość celu batalii. Domagając się uparcie *dialogu* z władzami, zaczyna się koniec końców żywić nadzieję, że uda się skłonić partię komunistyczną do utożsamienia się z dobrem narodu polskiego i postrzega się walkę między polskim *społeczeństwem* i międzynarodowym ruchem komunistycznym jako konflikt między polskim *narodem* i imperium rosyjskim, co nie odpowiada prawdzie. Doszedłszy do punktu, w którym poprzez nieustanny „dialog” nadało się przeciwnikowi znamiona prawomocnego istnienia, pozostaje tylko skapitulować i ratować życie, kiedy przeciwnik okazuje się silniejszy i postanawia skoń-

czyć z tą zabawą. Można poświęcić życie dla prawdy (nazywa się to męczeństwem) i dla wolności (wówczas nazywamy to męstwem). Jednak w ustroju tego typu odzyskanie wolności tożsame jest z rewindykacją prawdy. Jeśli rezygnuje się z prawdy, wolność traci smak, a cena jej wydaje się wygórowana.

W dzień po (wojskowym) ataku partii i zdławieniu Solidarności abp Glemp, nowy prymas Polski, ostrzegał przed zbyt silnym oporem: „Może to nie przynieść rezultatu, bo władza w stanie wojennym nie jest — jak powiedziałem — władzą dialogu, przynajmniej w zasadniczej części władza uważa, że wyjątkowość stanu wyjątkowego podyktowana jest wyższą koniecznością, jest wyborem mniejszego zła zamiast największego. Przyjmując prawdziwość takiego rozumowania, przeciętny człowiek podporządkuje się nowej sytuacji” (kazanie z 13 grudnia 1981).

Rozumowanie jest proste: państwo *diamatu* stanowi część wspólnego dobra społeczeństwa. Kardynał twierdził w 1965 roku, że „państwo *diamatu* w żadnej mierze nie służy wspólnemu dobru. Samo pojęcie wspólnego dobra robi się mętne i bezcielesne i nie może stanowić normy praw człowieka i praw państwa”. Tymczasem Konferencja Episkopatu Polskiego oświadcza natychmiast po wzięciu w obronę „drastycznie ograniczonych praw obywatelskich”, że „broni również państwa jako wspólnego dobra”. Tego samego państwa *diamatu*, o którym mówił kardynał. Apostołowie modlili się za Nerona (umierając w imię prawdy), bo zapewniał korpusowi politycznemu minimum egzystencji. Prymas zaś podtrzymuje błagalny dialog z państwem komunistycznym, chociaż nie godzi się ono na wspomniane wyżej minimum i pragnie zmiażdżyć społeczeństwo. Jedyne co pozostaje to życie bez godności, indywidualne biologiczne życie, bez prawdy, która nadaje mu znamiona życia ludzkiego.

Ponieważ taką kapitulację trzeba uzasadnić, prymas musi poczynić dalszy krok i oto oświadcza: „To nic, że ktoś może Kościół oskarżać o tchórzostwo, o kunktatorstwo, o rozładowywanie radykalnych nastrojów. Kościół broni każdego życia ludzkiego, a więc w stanie wojennym będzie wołał, gdzie tylko może, o spokój, o zaniechanie gwałtów, o zażegnanie bratobójczych walk. Nie ma większej wartości nad życie ludzkie!”.

Chciałbym być dobrze zrozumiany. Ani przez sekundę nie zarzucam prymasowi jego politycznej decyzji niesprzeciwiania się sile. Była to, jak każda decyzja polityczna, decyzja koniunkturalna: historia ją osądzi. Ja sądzić jej nie zamierzam. Powodowany duszpasterską troską, chcący uniknąć masakry prymas miał prawo

błagać swój naród, by nie stawiał do bronii. Ale jako biskup nie miał prawa poprzec tego błagania twierdzeniem, że zgodnie z zasadami chrześcijaństwa życie ludzkie jest najwyższą wartością. Pismo święte uczy wprawdzie, że życie ludzkie jest wielką wartością, uczy jednak także, że należy umieć je poświęcić w imię wartości odeń wyższych, takich jak zbawienie duszy czy wiara w prawdziwego Boga. Gdyby życie ludzkie i pokój były wartościami najwyższymi, Juda Machabeusz nie byłby wiecznie przywoływany jako wzór. Poza poświęceniem się dla celów wyższych ludzie mogą też narażać życie dla celów ziemskich. Kościół nie tylko nigdy nie potępiał walki *pro aris et focis*, zbrojnej walki na śmierć i życie w obronie honoru, sprawiedliwości i tego minimum wolności, bez którego nie ma godnego życia ludzkiego, ale wręcz przeciwnie, pochwalał ją. Walka przeciw niszczeniu lub wypaczeniu Stworzenia jest słuszna, bowiem Stworzenie jest dobre.

Jak było możliwe przejście od problematycznej decyzji politycznej do katerycznego stwierdzenia fałszywej zasady?

Sądzę, że przypisać je należy znowu uporczywemu milczeniu na temat komunizmu i usprawiedliwiającej symetrii z kapitalizmem, w jakiej się go plasuje. Obdarzony tym samym stopniem rzeczywistego istnienia co nasz świat, „socjalizm”, jak wszelka rzecz pod słońcem, nie może być absolutnie zły. A skoro samo jego istnienie nie stanowi, jak się zakłada, zagrożenia dla natury i zbawienia człowieka, nie ma powodu zwalczać go z narażeniem życia. W ten sposób życie, którego bydlęcego poniżenia w socjalizmie nie chce się przyznać, staje się najwyższą wartością.

Znamy i inne zastosowanie tej zasady, tym razem na skalę planetarną, w postaci inspirowanego przez Kościół ruchu pacyfistycznego. Spór wokół bronii nuklearnej doszedł w tej chwili w Stanach Zjednoczonych do apogeum, sięgając w dziedzinę etyki i teologii. Jeśli dobrze pojmuję, biskupi amerykańscy rozumują jak następuje: wojna obronna jest zasadna, jeśli zastosowane środki są proporcjonalne do celu. Tymczasem broń atomowa wprowadza dysproporcję między środkami a celami. Jest to broń absolutna, której użycie może uzasadnić tylko zło absolutne. „Socjalizm” nie jest złem absolutnym, a „kapitalizm” (czyli nasz normalny, rzeczywisty świat) ze swymi nadużyciami i niesprawiedliwością nie jest absolutnym dobrem: i jeden i drugi są dobrem i złem względnym. Zatem broń nuklearna nie może być uznana za dopuszczalny oręż w walce między nimi.

Jeśli chodziło o konflikt podobnej natury jak np. w XIX wieku między Francją a Niemcami, rozumowanie to byłoby poprawne. Pomija ono jednak zasadniczą asymetrię, której niewątpliwym dowódem wszak istnieje: prawo a ściślej mówiąc obo-

wiązek zniszczenia „kapitalizmu”, jaki sobie zawsze uzurpował komunizm, czyli prawo do zniszczenia rzeczywistego świata wszystkimi dopuszczalnymi środkami z bronią atomową włącznie, jeśli tylko będzie to militarnie możliwe a politycznie wskazane. Nie istnieje symetria między tym co jest — choćby było niedoskonałe — a agresywną nicością. Jeśli Kościół z drugiej strony przyzna rację Celsusowi i Machiawellemu i uchyli się od swego obowiązku bycia *defensore civilitatis, polis* w obronie własnej odwróci się od Kościoła. Uchybianie naturze nie uchodzi bezkarnie.

Powiedziałem wyżej, że utrzymywanie punktu ciemności w środku pola widzenia całe je w końcu wypacza. Milczenie Kościoła draży go i powoli wyprowadza na manowce. Ontologiczne równanie czy też symetryczne przyrównanie kapitalizmu do socjalizmu, będące u zarania niczym innym jak fałszywą interpretacją rzeczywistego faktu, wpływa w końcu na całość systemu teologicznego i godzi nawet w depozyt wiary. Nazwijmy to wypaczenie po imieniu: chodzi o spirytualizm.

Intelektualna i uczuciowa struktura spirytualizmu najlepiej pasuje do odmowy stawiania kwestii komunizmu i do symetrycznego widzenia świata. W wielkim porwywie unanimitycznym pozwala ona zaprzeczyć podziałowi świata, z egzaltacją witać jego stopniową unifikację i zrastanie się różnych jego części. Encyklika *Gaudium et Spes*, która zawiera skądinąd wiele cennych myśli, oświadcza z ni to saint-simonowskim, ni to teilhardowskim entuzjazmem: „Dzięki mnożącym się środkom wymiany między narodami rodzina ludzka zaczyna stopniowo czuć i kształtować się jako wspólnota w łonie wszechświata” (33, § 1). I dalej: „W ten sposób rodzi się powoli bardziej uniwersalny typ cywilizacji (*universalis*), który sprzyja jedności rodu ludzkiego i odzwierciedla ją przez sam fakt poszanowania dla odrębności każdej kultury” (54). Przeciwno tej właśnie globalizującej filozofii protestował Wielki Prymas, zwracając uwagę uczestników Soboru na nieodwracalne rozdarcie jakie w ten rzekomo jednoczący się świat wprowadza *państwo diamatu*. Otwierając czule ramiona na przyjęcie całego świata, spirytualizm pozwala go zarazem krytykować, ale z pozycji jedności i znowu symetrycznie. Zarzuca mu mianowicie, że hołduje materializmowi. Materializm jest jeden, tak jak i świat, choć ma dwa oblicza, teoretyczny materializm świata socjalistycznego i praktyczny materializm świata zachodniego. Ten paralogizm o zadziwiającej naiwności sprowadza więc do wspólnego mianownika materializmu teorię marksizmu-leninizmu i nadmierną pogoń za dobrami materialnymi, powszechną w naszym zachodnim świecie (byłaby ona równie powszechna

w świecie sowytyzmu, gdyby istniały tam dobra materialne). Pomieszano w ten sposób dwa różne porządki, z których jeden wymaga krytyki intelektualnej, a drugi krytyki moralnej.

Komunizm na takiej krytyce uciepieć nie może: dokonał on zniszczenia materii na skalę nie spotykaną dotychczas w historii. Pochwały tego spirytualizmu praktycznego słyhać czasami z ust kompetentnych dostojników Kościoła, którzy w obliczu tamtego świata, wypranego nie tylko ze zbytku ale i z towarów pierwszej potrzeby, pozbawionego bogactw, urody, prawdy i prawa zapewniają, że łatwiej tam o prawdziwe „chrześcijaństwo” niż w naszym świecie, przeładowanym „materią”. Natomiast w nasz świat krytyka ta uderza z całą mocą, atakując jego materialną naturę, jego prawdziwy charakter, jego integralność rzeczy stworzonej. To co niegdyś kontemplowano z radością jako twór Boga spirytualista uważa jedynie za haniebny nadmiar materii. Bogactwo, przyjmowane (i rozdawane) niegdyś wśród dziękczynnych modłów, staje się wstydlwym i bezprawnym *impedimentum*; wkrótce i zwykły dostatek spotka ten sam los. Prawo, a w szczególności prawo do własności, staje się przeszkodą na drodze do eterycznych sfer ducha. Spirytualista nie uważa człowieka, który działa we własnym interesie, oblicza zyski i ostrożnie pnie się po hierarchicznej drabinie dóbr. Spirytualista pragnie absolutnej bezinteresowności, rezygnacji ze stanu posiadania, entuzjazmu dla istoty. Spirytualista gardzi krętymi, żmudnymi, niedoskonałymi ścieżkami polityki. Instynktownie szuka magicznego skrótu, katapulty, która go wyniesie (*Aufhebung*) automatycznie w sferę mistyki, nad którą polityka nie ma władzy. Jak Lamartine, o którym powiadano, że nie siadał w Izbie ani po prawicy, ani po lewicy, tylko na suficie. W ten sposób spirytualista ma nadzieję przezwyciężyć tragiczny rozłam między „kapitalizmem” a „socjalizmem”. Jednak ten ostatni odnosi zwycięstwo za zwycięstwem, bo nasz świat nie może się „uspirytualizować” inaczej niż przestając istnieć, podczas gdy niewiele trzeba, by praktyczny spirytualizm świata komunistycznego nałożył sobie koronę spirytualizmu teoretycznego: wystarczy, by zrozumiał, że przejście na ten język leży w jego interesie. Są w Kościele ludzie, którzy ze wszech sił starają się go o tym przekonać.

Jest jeszcze inny aspekt spirytualizmu, który nęci trwający w milczeniu i obstający przy duchu symetrii Kościół: jego abstrakcyjny uniwersalizm. Mniej zwracając uwagę na ludzi niż na Człowieka, spirytualizm zaciera granice, zapomina o historii i wszystkiego oczekuje od przyszłości. W dziedzinie religii pierwszeństwo daje uniwersalistycznemu „posłaniu” kosztem konkretnych warunków, w jakich mozołnie stawiał krok za krokiem lud Boży i skromnie rozprzestrzeniało się Objawienie. W kolejnym

przypływie ducha symetrii spirytualiści zechcą postawić na jednym planie Żydów i muzułmanów, złączonych z chrześcijanami wiarą w jedynego Boga. Zapomną przy tym, że wiara Żydów zrodziła chrześcijan, ale nie muzułmanów, i że wiara chrześcijan w Chrystusa prowadzi wstecz do Abrahama i Mojżesza, ale nie do Koranu, choć Księga ta poświęca Mu wiele miejsca. Fakt, że „pośłanie” takie, nawet jeśli jest ono „monoteistyczne”, z łatwością wszyscy mogą podzielać pozwala zapomnieć o naturalnej solidarności między poszczególnymi rodzinami ludzkimi, która winna łączyć chrześcijan między sobą i wiązać ich z Żydami.

Aktem, z którym spirytualizm natychmiast się utożsamiał, nawet jeśli nie odzwierciedla on wszystkich jego aspektów — za wcześniej na ocenę — było przyjęcie Yassera Arafata w Rzymie. W jego osobie zatriumfowała antymateria, bowiem ten terrorysta nie jest przyjacielem świata takiego jakim on jest, a z teoretycznego punktu widzenia reprezentuje Nędzarza przez duże „n”. Triumfował jednak również uniwersalizm, bowiem ta wizyta, tak obiecująca dla Człowieczeństwa, napawała rozpaczą zarówno Palestyńczyków, muszających się utożsamiać z Arafatem, jak i chrześcijański naród libański, którego Rzym nie zechciał przyjąć, bo „trzyma broń w ręku”, jak wreszcie Żydów, obrażanych ze wszystkich stron. Dlatego też prezydent Izraela natychmiast przypominał pierwsze milczenie Kościoła, za Piusa XII. Tymczasem przyjęcie Arafata więcej ma wspólnego z jego drugim milczeniem, choć warto zauważyć, że w tym przypadku drugie milczenie praktycznie tożsame jest z pierwszym.

Ostatnim skutkiem milczenia Kościoła jest bezustanny potok słów, który musi on z siebie wylewać, by zrekompensować swoje milczenie i zapomnieć o zalegającej ciszy. Wokół wiecznie przemilczanego punktu centralnego, wokół nigdy nie wypowiedzianego decydującego słowa narasta niebotyczna góra enuncjacji kościelnych, bo trzeba przecież mówić, wciąż mówić i mówić, aby nikt nie spostrzegł że się mówi o niczym. Jednak milczenie staje się z każdym upływającym rokiem cięższe, a słowa puste, bo nieskończone zastępy ciał i dusz wciąż giną w milczeniu, a ich obrońca nie staje w ich obronie, nie dodaje im otuchy, nie woła o pomstę ani nie wystawia im pomnika chwały.

Alain BESANÇON

(Z upoważnienia Autora przełożyła z francuskiego Julia JURYS)

Twardy człowiek

Alinie i Ryszardowi Rodziewiczom

Tak mogło być

Tadeusz Konwicki:
„Kompleks Polski”

Zdarzyło się to w pierwszych dniach lutego smutnej pamięci roku 1968, ściślej daty nie podaje żaden miarodajny przekaz. Podobnie rzecz się ma z innymi szczegółami tej historii. Nic nie jest w niej ściśle określone, całkowicie pewne, wyświetlone do końca. Wszystko trzeba żmudnie wyprowadzać i zestawiać z różnych, nie wzbudzających pełnego zaufania, pół- i ćwierćdowodów: z anonimowych rewelacji ogłaszanych w prasie zagranicznej, z wywiadów i wspomnień o podawanej w wątpliwość autentyczności, z niechętnych urywkowych napomknęć osób różnego stopnia wtajemniczenia. Niemożność dokładnego ustalenia stanu faktycznego nieodległych przecież zdarzeń nie powinna dziwić. Często tak bywa przy próbach odtwarzania zaciemnionych celowo epizodów niedawnej przeszłości. Niezależnie jednak od szczupłości i niepewności dostępnych świadectw, instynkt pisarza historycznego mówi mi, że wszystko musiało się odbyć właśnie tak, jak sobie wyobrażam. A jeśli odbyło się nieco inaczej — to jedynie w nieistotnych, drugoplanowych szczegółach.

Polski przywódca przyjechał na spotkanie zmęczony, w najfatalniejszym humorze. Podróż z Warszawy do przygranicznej puszczy była długa i ciężka, przerywana parokrotnie nieoczekiwanymi przeszkodami terenowymi i koniecznością przepychania się przez bryłę topniejących lutowych śniegów. Przez całą drogę

dreńczyły go złe myśli. Od początku nie miał serca do tej dziwacznej wyprawy. Już sam sposób przekazania mu propozycji spotkania — bez zwykłych w takich razach uzgodnień przygotowanych na niższych szczeblach, niedopuszczalnie osobistym „gorącym telefonem” — urągał wszelkim zasadom protokolarnym, utartym w stosunkach między bratnimi krajami. I głos tamtego — pośpieszny, nagły, załamujący się z emocji... Wszystko to pachniało niedowarzoną improwizacją, czego polski przywódca serdecznie nie znosił. Ale odrzucić propozycji nie mógł. Chodziło o sprawy zbyt ważne. Dla obu krajów.

Jego zły humor znalazł sobie ujście, kiedy samochód zatrzymał się przy szlabanie, zamykającym dostęp do utajonej w głębi przygranicznych borów rządowej rezydencji, i z domku strażniczego wysypało się na spotkanie dostojnego przybysza kilka służalczo uśmiechniętych osób. Dał wtedy pokaz jednego ze swych słynnych wybuchów wściekłości. Skąd do ciężkiej i nagłej nabrało się tyle tego tałatajstwa?! Czy sądzą może, że zamierza urządzić tu dla nich bankiet z popijawą?! Czy zarządzenia jego nic już w tym kraju nie znaczą?! Zastrzegł przecież najdalej posuniętą dyskrecję!...

Pokorni i przestraszeni (jakkolwiek nie był już tym co dawniej, ciągle jeszcze drżeli przed jego gniewem) tłumaczyli mu uniżenie, że zalecenia jego zostały wypełnione... Że właśnie tak, jak sobie życzył: tylko najpewniejsi z pewnych...

Zbyt te usprawiedliwienia pogardliwym parsknięciem. Znał owych „najpewniejszych z pewnych”. Poznał ich w trudnych latach 1948-1949, kiedy odzegnawali się od niego po kolei. I teraz — w ostatnich miesiącach — kiedy poddając się nowym wiatrom prześlizgiwali się chyłkiem na stronę jego przeciwników. Nie wątpił, że wszystkie szczegóły poufnego spotkania jeszcze tego samego dnia będą przekazane Generałowi Policji.

Gramoląc się z samochodu, stracił sobie z głowy futrzaną czapę i błysnęła na chwilę jego ogromna różowoszara łysina. Kiedy naród przestał go już kochać — w co jemu samemu do końca trudno było uwierzyć — poczęto się w nim dopatrywać różnych uwłaczających podobieństw. Pewien opozycyjny satyryk napisał wyszydzający utwór, w którym nazwał go „Gnomem”, i chociaż zuchwałego pismaka wtrącono za to do więzienia pod zarzutem niemalże zdrady stanu — epitet nabrał rozgłosu i przyjął się wśród opozycyjnej młodzieży. W masach widzów nazywano go najczęściej „Organistą”. Rzeczywiście miał w sobie coś z wiejskiego organisty, zwłaszcza gdy wygłaszał w telewizji swe namaszczone nudne kazania, oparte na coraz beczelniej zakłamywanych sprawozdaniach podwładnych. Najbardziej jednak przypominał rzemieślnika: majstra ślusarskiego z małego mias-

tecza — którym był zresztą naprawdę w chwili swego startu do politycznej kariery. Ze swoją siłą, bryłowością i szarością kojarzył się nieodparcie z postaciami z robotniczych obrazów Stanisława Lentza.

Ostatnie dwieście metrów do myśliwskiej rezygnacji trzeba było przejść pieszo. Sadził przez mokry śnieg ogromnymi zamasytymi krokami z rękami w kieszeniach futra, z wielką głową wtuloną w przesadnie szerokie ramiona. Teraz naprawdę był podobny do gнома. Skarcona asysta drobiła za nim wystraszo-nym truchtem.

Ostry wiatr z gór utrudniał mu oddychanie. Sapał głośno z astmy i z gniewu. Miał na co się gniewać. Po raz nie wiadomo który — w ostatnich miesiącach — wypadło mu uświadomić sobie to, do czego nawet przed samym sobą przyznawał się z największym trudem: bał się Generała Policji! Nie mógł temu zaprzeczyć! Bał się Generała Policji, którego po swym powtórnym dojściu do rządów sam wyniósł na szczyty hierarchii państwowo-partyjnej, którego jeszcze do niedawna uważał za najwierniejszego strażnika swej władzy, którego strofował wprawdzie niekiedy za hajdamackie wybryki, ale w którym nigdy, nawet w najgorszych snach, nie podejrzewał potencjalnego rywala do pierwszego miejsca w państwie.

Sytuacja zmieniała się całkowicie od tamtego nieszczęsnego przemówienia sprzed kilku miesięcy. Wydał się nim Generałowi w ręce jak ostatni głupiec, jak polityczny analfabeta.

A wszystko przez Żydów!

Oburzał się, gdy zarzucano mu antysemityzm. Nie był antysemitą. Jako szczerzy marksista antysemityzmem gardził. Wiedział, komu służy w ostatecznym rachunku i dla jakich celów bywa wykorzystywany. Tylko ludzie złej wiary mogli go poma-wiać o antysemityzm. Miał żonę Żydówkę, syna „półkrwi”, w kręgu najbardziej zaufanych współpracowników zachował paru wypróbowanych żydowskich przyjaciół z dawnych lat. Inna rzecz, że na ogół stosunki z żydowskimi towarzyszami nie układały mu się najlepiej. Ale to już jego prywatna sprawa, że Żydzi działali mu na nerwy, zwłaszcza Żydzi intelektualści. Wywodziło się to jeszcze z lat przedwojennych, kiedy jako młody działacz związkowy niedawno przyjęty do partii znalazł się po raz pierwszy w więzieniu. Trafił do celi, w której kiblował sam kwiat komuny, partyjni intelektualści, w większości Żydzi, przeważnie zbuntowani synkowie bogatych burżuazyjnych rodzin. Dali mu oni wtedy popalić! Wykorzystując jego młody wiek, słabe wyrobienie partyjne i braki w wykształceniu ogólnym, owi błyskotliwi towarzysze uczynili sobie z niego kozła ofiarnego dla

swoich intelektualnych zabaw. Traktowali go jak popychlę. Poniżali na każdym kroku. Miażdżyli talmudzką erudycją. Jednym umiejętnie dobranym cytatem z klasyków marksizmu unicestwiali jego w pocie czoła wypracowane samodzielne argumenty. To, co odczuwał wtedy wobec nich, nie różniło się niczym od nienawiści klasowej. Ganił się za to w swoim partyjnym sumieniu, ale przemoc tego nie potrafił.

Takich doświadczeń się nie zapomina. Wyniósł z tamtej celi dwa ciężkie urazy: przeciw Żydom i przeciw intelektualistom. W późniejszych okresach życia przemądrzali żydowscy towarzysze jeszcze nie raz stawali mu w poprzek drogi, pogłębiając kompleksy młodości.

W roku 1948, kiedy wyzuwano go ze wszystkiego, oni najgłośniej wrzeszczeli o „odchyleniu prawicowo-nacjonalistycznym”, oni najmocniej przypierali go do muru, zmuszali go do upokarzających samokrytyk, dręczyli w śledztwie.

A w roku 1956 — kiedy przywracano mu wszystko — znowu oni byli najgłośniejsi. Sobie przypisywali główną zasługę w przywróceniu go do władzy. Próbowali nim manipulować. Uczyc go rządzenia państwem! Domagali się od niego „pogłębienia rewolucji”, ciągnęli go w przepaść rewizjonizmu, z której nie ma już powrotu! Nie znosił ich! Ich tupetu, ich przemądrzaństwa, łatwości, z jaką się przerzucali z jednej krańcowości w drugą! Ta niechęć była w nim silniejsza od jego marksizmu.

Ale niefortunne w skutkach przemówienie telewizyjne, które wygłosił po wybuchu wojny izraelsko-egipskiej, nie miało nic wspólnego z osobistymi uprzedzeniami. Nadal uważał, że było to przemówienie w zasadzie jak najbardziej słuszne, jak najbardziej potrzebne, jak najbardziej zgodne z linią partii. To, co się działo wówczas w kraju, domagało się natychmiastowej, zdecydowanej odprawy. Stanowisko socjalistycznej Polski wobec konfliktu bliskowschodniego od pierwszej chwili było dla niego oczywiste i nie mogło podlegać żadnym wahaniom ani wątpliwościom. Państwo Izrael służyło za przyczółek amerykańskiemu imperializmowi, więc socjalistyczna Polska musiała w tej wojnie opowiedzieć się po stronie Arabów. Nie mogło być inaczej! Tymczasem w kraju zaczęło się szerzyć szaleństwo. Najzarliwsi żydowscy komuniści jednego dnia przeobrażali się w płomiennych syjonistów. Wczytywał się pilnie w nadsyłane przez ludzi Generała Policji raporty z rozmaitych odświeżonych fet w dygnitarskich domach, gdzie synowie aktualnych ministrów i wysokich funkcjonariuszy partyjnych wznosili toasty za pomyślność izraelskiego oręża. Szaleństwo ogarnęło także rdzennych Polaków. Ludzie, którzy nigdy za Żydami nie przepadali, rzucali się na szyję napotykanym na ulicy żydowskim znajomym i winszowali

im izraelskich zwycięstw. W rzeczywistości nie chodziło w tym wszystkim ani o Żydów, ani o Arabów. Dziecko mogło się domyślić, przeciwko komu były skierowane te prowokacyjne manifestacje. Dostrzegli to również od razu towarzysze z Centrali. Przysłali list — po swojemu brutalny — domagający się natychmiastowego ukrócenia wrogich demonstracji. Nigdy nie należał do ślepych wykonawców centralnych zarządzeń, nie raz dawał tego dowody. Ale w tym wypadku zgadzał się całkowicie z oceną towarzyszy z Centrali. Tak, to były wrogie demonstracje przeciwko najbardziej zasadniczym pryncypiom systemu. Przeciwko generalnej linii partii. Przeciwko ugruntowanej dwudziestoletnią praktyką polityce zbawiennych dla Polski międzynarodowych sojuszków. Trzeba było prosyjonistyczne szaleństwo zdławić w zarodku w interesie polskiej racji stanu. Dlatego wygłosił to przemówienie w największej sali Pałacu Przyjaźni i kazał je transmitować przez radio i telewizję. Później mu wytykano, że w przemówieniu było sporo odstępstw od historycznej prawdy. Możliwe. Rudy sekretarz, który przygotowywał mu teksty wystąpienia, miał skłonność do przerysowywania pewnych elementów. Ale nie należy przesadzać w burżuazyjnym obiektywizmie. Dla komunistów prawdziwe jest to, co służy sprawie komunizmu. Z tego punktu widzenia jego przemówienie było prawdziwe i słuszne. Jednego tylko nie powinien był powiedzieć: tego o „piątej kolumnie”.

Wcale nie dlatego, że oskarżenie wszystkich Żydów polskich o to, że są „piątą kolumną” państwa Izrael było jaskrawym absurdem. Nie dlatego też, że takie oskarżenie musiało spowodować paniczny exodus Żydów z Polski i odbić się szerokim nieprzychylnym echem na całym świecie. To ostatecznie dałoby się jeszcze przeboleć. Osobiście uważał, że gromadny wyjazd Żydów z Polski byłby jedynym naprawdę skutecznym lekarstwem na polski antysemityzm. Dlatego zaraz po swym powrocie do władzy otworzył przed nimi szeroko drogę do emigracji. Że nie wyjechali wtedy — ich własna wina. Teraz płakać po nich nie będzie.

Zło przemówienia wygłoszonego w Pałacu Przyjaźni tkwiło w czym innym. Zwrot o „piątej kolumnie” był fatalnym błędem politycznym! Niewybaczalną pomyłką taktyczną w rozgrywce z narastającą opozycją wewnątrz partii. Generał Policji czekał tylko na takie potknięcie. Nie mylili się chyba ci, którzy ostrzegali, że rudy sekretarz już od dawna kombinował z frakcją generalską. Pod dymną przesłoną walki z piątą kolumną syjonizmu Generał Policji wszczął koncentryczny atak na pozycje przywódcy partii. Niby to węsząc za syjonistami, przeczesywał kolejno środki masowego przekazu, centralne ośrodki dyspozycyjne w kadrach i tere-

nowe komitety partyjne. Zewsząd usuwał jego ludzi, zastępując ich swoimi. W macierzystym resorcie Generała powstał specjalny ośrodek do wykrywania „potencjalnych agentów piątej kolumny syjonizmu”, oparty na skompromitowanych wzorach, zaczerpniętych z niedawnej historii sąsiedniego kraju. Stojący na czele ośrodka dyspozycyjny historyk-archiwista tropił ponoć „syjonistów” aż do szóstego pokolenia wstecz, wciągając na swe listy ponadto osoby związane z „syjonistami” powinowactwem, przyjaźnią bądź po prostu — jak to pięknie sformułowano — „zarażone syjonizmem”. Dzięki gorliwości patriotycznego uczonego frakcja generalska mogła swobodnie pozbywać się z posad i z kraju osób szczególnie sobie niemiłych i niewygodnych. Cała ta operacja drenowania Polski przede wszystkim z wysoko kwalifikowanej inteligencji odbywała się przy akompaniamencie patriotycznych fanfar odrodzenia narodowego i wyrównywania krzywd i nieprawości okresu stalinowskiego. Rzecz była obmyślona perfidnie. Generał z jednej strony odwoływał się do starych fobii nacjonalistycznych, rozjątrzonych jeszcze układami personalnymi pierwszego dziesięciolecia powojennego, z drugiej — wygrywał brudne apetyty amatorów „pożydowskiego mienia”.

Kiedy Organista wreszcie się zorientował w konsekwencjach swego przemówienia, za późno już było na ich odrobienie. Zewsząd otaczali go nowi ludzie, mocno okopani na zdobytych stanowiskach, gotowi bronić ich do upadłego. Frakcja generalska z każdym dniem rosła w siłę. Jego własna pozycja w partii słabła. Dopiero wtedy zrozumiał, że on, wytrawny gracz polityczny, dał się wpuścić w maliny jak niedoświadczony żółtodziób.

Tok ponurych rozmyślań urwał mu się nagle, kiedy zza oszronionych drzew wyłonił się fronton myśliwskiego pałacyku. Dojrzał oczekującego w drzwiach zagranicznego gościa. Przywódca zza południowej granicy przypominał wyglądem zdziwionego ptaka. Miał długi prosty nos, okrągłe oczy i zniewalający uśmiech. Teraz uśmiechał się szeroko, z całego serca i otwierał ramiona na przyjęcie zbliżającego się gospodarza. — Widać, że musi mu bardzo na tym spotkaniu zależeć — zdążył jeszcze z przekąsem pomyśleć nadchodzący — spodziewa się po mnie diabli wiedzą czego.

Trzeba się było jednak przystosować do sytuacji. Więc i on szeroko otworzył ramiona, uśmiechnął się miłośnie i swą wielką głowę skłonił lekko ku prawemu ramieniu, co czynił zawsze, gdy pragnął nadać sobie wyraz szczególnej życzliwości.

I szli tak ku sobie — uśmiechnięci, z rozpostartymi ramionami — dwaj przywódcy graniczących z sobą bratnich krajów: jeden o wyglądzie małomiasteczkowego ślusarza, drugi — przy-

pominający zdziwionego ptaka. W połowie drogi padli sobie w objęcia i utonęli w rytualnym uścisku powitalnym, choć w nierównym stopniu podzielali jego szczerość i serdeczność.

Nieco później w sali jadalnej pałacyku zasiedli do skromnego myśliwskiego poczęstunku. Gościowi zza południowej granicy w tej ważnej chwili nie w głowie było jedzenie, ale zdumiewająca skromność śniadania nie uszła jego uwagi i tak go zaskoczyła, że jego okrągłe oczy stały się ze zdziwienia jeszcze okrągłejsze. Wiedział przecież, że każda z takich rezydencji myśliwskich, gęsto rozsianych na obszarze całego Bloku Pokoju, dysponuje przebogatą szpizarnią, zaopatrzoną we wszelkiego rodzaju specjały i drogie alkohole, niedostępne dla zwykłych śmiertelników. Tymczasem to, czym go częstowano, nie odbiegało niczym od jadłospisu dobrze prowadzonego domu wczasowego. Gość nie znał jeszcze osławionej skromności gospodarza, który pomimo wspięcia się na szczyty hierarchii społecznej zachował sposób bycia i oszczędność małomiasteczkowego ślusarza i oburzał się na wszelkie kosztowne zbytki. Ale tę skromność Organisty znali dobrze jego podwładni. Kiedy więc — zagnany docierającymi do niego od czasu do czasu poufnymi meldunkami o orgiach bankietowych w leśnych rezydencjach — wybierał się do którejś z nich na niezapowiedzianą inspekcję, wiadomość o tym natychmiast przekazywano sekretarną sztafetą telefoniczną i z zagrożonej rezydencji znikały jak na zaklęcie wszelkie zagraniczne alkohole i niedostępne na krajowym rynku smakołyki. W miejsce ich pojawiały się na stole jajecznice, bigos, wędliny, zsiadłe mleko, brązowe butelki z krajowym piwem. Wracał z takich inspekcji pokrzepiony na ciele i duchu. Mógł już z czystym sumieniem odpierać ostrzeżenia nielicznych sprawiedliwych: naprawdę nie wiem, towarzyszu, skąd czerpicie wasze wiadomości. Dopiero co tam byłem. Jedzenie smaczne i obfite. Ale żadnych frykasów. Nic z tego, o czym mówicie...

Zaraz po śniadaniu, nie bacząc na zmęczenie podróży, proponował przechadzkę po lesie „dla wymiany poglądów”. Chciał jak najprędzej mieć już z sobą tę nie budzącą zaufania imprezę, z którą nie wiązał żadnych realnych nadziei na przyszłość. Odbycie rozmowy na otwartym powietrzu wydało mu się najbezpieczniejsze. Z dotychczasowych doświadczeń wiedział, że możliwości najnowocześniejszego nawet podsłuchu też mają swe granice. Przy rozważaniu tego technicznego problemu znowu zdławił go gniew, gdyż mignął mu w pamięci hajdamacki uśmieszek Generała Policji.

Żadnych tłumaczy do lasu nie zabierali, bo nie było potrzeby. Dogadywali się z sobą w języku Opiekuńczego Mocarstwa — od lat już uznanym za ogólnie obowiązującą łacinę całego Bloku

Pokoju. Przywódca zza południowej granicy wysławiał się w tym nadjęzyku z całkowitą swobodą, gdyż jako syn uchodźcy politycznego dzieciństwo i wczesną młodość spędził w jednej z republik wchodzących w skład Opiekuńczego Mocarstwa. Z Organistą było dużo gorzej. Odbił tylko przed wojną zwyczajowy paroletni staż w centralnej szkole partyjnej — co nie było wiele, zważywszy jego zupełny brak zdolności do nauki języków obcych. Mimo to przystał chętnie na wyeliminowanie tłumaczy. Miał miłą świadomość, że utrudnia przez to infiltrację Generałowi Policji. Wiedział zresztą, że nie on będzie głównym mówcą w leśnej debacie.

Poszli tedy do lasu, aby przeprowadzić tę swoją ściśle poufną „wymianę poglądów”, która w konsekwencjach — według zbożnych życzeń jednego z nich — miała doprowadzić do zasadniczego przełomu w stosunkach nie tylko dwóch bratnich krajów, lecz także całego „Bloku Pokoju”, a kto wie, czy nie całej Europy.

Otoczenie myśliwskiej rezydencji bardzo się do takich rozmów nadawało. Niebotyczne sosny i jodły w ciężkich białych czapach przydawały krajobrazowi powagi i dostojęstwa. Między drzewami przeziarał roziskrzony w zimowym słońcu fiolet wysokich skalistych gór. Leśny park był rozległy, pusty, cichy. Śnieg pokrywający krętaninę alejek i ścieżek starannie na przyjęcie gości ubito i wysypano żółciutkim piaskiem. Nie trzeba było patrzeć pod nogi i zakłócać sobie wewnętrznego skupienia. Z zewnątrz także im na ogół nie przeszkadzano. Tylko od czasu do czasu, kiedy mijali najgrubsze drzewa i najbardziej zaśnieżony gąszcz, nadziewali się zgnęła na głupio przepraszający uśmiech na wpół zmarzniętego „ochroniarza”. Ale Organista gasił go tak wściekłym fuknięciem, że zdemaskowany tajniak niewiele myśląc brał nogi za pas i zmywał się z posterunku w rączych podskokach.

Leśnią wymianę poglądów zagajął inicjator spotkania — przywódca zza południowej granicy. Sądzę, że jeśli Zdziwiony Ptak trafi kiedyś do szkolnych podręczników historii — a mimo wszystko chyba trafi — to będzie tam przedstawiony jako wzorcowy przykład historycznego bohatera z przypadku. Jego życiorys w pełni do tego upoważnia. Przez wiele lat zajmował rozmaite stanowiska we władzach prowincjonalnego aparatu partyjnego swego kraju, nie odznaczając się w tym czasie niczym szczególnym. Prywatnie uchodził za człowieka zacnego, sprawiedliwego, wrażliwego na ludzką krzywdę. W działalności publicznej nie był karierowiczem ani cynicznym oportunistą. Przeciwnie, jak wielu innych ideowych komunistów, cechowała go przesadnie dobra wiara w nieomylną mądrość partii, granicząca niekiedy z naiwnym utopizmem. W spadku po ojcu wziął najgłębsze prze-

konanie, że prędzej czy później komunizm zwycięży na całym świecie i wtedy zapanuje powszechna szczęśliwość. Wieloletni pobyt w Opiekuńczym Mocarstwie urealnił nieco ten jego teoretyczny optymizm, uzupełniając go pewnymi elementami praktycznymi. Chcąc nie chcąc musiał wyrobić w sobie pełne zrozumienie dla wszystkich przykrych konieczności wynikających z zaostrzającej się walki z wewnętrznymi i zewnętrznymi wrogami komunizmu. Pogodzenie się z zasadą, że cel uświęca środki, nie przychodziło mu łatwo i jeszcze w latach późniejszych, gdy był już odpowiedzialnym funkcjonariuszem partii, przeżywał na tym tle rozmaite drobne dramaty. Kiedy nadchodzące ze stolicy polecenia najwyższych krajowych instancji partyjnych odpowiadały jego własnym opiniom i poczuciu sprawiedliwości, cieszył się nimi z całego serca i wypełniał je z żarliwym zapałem. Kiedy jednak odgórne wytyczne z jego odczuciami się nie zgadzały, to choć wypełniał je równie posłusznie — na swój prywatny użytek bardzo się nimi trapił, a czasem nadchodziły go wręcz buntownicze myśli, czy aby stołeczni towarzysze nie dopuszczają się poważnych błędów. Ale myśli tych przed nikim nie ujawniał, bo nie leżało to w ówczesnych zwyczajach. W swoich strapieniach moralno-politycznych jedyną pociechę znajdował na niedzielnych meczach hokeja na lodzie, której to dyscyplinie sportowej kibicował zapamiętale od najwcześniejszej młodości. Wrzeszcząc obłędnie na graczy źle sprawiających się na boisku, rozładowywał w sobie niezadowolenie ze swych partyjnych zwierzchników i odyskiwał utraconą równowagę ducha. W ten sposób wegetował przez długie lata. Ludzie bezpośrednio od niego zależni lubili go i szanowali. W szerszych kręgach obywateli, zgodnie z ówczesnymi klasyfikacjami, zaliczano go do tych funkcjonariuszy publicznych, którzy „jeżeli nie muszą, to świństwa nie robią”. W okresie narastających nieprawości i korupcji władzy była to ocena zdecydowanie pozytywna. Niemniej nic jeszcze wtedy nie pozwalało domyślać się w nim przyszłej postaci historycznej.

Wszedł w historię dopiero w styczniu 1968 roku — zaledwie na parę tygodni przed leśnym spotkaniem. Stało się to w czasie jednego z odbywających się w stolicy kraju plenarnych posiedzeń najwyższych władz partyjnych, na którym reprezentował swoją prowincję. Posiedzenie było nad wyraz gorące i burzliwe. Przybierający od dawna na sile obóz reformy ruszył do frontalnego ataku na oderwane już całkowicie od mas i ich potrzeb konserwatywne kierownictwo partii. Zebrani mieli możliwość zauważyć, że wśród atakujących mówców wyróżniał się żarliwością delegat z terenu, przypominający wyglądem zdziwionego ptaka. W pewnej chwili doszło nawet do gwałtownej bezpośredniej utarczki

między nim a starym kościanym dziadkiem — dogmatycznym przywódcą partii. Odnosił w tym starciu wielki sukces. Nic dziwnego: pierwszy raz w życiu udało mu się otwarcie wykrzyknąć z najwyższej trybuny kraju całe niezadowolenie i wszystkie wątpliwości, którym przez lata mógł dawać skryty upust jedynie na niedzielnych meczach hokeja w prowincjonalnym mieście. Wystąpienie jego wywarło wrażenie tym większe, że był przedstawicielem terenu — człowiekiem w stolicy prawie zupełnie nieznanym. W owym przełomowym okresie istniało gwałtowne zapotrzebowanie na „nowych ludzi”, to znaczy na względnie młodych działaczy średniego szczebla, nie skompromitowanych bezpośrednim udziałem w błędach i wypaczeniach poprzedniego okresu.

Zainteresowali się nim partyjni intelektualiści, stojący na czele ruchu odnowy moralnej, społecznej i gospodarczej. Spodobała im się jego skromność, rzeczowość i widoczna umiejętność nawiązywania kontaktu z masami robotniczymi. Nie przeoczono też niebagatelnego względu, że po swym wieloletnim pobycie w Opiekuńczym Mocarstwie „nowy człowiek” mógł liczyć na zaufanie i życzliwość podejrzliwych towarzyszy z Centrali. Na niego padł więc wybór. Jemu powierzono do odegrania historyczną rolę odnowiciela i zbawcy partii i kraju.

Potem potoczyło się wszystko w tempie błyskawicznym, niemal już bez jego udziału. W kilkanaście dni później kościany dziadek przewodzący konserwie partyjnej musiał ze swego stanowiska ustąpić i on zajął po nim pierwsze miejsce w naczelnych władzach partii. Rozpędzona historia wzięła go na swe skrzydła, obdarzyła przywódczą charyzmą i niosła na niebosiężne wysokości. W rekordowo krótkim czasie stał się dla całego narodu niekwestionowanym symbolem wszystkich pozytywnych przemian zachodzących w kraju, wszystkich nadziei na lepszą przyszłość. Kiedy ideolodzy odnowy postawili sobie za cel zbudowanie „socjalizmu z ludzkim obliczem”, owo ludzkie oblicze socjalizmu przybrało rysy jego twarzy, stało się podobne do zdziwionego ptaka. Jego awans nie miał równych w dotychczasowej historii Bloku Pokoju. Prowincjonalny funkcjonariusz partyjny, co „jeśli nie musiał to świnstw nie robił”, w przeciągu paru tygodni przemienił się w umiowanego przywódcę partii i narodu. Można było od tego doznać zawrotu głowy.

Trzeba przyznać, że jemu się w głowie nie przewróciło. Uchroniły go przed tym wrodzona skromność i brak ambicji wodzowskich.

W przeciwieństwie do Organisty, słynnego z wrogiego stosunku do inteligencji, Zdziwiony Ptak odnosił się z najwyższym

szacunkiem do ludzi, których uważał za mądrzejszych od siebie. Kierujący procesem odnowy partyjni intelektualiści odnajdywali w nim entuzjastycznego i żarliwego wykonawcę wypracowanych przez siebie koncepcji. Nie znaczyło to wcale, że był wykonawcą bezkrytycznym, ślepo posłusznym. Obdarzony sporą dozą zdrowego rozsądku i lepiej od inteligenckich strategów reformy orientujący się w nastrojach i potrzebach mas robotniczych — niejednokrotnie przeciwstawiał się propozycjom jego zdaniem nie dość uzasadnionym i poddawał je rzeczowej korekcie własnych przemyśleń. Pomimo swej skromności uwierzył w posłannictwo, jakim obciążyła go historia, i drżał z bezustannego lęku o przyszłość odnowy, której stał się głównym symbolem. Do rozpacz doprowadzały go spory i nieporozumienia między radykalnymi intelektualistami partyjnymi a starymi ostrożnymi działaczami robotniczymi. Przy uśmierzaniu tych „rodzinnych waśni” nie odwoływał się nigdy do prerogatyw wynikających z jego naczelnego stanowiska. Jedyną bronią, jaką się posługiwał w polemikach z towarzyszami, była perswazja. Potrafił perswadować całymi godzinami, całymi dniami. Niekiedy zapamiętywał się w swych perswazjach do tego stopnia, że w oczach pojawiały mu się najprawdziwsze łzy. Niektórzy towarzysze wyśmiewali tę jego „czułościowość” — dość niezwykłą u doświadczonego działacza partyjnego pochodzenia proletariackiego, ale u większości wzbudzał szacunek i sympatię. Dzięki umiarkowaniu i delikatności przywódcy współpraca w kierowniczym ośrodku reform w kraju za południową granicą układała się na ogół harmonijnie i z korzyścią dla budzącego się do nowego życia narodu. Jedynym dysonansem zakłócającym euforię owych pierwszych historycznych dni było niespokojne pytanie, gnębiące zarówno strategów i taktyków odnowy, jak i miliony zwykłych obywateli: co powiedzą na to wszystko tamci? Jak ustosunkują się do reform w wasalnym kraju ortodoksyjni towarzysze z Centrali?

Przywódcy zza południowej granicy, rozpoczynając wcielanie w życie swych reformatorskich założeń, nie pragnęli bynajmniej osłabiać więzi łączącej ich kraj z Opiekuńczym Mocarstwem. Wszyscy ci ludzie od najmłodszych lat mieli zakodowaną w sercach i umysłach miłość do Opiekuńczego Mocarstwa i nie wyobrażali sobie po prostu dalszego pomyślnego rozwoju swego macierzystego kraju bez poparcia i wszechogarniającej opieki ze strony wschodniego kolosa, mieniącego się ojczyzną zwycięskiego proletariatu. Chcieli jedynie przewietrzyć i unowocześnić nie zmieniany od półwiecza biurokratyczny system rządzenia, nazywany realnym socjalizmem. Wierzyli, że podejmowane przez nich dzieło reform ogarnie z czasem cały Blok Pokoju, przyczyniając się do ugruntowania ogólnej pomyślności.

Ale rzecznicy reform dobrze znali straszliwy konserwatyzm towarzyszy z Centrali i ich paraliżujący lęk przed jakimikolwiek zmianami. Niedźwiedzie pomruki niezadowolenia, dobiegające z północnej nadstolicy w odpowiedzi na pierwsze wieści o przeobrażeniach dokonujących się na zachodnich rubieżach Bloku Pokoju nie pozostawiały żadnych złudzeń co do stanowiska towarzyszy z Centrali. Doradcy Zdziwionego Ptaka po długich naradach doszli do przekonania, że jedynym sposobem na przełamanie oporów Centrali będzie solidarne wystąpienie w obronie reform także innych wasalnych krajów. Pierwsze konsultacje z sąsiadami wypadły pomyślnie. Jeden z bardziej liczących się bratnich przywódców dopuścił możliwość solidarnego wystąpienia pod warunkiem, że jako pierwszy opowie się za programem reform przywódca polski. Nikogo ten warunek nie zaskoczył. Dzięki swemu zwycięskiemu powrotowi do władzy przed 12 laty Organista wyrobił sobie autorytet najważniejszego i najbardziej niezależnego przywódcy w całym Bloku Pokoju. Zgodzono się, że bez jego czynnego współnictwa nie do pomyślenia byłoby osiągnięcie zamierzonego celu. Musiało więc dojść do spotkania w przygranicznej puszczy.

W miarę przedłużania się „poufnej wymiany poglądów” w leśnym parku robi się coraz zimniej. Prawdę mówiąc, nie jest to żadna wymiana poglądów, lecz nieustający ani na chwilę żywiołowy monodram odgrywany przez Zdziwionego Ptaka. Z nosem poczerwieniałym od mrozu, wymachując jak skrzydłami długimi rękami, jeszcze bardziej ptasi niż na początku — przywódca z za południowej granicy uruchamia cały swój dar przekonywania, aby przebić się przez obcość, odgradzającą go od polskiego gospodarza. Pragnie go zarazić wzniosłością i euforią, jakie on sam i jego kraj przeżywają od miesiąca. Ciągłe mówiąc, rozpala się coraz bardziej. Argumenty rzeczowe miesza z uczuciowymi. Perswazje z marzeniami. Domaga się od polskiego przywódcy poparcia. Tłumaczy mu, jak bardzo ta pomoc jest potrzebna. W jego namiętym monologu zaczynają pobrzmiwać tony błagalne. Drobnymi, szybkimi kroczkami zabiega drogę ciężko stąpającemu Organistcie. Pieszczotliwie głaszcze rękaw jego futra. O cóż właściwie chodzi? O ogłoszenie paru liberalnych dekretów w duchu reform z za południowej granicy. Czyż naród występujący z planem mogącym wpłynąć na poprawę życia w całym Bloku Pokoju nie zasługuje na ten prosty akt solidarności? Przy zaufaniu, jakim cieszy się w swym kraju polski przywódca, nie powinno to nastreścić żadnych trudności. A skutki mogą być wielkie! Wielkie!...

Z uszami wtulonymi w wysoko postawiony kołnierz futra, ze zmrużonymi oczami i nieprzeniknioną twarzą wsłuchuje się

polski przywódca w te syrenie zaśpiewy. Zdziwiony Ptak mówi tak szybko, że treść niektórych słów blokowej łaciny nie dociera do świadomości słuchającego. Ale nie ma to znaczenia. Wszystko, o czym opowiada gość z za południowej granicy, znane jest Organistcie doskonale z jego własnych doświadczeń. Kiedy słucha relacji o zdarzeniach rozgrywających się w obcym kraju, rozkręca mu się w pamięci film upajających przeżyć sprzed dwunastu lat. Nagłe zwolnienie z więzienia. Tryumfalny powrót do władzy. Warszawski Plac Defilad. Trudne do ogarnięcia wzrokiem rozkołysane morze ludzkich głów. Jak werbel bojowy przetacza się po tłumach jego pseudonim z lat okupacji. Skandują go nieskończoną ilość razy. I to cudowne poczucie, jakiego nie zaznał przed nim żaden z komunistycznych przywódców — rozkoszna świadomość pełnego utożsamienia się z narodem.

Od fioletowych roziskrzonych gór zawiewa mroźnym wiatrem. Organista mocniej się wtula w futrzany kołnierz, ale przykry ziąb przenika go do kości, zatyka mu płuca, powoduje nieprzyjemny ucisk w okolicy serca. Musi na chwilę przystanąć.

— Co on taki pewny siebie? — myśli z nagłą złością o tokującym w upojeniu zagranicznym gościu. — Zapomniał widać, w jakim żyje świecie!

Uważa, że ma nad gościem wielką przewagę, bo z własnych doświadczeń wie, że euforia trwa krótko, a dalszy ciąg jest znacznie mniej przyjemny.

Na trasie codziennych pieszych spacerów Organisty, między jego warszawską rezydencją a miejscem urzędowania w Komitecie — nazywanej przez niego „ścieżką zdrowia” — stoi, a raczej stał do niedawna niewielki kramik ze starymi książkami. Właściciel kramiku, popularny w całej dzielnicy przygłup „pan Czesio”, każdego dnia, w ciągu kilku lat, nie bacząc na podenerwowane spojrzenie „ochroniarzy”, czuwających nad bezpieczeństwem przywódcy, celebrował na jego cześć jednoosobowe pochwalne demonstracje. Kiedy Organista zbliżał się do straganu, „pan Czesio” podrywał się na baczność, obnażał swój wygolony guzowaty czerep i salutując „do pustej głowy” — cały w radosnych uśmiechach — grzmiał pełnym głosem: Witamy naszego kochanego pana sekretarza! Niech nam żyje i nami rządzi przez sto lat!

Organista polubił te huczne powitania i włączył je na stałe do swego porządku dziennego. Uznał je za naturalne przedłużenie tego, co działo się na październikowym Placu Defilad.

A potem — zupełnie niedawno: przed czterema albo pięcioma miesiącami — radosne demonstracje powitalne nagle ustały. Pierwszego dnia mogło się to wydawać przypadkiem, w następ-

nych dniach stało się widoczne, że przypadkiem nie jest. Odtąd ilekroć mijał ze swą eskortą antykwarski kramik, natykał się tylko na plecy „pana Czesia”, straszliwie zajętego jakimiś czynnościami porządkowymi, jakimś nerwowym przerzucaniem książkowych staroci z miejsca na miejsce. Nie było co się łudzić: pan Czesio przestał go zauważać!

Obeszło go to tak bardzo, że zaniechał pieszych spacerów po „ścieżce zdrowia”. Odgrodził się od pana Czesia kuloodporną szybkością rządowego mercedesa. Po jakimś czasie, kiedy brak ruchu począł mu zakłócać procesy trawienne, burknął od niechcenia komuś kompetentnemu, że niechlujny stragan antykwarski wcale nie upiększa willowej dzielnicy miasta. Następnego dnia pan Czesio ze swym kramikiem zniknął jak zdmuchnięty. Zabezpieczony przed przykrościami wrogich demonstracji, przywódca mógł powrócić na swą „ścieżkę zdrowia”. Ale wspomnienie pozostało. Obmierzłe, gryzące. Zmuszające do denerwujących rozrachunków z samym sobą...

Po krótkim wytchnieniu dostojni rozmówcy podejmują przerwana przechadzkę. Leśna debata odzyskuje utracony rytm. Tylko ucisk w sercu Organisty nadal nie ustępuje.

Jak to się stało? Jak mogło do tego dojść, że naród, który tak go kochał, teraz się od niego odwraca?! Same intrygi Generała Policji nie potrafiłyby tego zdziałać. Organista trzeźwo oceniał możliwości swego zbuntowanego pretorianina i nie traktował zbyt poważnie mitu, na gwałt fabrykowanego przez jego subalternów. Nie odebrało mu także miłości narodu owo niefortunne wystąpienie w Pałacu Przyjaźni. To, co wtedy powiedział, nie mogło mu przecież zaszkodzić w oczach takich chociaż ludzi, jak pan Czesio. A jednak pan Czesio odwrócił się od niego.

Prawda, że ludzie Generała Policji robili co mogli, żeby pomniejszać go w opinii narodu. Ale odnosiło to skutek tylko dlatego, że istniała już sytuacja sprzyjająca takim poczynaniom. Czuł, że od lat stopniowo, niepostrzeżenie narastała wokół niego atmosfera rozczarowania i niezadowolenia. Zaczęło się to bardzo dawno, zaraz po powrocie do władzy, na szalejącym z entuzjazmu Placu Defilad. Kiedy dziesiątki tysięcy gardeł wykrzykiwały z nadzieją jego imię, a dziesiątki tysięcy oczu wpatrywały się w niego z całkowitym oddaniem i najszczerzą miłością — zdjął go nagle strach, gdyż zrozumiał, że te tłumy oczekują od niego znacznie więcej, niż mógł i chciał im ofiarować.

Potem, zgodnie z obowiązującym rytuałem, pojechał do Opiekuńczego Mocarstwa, aby zweryfikować swój powrót do władzy i uzyskać błogosławieństwo dla dalszych poczynąń.

Cóż to była za podróż! Od Warszawy do wschodniej granicy

na każdej, najmniejszej nawet stacyjce burzliwe manifestacje na jego cześć. Śpiewano „Sto lat, sto lat niech żyje nam!”, ściskano jego ręce, obsypywano go kwiatami i podarunkami dla wnuków. Wołano: „Tylko się nie daj, kochany, i wracaj jak najprędzej!”. Tak żywiołowo wyrażanej miłości narodu do władzy nie oglądała Polska od maja 1935 roku, kiedy przewożono z Warszawy na Wawel trumnę ze zwłokami Marszałka Piłsudskiego.

I znowu doznawał sprzecznych uczuć. Pławił się z rozkoszą w tej nieudawanej miłości narodu, a jednocześnie w duchu polemizował gorzko z wiwatującymi tłumami: „Wybijcie to sobie z głów, moi drodzy, tego, co wy chcecie, z pewnością wam stamtąd nie przywiezę!”.

W stolicy Bloku Pokoju powitano go gniewnie i nieufnie. Towarzysze z Centrali nie byli przyzwyczajeni do wasalnych przywódców zawdzięczających swe stanowisko nie nominacji uzgodnionej w najwyższych instancjach blokowych, lecz rzeczywistej woli swego narodu. Poza tym nieustabilizowana sytuacja w Polsce budziła w Centrali najwyższy niepokój.

Ale Organście udało się przełamać wrogą nieufność. Po wysłuchaniu jego stanowiska towarzysze z Centrali zrozumieli, że ten wybraniec narodu będzie kontrahentem równie pewnym jak nominaci blokowi, że nie naruszy on w niczym zasadniczych praw obowiązujących w Bloku Pokoju. Że ich lęki i niepokoje są także jego lękami i niepokojami.

W jednej tylko sprawie był Organista nieustępliwy. Żądał pozwolenia na zachowanie tradycyjnej struktury wsi polskiej. — Jeżeli chcemy jeść — powiedział — musimy zostawić ziemię chłopom. — Po krótkich wahaniach udzielono mu tego pozwolenia. Sytuacja ogólna była tego rodzaju, że chcąc nie chcąc musiano go zaakceptować.

Do kraju powrócił jako zwycięzca. Mówiono mu, że w rozmowach z Centralą wykazał taką samą twardość, jaką ongiś w rozmowach z carami wykazywali minister Ksawery Lubecki i margrabia Aleksander Wielopolski. Ponieważ w swym pracowitym życiu nie miał zbyt wiele czasu na studiowanie historii, zażądał bliższych wyjaśnień. Po ich wysłuchaniu uśmiechnął się kwaśno i z pewnym ociąganiem porównanie zaakceptował. Byli jednak i tacy (oczywiście intelektualści!), którzy w żaden sposób nie chcieli go uznać za zwycięzcę. Uważali, że sprawę w Centrali pokpił, że nie wykorzystał historycznej szansy, że mógł uzyskać znacznie więcej. O tych myślał z nienawiścią: „We łbach im się poprzewracało, czego jeszcze chcą, może przywrócenia wielkiej własności ziemskiej albo wprowadzenia biskupów do komitetu centralnego partii?”.

Po pierwszym okresie ogólnonarodowej euforii przystąpił do kielznanja fali, która zniosła poprzednią ekipę rządzącą a pozostawiona samej sobie mogła w bardzo krótkim czasie zmyć z kolei jego samego. Dla uczestników październikowych manifestacji zaczął się czas wielkich rozczarowań.

Najpierw uciszył — jak to określał — rozhulanych pismaków i niesfornych studentów. Później zabrał się do rozsmakowanych w zdobyczach Października robotników. Było to trudne i ryzykowne, ale i z tym sobie poradził. Nowe prawo o samorządzie robotniczym zostało sformułowane tak chytrze, że nawet towarzysze z Centrali byli z niego zadowoleni. Poklepywali go łaskawie po plecach i winszowali socjalistycznej mądrości.

Ale, na Boga, nie robił tego przecież dla towarzyszy z Centrali! W swoim rozumieniu działał z nakazu dziejowej konieczności, robił to dla swego narodu, dla państwa, w najbardziej uzasadnionym interesie polskich racji stanu. Tylko lekkomyślni, niewdzięczni Polacy nie chcieli tego zrozumieć.

Najdłuższe i nacięższe boje staczać musiał z intelektualistami. Obsesyjna nienawiść, jaką przed kilkudziesięciu laty wyniósł był z celi więziennej, rozszerzyła się z czasem na całą elitę inteligencji polskiej, niezależnie od pochodzenia, poglądów czy uprawianych zawodów.

Działali mu na nerwy ci wszystkowiedzący profesorowie, bezczelni dziennikarze wtrącający się w nieswoje sprawy, wiecznie protestujący literaci! Istnieli tylko po to, żeby mu się sprzeciwiać, żeby przeszkadzać mu w pracy dla państwa, żeby się w kraju niepokój. Postępował też sobie z nimi bez zbytnich ceregieli.

W sposób bezprzykładnie obraźliwy — tak później mówiono — odprawił od siebie najwybitniejszych publicystów i socjologów kraju, którzy napraszali się mu ze swymi dobrymi radami.

Sławnego na cały świat profesora ekonomii, schorowanego inwalidę, który ośmielił się skrytykować gospodarczą politykę rządu, potraktował tak brutalnie, że ów uciekł w popłochu z jego gabinetu, pozostawiając tam swoją inwalidzką laskę, po którą już nigdy się nie zgłosił.

Znanego z patriotyzmu literata nazwał publicznie wrogiem ojczyzny. W jego najgłębszym przekonaniu byli wrogami ojczyzny ci wieczni malkontenci i siewcy niepokoju, wywyższający się nad robotniczo-chłopską władzę, zapominający, czyj chleb jedzą. Występowali przeciwko niemu, a więc przeciwko ludowemu państwu, a więc przeciwko ojczyźnie.

Kiedy jeden z jego najbliższych współpracowników z lat okupacji, ostatni intelektualista, jakiego jeszcze przy sobie tolerował, wyraził pogląd, że bez wysoko kwalifikowanej inteligencji pań-

stwem rządzić nie można, wpadł w taki szał złości, że rzucił w niego szklanką z gorącą herbatą.

Nie potrzebował tych przemądrzalców! Im byli bardziej wykształceni i wygadani, tym mniej im ufał. Nie potrzebował ich! Sam wiedział najlepiej, jak trzeba prowadzić naród do lepszej przyszłości.

Wyśmiewali go, że buduje „siermiężny” socjalizm. Niechaj sobie będzie siermiężny! Byle był uczciwy, prowadzony po gospodarsku, bez żadnych długów, bez życia nad stan — jak prowadzony był niegdyś jego warsztat ślusarski.

Ale przeszkadzali mu! Rzucali kłody pod nogi! Kradli! Kłamali! Stare zdezelowane mechanizmy gospodarcze nie umiały już pracować uczciwie. Nie chciały się poddawać nakazom zdrowego robociarskiego rozsądku. Ale o ich wymianie czy choćby unowocześnieniu bał się nawet myśleć. Zbyt dobrze pamiętał zachłanne spojrzenia szalejących tłumów na październikowym Placu Defilad. Jeden nieostrożny ruch, a wszystko mogło wylecieć w powietrze.

Pozbawiony z własnej winy mądrych, samodzielnie myślących doradców, zdany na coraz posłuszniejszych, ale i coraz bardziej nieudolnych wykonawców — gubił się w bezskutecznych poszukiwaniach przyczyn zła, nie zdając sobie sprawy, jak ogromny udział w powodowaniu zła ma jego własne postępowanie.

Nie mając zaufania do nikogo, sam chciał wszystko sprawdzać i poprawiać. Na jego żądanie zwalano mu do gabinetu całe tony akt i papierzysek. Wgłębiał się w szczegółowe sprawozdania z terenu, starając się oddzielić w nich prawdę od kłamstwa. Zestawiał cyfry bilansów, które nigdy nie chciały się z sobą zgadzać. Zagłębiał się po uszy w tysiącu małych spraw którymi zajmować się nie powinien, wskutek czego ogólne zarządzanie państwem chromało coraz bardziej.

Rzecz prosta, że wykorzystywali to ludzie Generała Policji w swojej podstępnej walce o władzę.

Z ciągłych zmartwień i z przepracowania przestał sypiać. Nocami nachodziły go coraz absurdalniejsze pomysły uzdrowienia źle funkcjonującej gospodarki. Kiedyś ubrał sobie, że wszystkiemu winne są... konie. Było ich za dużo. Zżerały ogromne ilości cennej paszy, nic prawie nie dając w zamian. W najbardziej kawaleryjskim kraju świata konie zostały uznane za element antypaństwowy i na krótko zawisła nad nimi groźba totalnej zagłady. Na szczęście to mu wyperswadowano, ale inne pomysły były niewiele lepsze.

Jego gwałtowny temperament, miotający się w zaklętym kręgu niemożności, coraz częściej wyładowywał się w wybuchach

nieprzytomnego gniewu. Kiedy nie podobało mu się coś w telewizji, rzucał w telewizor wszystkim, co miał pod ręką. Podobnie poczynił sobie z aparatami radiowymi. Ludzie zaczęli się go panicznie bać. Nikt nie ośmielał się przedstawiać mu niekorzystnych meldunków z terenu. Podwładni schodzili mu milczkiem z drogi, często ukrywali się przed nim. Ustała jakakolwiek krytyka jego zarządzeń. Między sobą po cichu natrzęsano się z niego, wzruszano ramionami, ale robiono posłusznie, co kazał. Wyrastał wokół niego mur przemilczeń i fałszów, odgradzający go coraz szczelniej od społeczeństwa. Ponieważ nie dostrzegał w tym wszystkim własnej winy, nabrzmiewało w nim poczucie niezasłużonej krzywdy. Coraz częściej żalił się na niewdzięczność Polaków. Pokochał w tym czasie amerykańskiego aktora Gary Coopera za jego rolę w filmie „W samo południe”. Była to historia o sprawiedliwym szeryfie, walczącym samotnie z gangiem bandyckim, który opanował miasteczko. Kazał sobie wyświetlać ten film wiele razy. Widział w nim wierne odbicie własnej sytuacji. To on był sprawiedliwym szeryfem, skazanym na samotną walkę z otaczającą go bandą kłamców, nierobów i łajdaków.

Z zewnątrz dociera podniesiony głos zagranicznego gościa. Nastrojony na najwyższy diapazon, z oczami wilgotnymi z uniesienia, Zdziwiony Ptak zapamiętałe wywodzi swoje racje. Zapewnia, że towarzysze z Centrali ugną się wobec solidarnego wystąpienia państw wasalnych. Zrozumieją w końcu, że chodzi także o ich własne dobro. Że proponowane zmiany staną się dla nich arcywygodnym warsztatem eksperymentalnym do wypracowania Wielkiej Reformy dla całego Bloku Pokoju z Opiekuńczym Mocarstwem włącznie. Że...

Organista słucha tych zapewnień i z trudem powstrzymuje się od ironicznego parsknięcia.

— Cóż za nieprawdopodobna naiwność! Żył tak długo wśród nich i tak zupełnie ich nie zna!

Przypomina mu się poufny raport, który odebrał niedawno od swego ambasadora w Opiekuńczym Mocarstwie. Kiedy do wschodniej nadstolicy nadeszły pierwsze wiadomości o „rozróżkach reformistycznych” na południu, jeden z towarzyszy z Centrali w napadzie alkoholowej szczerości miał do kogoś powiedzieć: gdybyśmy chcieli u nas przeprowadzić to, co oni proponują — w przeciągu miesiąca poderżnięto by nam gardła!

Organista przypadła do gustu ta zwięzła męska diagnoza. Oto w czym rzecz! A czy w Polsce jest inaczej? Wygadany gość z południa domaga się wydania kilku liberalnych dekretów? Dobry sobie! Niechby tylko trochę popuścić, a od razu ruszą do swego niszczycielskiego dzieła profesorowie, literaci i dziennikarze. Demagogicznymi hasłami rozkołyszą łatwowierne masy

i rozleje się po zakładach pracy i po ulicach kontrrewolucja, maskowana robotniczym drellichem. Nadejdzie wtedy chwila Generała Policji albo jakiegoś innego naprędce sfabrykowanego zbawcy. Jego zaś wyrzucą na śmietnik, jak raz już wyrzucili. A przecież tylko on — wierzył w to z całej duszy — tylko on potrafi żelazną ręką doprowadzić do lepszej przyszłości ten lekkomyślny, zanarchizowany naród.

Przykry ucisk serca wreszcie ustępuje. Zapominając o swej astmie, z rozkoszą wciąga potężny haust mroźnego powietrza. Teraz wie już na pewno, że nie tylko nie poprze reform proponowanych przez Zdziwionego Ptaka, ale przeciwnie: wszelkimi dostępnymi środkami przyczyniać się będzie do zduszenia, do zadeptania zarzewia niebezpiecznego pożaru, który usiłują wzniecić za południową granicą zdradzieccy intelektualści.

Pożegnanie przywódców dwóch bratnich krajów wypadło mniej serdecznie niż ich niedawne przywitania. Tym razem obyło się bez uścisków i pocałunków. Organista — znowu zadyszany od rosnącego mrozu i skrzywiony jakby się opił octu — mamrotał pod nosem, że propozycja solidarnego wystąpienia wydaje się mu niezmiernie interesująca. Jednakże sprawa jest zbyt poważna, aby mógł sam o niej decydować. Musi się naradzić z towarzyszami z kolegiального kierownictwa. Zaręczył, że rzecz będzie rozpatrzona dogłębnie, z braterską życzliwością.

Gość zza południowej granicy zrozumiał, że jego rzeczowe argumenty i namiętne perswazje nie zdały się na nic. Polski przywódca odmawiał swego poparcia dążeniom wolnościowym sąsiadów, co w konsekwencji wykluczało także pomoc dla nich ze strony innych bratnich krajów.

Z ogromu poniesionej klęski Zdziwiony Ptak zdał sobie w pełni sprawę dopiero w drodze powrotnej, kiedy każdy przebywany kilometr przybliżał go nieuchronnie do przykrej konieczności złożenia sprawozdań z leśnej rozmowy towarzyszącej z kierownictwem partii i rządu.

Odmowa Organisty rzuciła złowieszczy cień na świetlaną wizję przyszłości. Wszystko, co dotychczas wydawało się jasne, proste i możliwe do osiągnięcia, teraz potwornie się skomplikowało i straszyło przeszkodami nie do przebycia. „Bohatera z przypadku” przygniotło brzemień odpowiedzialności, przerastające jego siły. Poczuł się naraz bardzo umęczony i bardzo słaby. Całym sercem zatęsknił do niedzielnych meczów hokeja na lodzie w spokojnym prowincjonalnym mieście.

W połowie drogi ze zmartwienia i zdenerwowania rozboleł go brzuch. Po zażyciu proszków usmierzających zapadł na krótko w ciężki narkotyczny sen. W którejś chwili przysniło mu się,

że najeżdża na niego ogromny czarny czołg. Ocknął się z krzykiem przerażenia. Siedzący obok kierowca daremnie próbował odgadnąć, do kogo odnosiły się słowa jego niezupełnie jeszcze rozbudzonego szefa:

— Nie, tego mi nie zrobią! Tego nie mogą mi zrobić!

W przeciwieństwie do Zdziwionego Ptaka, Organista powracał z leśnego spotkania w nastroju jak najlepszym. Był przekonany o słuszności swego stanowiska, chwalił się za wstrzemięźliwość i miał poczucie dobrze spełnionego obowiązku wobec własnego kraju i całego Bloku Pokoju. „Co innego gdyby zwrócono się do mnie z taką propozycją przed dwunastu laty, kiedy miałem za sobą cały naród — gasił swe ostatnie skrupuły. — Ale teraz?... Generał czeka tylko na taką okazję. Załatwiłby mnie raz dwa”. O partnerze leśnego spotkania myślał niechętnie i z lekceważeniem. Wspominał jego nadmierną uczuciowość, przesadny optymizm i wilgotniejące oczy. „Zupełny mięczak! I takiemu zachciewa się zbawiać świat”. Bez współczucia wyobrażał sobie przyjęcie, jakie zgotują powracającemu z pustymi rękami partyjni intelektualiści programujący dzieło odnowy za południową granicą. „Ja moich zawczasu chwyciłem za mordę — pomyślał z satysfakcją. — A tamten słucha swoich we wszystkim. Niech więc pije, co sobie nawarzył”. Wizja Zdziwionego Ptaka tłumaczącego się przed swoimi przemądrzałcami tak Organistę ubawiła, że głośno się roześmiał.

Humor popsuł mu się dopiero przy wjeździe do Warszawy, kiedy na ciemnym niebie dostrzegł z daleka krwiste światła Pałacu Przyjaźni, nazywane przez warszawskich dowcipniśców „periodem carycy Katarzyny”. Nie znośli Pałacu Przyjaźni od czasu, kiedy w jego największej sali dał się napuścić na owo fatalne w skutkach „przemówienie antysyjonistyczne”. Znowu dźgnął go boleśnie tryumfalny uśmiech Generała Policji. Zwalili się na niego od razu wszystkie koszmary zatruwające mu życie w ostatnich latach i miesiącach. Intrygi frakcji generalskiej. Protesty intelektualistów. Otaczająca go zмова kłamstwa i zło-dziejstwa. Knowania rudego sekretarza. Odwrócony plecam pan Czesio. Nie zgadzające się cyfry bilansów. Miliony żarłoczych koni, rujnujących gospodarkę kraju. „Tamto przemówienie to był ostatni gwóźdź do mojej trumny — pomyślał w narastającej panice. — Wyrwali mi cugle z rąk. Jak mogłem do tego dopuścić. Psiakrew!... Psiakrew!...”

Jednakże nawet w tym przejściowym upadku ducha nie nawiedziło go zbawcze olśnienie, że tamto przemówienie w Pałacu Przyjaźni było mało znaczącym potknięciem w porównaniu z gigantycznym, brzemennym w najbardziej dalekosiężne następstwa

błędem, jaki popełnił odrzucając propozycje przedstawione mu w przygranicznym lesie.

W wypadku Organisty takie olśnienie było niemożliwe. Nie należał do mięczaków, co raz powziawszy decyzję skłonni są dopuszczać do siebie osłabiające ją wątpliwości. To był cholernie twardy człowiek.

Marian BRANDYS

Warszawa, grudzień 1982 r.

PULS PUBLICATIONS

BCM BOX 697, London WC1N 3XX, Great Britain

Biblioteka PULSU

1. Marian Brandys — MOJE PRZYGODY Z HISTORIĄ. Eseje.
2. Janusz Głowacki — MOC TRUCHLEJE. Powieść.
3. POEZJA STANU WOJENNEGO — ANTOLOGIA.
4. Tadeusz Korzeniewski — W POLSCE. Powieść.

Cena pojedynczego egzemplarza: £ 3.50
(lub równowartość) plus przesyłka.

W serii: PULS POLITICUS

1. Adam i Lidia Ciołkoszowie —
NIEPODLEGŁOŚĆ I SOCJALIZM 1835-1945.

Audycje radiowe.

Cena pojedynczego egzemplarza: £ 3.00
(lub równowartość) plus przesyłka.

Do nabycia w księgarniach lub bezpośrednio u wydawcy.

Dziennik pisany nocą

Neapol, 18 listopada 1982

Profesor Sidney Hook ogłosił swoją korespondencję z Einsteinem i opisał swoje spotkania z nim, jako dowód że Geniusz Dwudziestego Wieku był uosobieniem politycznej naiwności (żeby nie powiedzieć więcej). Dowód jest przekonywujący choć nie zaskakujący, po wszystkim co od dawna już wiadomo o wypadkach wielkich uczonych w rejonach polityki. Ale w świadectwie Hooka jeden epizod przemawia na korzyść Einsteina, a w każdym razie budzi do niego sympatię.

W roku 1937 Hook postanowił zorganizować „międzynarodową komisję do badania prawdy o procesach moskiewskich”, która w praktyce miała umożliwić Trockiemu obronę przed „zarzutami” stawianymi mu w Moskwie. Projekt poparli John Dewey i Bertrand Russell, natomiast Einstein odniósł się do niego z rezerwą. W rozmowie wyjaśnił dlaczego: „Z mojego punktu widzenia zarówno Stalin jak Trocki są politycznymi gangsterami”. Hook, w przystępie „osłupienia”, zareplikował niepewnie: „Być może, ale w cywilizowanym społeczeństwie nawet gangsterom należy się sprawiedliwość”. Na co Einstein: „Ma pan absolutną rację, tylko że ja nie jestem policjantem”.

Wyobraźmy sobie że Ernst Röhm, dowódca SA i oponent Hitlera z pozycji „ciąglej rewolucji”, został w roku 1934 skazany na banicję, a nie zamordowany bez sądu. I że zaoczny proces wytaczają mu w Berlinie dopiero po jego przyjeździe do... obojętne dokąd, posadziwszy na ławie oskarżonych pozostałych w Trzeciej Rzeszy „röhmistów”. Wcale nie wykluczone, że powstałyby wówczas (obojętne gdzie) „międzynarodowa komisja do ba-

dania prawdy o procesie berlińskim” — w praktyce trybuna dla Röhma odpierającego „zarzuty” Hitlera — zgodnie z zasadą „sprawiedliwości należytej w cywilizowanym społeczeństwie nawet gangsterom”. Ale wątpliwe, czy organizatorów takiej komisji wprowadziłaby w „osłupienie” reakcja typu Einsteina.

Moje imaginacyjne zestawienie nie jest „prowokacją”, jak nie było nią w odmowie Einsteina sprowadzenie do wspólnego mianownika gangsterskiego dwóch rywali w porewolucyjnej Rosji. Od lat wydaje mi się bezsensowne „rozróżnienie” między komunizmem, hitleryzmem i faszyzmem; bezsensowne i szkodliwe, jeśli totalitarna „choroba naszego stulecia” ma nas przynajmniej czegoś nauczyć. „Byliśmy faszystami? Byliśmy nazistami?” — pyta w swoich wspomnieniach historyk francuski Le Roy Ladurie, komunista od roku 1949 do 1953. Odpowiada przecząco, z zaznaczeniem jednak że chodzi o odpowiedź czysto techniczną, z semantyczną, która nie angażuje miar moralnych i ocen wartościujących. Twierdzi się zazwyczaj, że naziści i faszyci wypełnili swoje powołanie nacjonalistyczno-rasistowskie, podczas gdy komuniści zdradzili swoje powołanie uniwersalistyczne. Otóż (zauważa Le Roy Ladurie) totalitaryzm nacjonalistyczno-rasistowski był znacznie bardziej uniwersalistyczny, a komunizm jest znacznie mniej uniwersalistyczny, niż się na ogół przypuszcza. „Dystans między dwiema ideologiami kurczy się, nie znikając całkowicie”. Całkowicie przekreśla go prosta i dosadna forma „gangsteryzmu (nie gangsterstwa, bo mamy do czynienia z systemem) politycznego”.

„Stalin jako gangster” brzmi oczywiście gorzej, niż „Stalin jako Makbet”. Pomysł „makbetowskiego” Stalina narodził się w rysunku sowieckiego malarza Aleksandra Tiszlera (podobnym zresztą do słynnego rysunku Picassa, który takie niegdyś zgorzsenie wywołał w Moskwie). Rysunek Tiszlera zdobi okładkę wydanej świeżo książki włoskiego historyka komunistycznego Giuseppe Boffa *Il fenomeno Stalin nella storia del XX secolo*. Za motto służą dwa urywki z szekspirowskiej tragedii. Z aktu piątego, słowa Caihnessa o tyranii: „Niektórzy mówią, że oszalał; inni, mniejszą żywiący ku niemu nienawiść, zwą to rycerskim zapałem. Z tym wszystkim pewną jest rzeczą, że chorej swej sprawy nie może oprzeć na karbach porządku”. Z aktu czwartego, słowa Rosse’a o klimacie tyranii: „Ciężkie to czasy, w których człek jest zdrajcą, nie wiedząc o tym; słyszy wieści o czymś, czego się lęka, czego się zaś lęka nie wie sam, krążąc na osłep po dzikim i wzburzonym morzu”. Szkoda że Boffa przeoczył słowa samego Makbeta po zamordowaniu Dunkana,

a przed zamordowaniem Banka: „Zły plon bezprawia nowym się tylko bezprawiem poprawia”. Zły plon bezprawia? „Stalin jako gangster” powiedziałby: „Dobry plon bezprawia nowym się ciągle bezprawiem poprawia”. I tym się różni od przyszywanego mu przez osieroconych wyznawców antenata szekspirowskiego.

19 listopada

Rano do Pozzuoli ze znajomą malarką angielską D., przejeżdżając w Neapolu. Wspominaliśmy dawne, bardzo dawne czasy w Kornwalii. Któregoś lata byłem przez miesiąc gościem w jej i jej męża, też malarza, domu blisko Penzance. Malowała wtedy całymi dniami pejzaże, wracała ze swych samotnych wypraw (nigdy nie chciała by jej ktokolwiek towarzyszył) półżywa i szczęśliwa. Wieczory spędzaliśmy w trójkę przy kominku, zagapieni w rozżarzone polana, wsłuchani w szelest liści za oknem, rzadko przerywając milczenie. Nazywałem w myślach D. po leśmianowsku „topielicą zieleni”, i było to chyba trafne określenie jej malarstwa — magii lasów, łąk, strumieni, na pograniczu dziecięcej bajki i zmysłowej miłości do natury. Tyle upłynęło czasu od tamtego lata, a jednak dobrze pamiętam jej pejzaże — spazmatyczne przedzieranie się w głąb, do dna widzialnego świata, coraz zachłanniej, coraz czystsze i ufniejsze, jakby otwierała ramiona drżące z niecierpliwości, gotowe do zamknięcia w uścisku ściganego skarbu.

Owdowiła przed rokiem, po śmierci męża przeniosła się z synem do Londynu. Siedziała teraz naprzeciw mnie w kolejce podmiejskiej nad wiek postarzała, szara i zmięta, mówiła głosem bezbarwnym, patrzyła oczami pełnymi lęku, takiego lęku jaki dostrzega się niekiedy przelotnie w oczach ludzi ciężko chorych, którzy jeszcze o tym nie wiedząc, już coś przeczuwają. „Prze-stają widzieć. To znaczy widzę niby, nie mam żadnych zaburzeń wzroku, a przecież przestają widzieć”.

W Pozzuoli był dzisiaj słoneczny dzień. Na targu w porcie kotłowało się od ludzi i ryb, szklany klosz nieba nad placem odbijał echo dalekich dzwonów. Krążyliśmy przepychając się między straganami, zajrzeliśmy do kamiennego gniazda *Rione Terra*, wróciliśmy do portu. W restauracji położonej nad samym morzem nie było jeszcze w południe nikogo, mogliśmy więc zająć najlepszy „stolik z widokiem”.

Wyciągnęła szkicownik, a ja sięgnąłem po sterczącą z jej torby książkę. Był to dziennik Virginii Woolf. Kartkowałem go machinalnie, śledząc równocześnie kątem oka jak rysowała i natychmiast wymazywała swoje rysunki rozdygotanymi i brudnymi od

kolorowych kredek palcami. Na ostatniej stronie dziennika ostatni wpis zakreślony był ostro paznokciem. „Powtarzam sobie zdanie Henry Jamesa: obserwuj nieustannie. Obserwuj nadchodzenie starości. Obserwuj żądzę. Obserwuj własne przygnębienie. Stanie się ono w ten sposób przydatne. A przynajmniej taką mam nadzieję. *Or so I hope*”.

Obiad zjedliśmy w pośpiechu, postanowiła wcześniejszym pościągą wyjechać z Neapolu. Znowu wspominaliśmy Kornwalię, ożywiła się i trochę rozpogodziła, sporo piła, ale ze sztucznym podnieceniem i uporczywie odwróconym od morza spojrzeniem zgaszonych oczu.

Wieczorem, po powrocie z dworca, odszukałem w mojej bibliotece małą biografię Virginii Woolf. Ostatni w jej dzienniku zapis datowany był 8 marca 1941. Utopiła się 28 marca. Nie wiadomo na jakiej podstawie — skoro nie było świadków jej śmierci — autor biografii twierdzi, że do wody weszła „jak luntowiczka” i szła wolno przed siebie aż do „utraty dna”.

Maisons-Laffitte, 24 listopada

Ambasadora Mrożka przeczytałem pierwszy raz w manuskrypcie, w roku jego powstania czyli 1980. Wczoraj przeczytałem go powtórnie w tomiku gotowym do druku w Bibliotece *Kultury*. Z obu lektur pozostało mi wrażenie pewnego zwrotu, nowej nuty, w twórczości Mrożka. Oglądając (także wczoraj) niezbyt udane przedstawienie paryskie *Ambasadora*, zastanawiałem się czy można go w ogóle dobrze wystawić, czy teatr jest w stanie nadać tej nowej nucie pełny i czysty dźwięk.

Broński słusznie poprzedza swój szkic o twórczości Mrożka kilkoma zdaniami z jego opowiadania *We młynie, we młynie, mój dobry panie*: „I śmiejemy się obaj. I śmiejemy się z tego, że się śmiejemy. I z tego również, że... i tak dalej. Ale co jest pod tym ostatnim śmiechem, na samym spodzie?”. W szkicu Brońskiego „wszechogarniające uwikłanie”, typowe dla „ironicznych bajek” Mrożka, stanowi impuls dla „śmiechu jako alternatywy rozpaczy”. Co jest na samym spodzie w *Ambasadorze*? Dlaczego uśmiejemy się jedynie, i to rzadko, podczas klasycznej zdawałoby się mrożkowych scen pojedynku *Ambasadora* z Pełnomocnikiem, konfrontacji siły totalitarnej która się stale wzmacnia i jej słabego przeciwnictwa które wciąż słabnie? Tym razem na samym spodzie, pod ostatnim uśmiejemy, coś jednak jest. Nie nadzieja — to byłoby za dużo — lecz przynajmniej jakaś elementarna przeciwwaga rozpaczy. Mam naturalnie na myśli postać

Zbiega. O co panu chodzi? — pyta go Ambasador. O duszę — odpowiada Zbieg. I dodaje: „Tu biją za to, że się ma duszę; oni bardzo dobrze wiedzą kto ma duszę, a kto nie”.

(Muszę tu otworzyć dłuższy nawias o „duszy”. W jednym z opowiadań kołymskich Szałamowa schorowanym więźniom odprowadzanym do izolatora odbiera się różne protezy. Zdrowy narrator nie ma nic do oddania; na pytanie „a duszę oddasz?” odpowiada „nie, duszy nie oddam”. Przeszło dziesięć lat temu ukazał się w *Kulturze* mój i Nicoli Chiaromonte *Dialog o Sołżenicynie*. W pewnej chwili Nicoli mówi: „W książkach Sołżenicyna widać odpowiedź, a raczej jasny zarys odpowiedzi, na piekielną udrękę która, nawet jeśli nie jest narzucona przez system autokratyczny, gnębi dziś każdą świadomą jednostkę ludzką; udrękę pędzenia z dnia na dzień życia pozbawionego sensu, życia w którym człowiek czuje że gubi z dnia na dzień własną duszę”. Ja na to: „Duszę... Rzadko używa się obecnie tego słowa, uchodzi ono za domenę albo staroświeckich księży, albo wariatów”; i przypominam uwagę z *Nienasycenia* Witkacego, że „o duszy wiedzą dziś naprawdę cokolwiek tylko wariaci”. Może należałoby „wariatów” zastąpić „podwładnymi rządów totalitarnych”. Tak: oni, podwładni rządów totalitarnych, dobrze wiedzą czym jest dusza; a one, rządy totalitarne, „biją za to, że się ma duszę i bardzo dobrze wiedzą kto ma duszę, a kto nie”. To prawda że „piekielna udręka”, którą wskazuje Nicoli, nie jest monopolem systemu autokratycznego. Ale jest jego główną, rosnącą niepowstrzymanie jak złośliwy nowotwór, zawartością. I w gruncie rzeczy cała walka tam toczy się o to, by nie oddać jedynej niewidzialnej „protezy”).

Kiedy Zbieg zapewnia dalej, że „musi wierzyć w Boga, żeby być człowiekiem”, istotą jego wyznania jest konieczność wiary w cokolwiek poza czy ponad nagą naturą, wylęgarnią siły i gwałtu. Ambasador chciał wierzyć, że „to wszystko to jest tylko jeden wielki, kosmiczny bluff”; burzy mu ten upragniony obraz „bezsensowna odpowiedzialność” za ściganego człowieka. W sytuacji krańcowej oczyszczają się i upraszczają jej elementy, aż do granic oczywistości, niemal banału. Takie uproszczenie i oczyszczenie dokonuje się w *Ambasadorze* Mrożka, ale majstersztykiem jego sztuki jest wydobyć z prostych i czystych prawd ich najgłębszego znaczenia, zużytego jakby i zdewaluowanego przez *lip-service*, powtarzanie szczytnych formułek uważanych w duchu za martwe. Chodzi mi o duszę... Muszę wierzyć w Boga, żeby być człowiekiem... Jeśli nie potrafisz zdobyć się na nic więcej, uwierz choćby w honor i odpowiedzialność... Byle tylko nie wpaść w potrzask „natury”, z którego nie ma wyjścia prócz poddania się jej „prawom” (i „prawom historii”): mechanizm

mowi przemocy, strachu, nienawiści z jednej strony; grze racjonalnego sceptycyzmu z drugiej. W ostatniej scenie Ambasador, broniąc Zbiega, broni siebie. Otóż to właśnie znajduje się na samym spodzie, pod pokładami absurdu, surrealistycznej kpiny, rzeczywistości prześmiewanej w niekończącym się układzie luster. Za mało na nadzieję, dość by nie dać się zatruć całkowicie rozpacz.

7 grudnia

Popiół i diament wydano w roku 1948. W tym samym jeszcze roku napisałem w Londynie artykuł o powieści Andrzejewskiego, który wywołał w kraju dwojakie reakcje. Paru przedwojennych przyjaciół (a wówczas już „diamentowych budowniczych Polski ludowej”) dało mi, nie przebiegając z nadmiarem w słowach, znać że wolą nie utrzymywać w przyszłości stosunków z „rozbitkiem na śmietniku historii”. Trzy przysłane pocztą listy od anonimowych przedstawicieli „popiołu” zawierały gorące i jednoznacznie prawie podziękowania. Osłą mojego artykułu było zdanie: „Od pierwszej do ostatniej strony książki Andrzejewskiego jest nieuczciwa i świadomie zniekształca rzeczywistość”. Dość ogólnie sformułowane zdanie, jeśli porównać je z tym co pisze Mrozek w znakomitym artykule *Popiół? Diament?*: „Książka Andrzejewskiego jest kłamliwa, to znaczy kłamie na temat Polski sprzed trzydziestu ośmiu lat”. Albo z tym co pisze Konwicki we *Wschodach i zachodach księżycy*: „Książka Andrzejewskiego jest swego rodzaju polityczną *science-fiction*, jakie pisywaliśmy w owych czasach. Przedstawia ona rzeczywistość nie taką, jaką widać za oknem, ale taką, jaką skreował autor życzliwy dla nowoprzybyłych doktryn politycznych i przyjezdnego reżymu. Mogę o tym mówić bez skrępowania, bo sam się miałem tego procederu... Ja, kłamca, domagam się prawdy. Dla kilku pokoleń ten film (przeróbka *Popiołu i diamentu*) był prawdą o moim pokoleniu. Był prawdą wbrew mnie, ponad moją głowę, właściwie przeciwko mnie. Ale go wspierało można dłonią państwo. Reżym czynił z tego filmu etos Polaka po wielkim trzęsieniu ziemi w połowie XX wieku. To był nasz, to jest nasz dzisiejszy *Pan Tadeusz* i dzisiejsze mazurki Chopina”.

Dobrze, że Konwicki poprawia się: „to jest nasz...”. Kariera *Popiołu i diamentu* ma bowiem swój osobliwy ciąg dalszy. Andrzejewski dzisiejszy nie jest Andrzejewskim wczorajszym, jego nazwisko zdobi rozmaite protesty i memoriały, otwiera alfabetycznie listę członków KOR-u, figuruje w katalogach wydawnictw pozacenzuralnych. A przecież, o ile wiem, nie zażądał wycofania

swej kłamliwej powieści z obiegu. Co roku tysiące egzemplarzy *Popiołu i diamentu* wypycha się, jak zjeżdżała kaszkę mannę, do ust młodzieży w ramach obowiązkowych lektur szkolnych. Zapytany o powody takiej pobłażliwości wobec własnego kłamstwa, Andrzejewski odpowiadałby zapewne: „Książka jest kłamliwa, ale dobrze napisana”. Dokładnie tak samo, jak powiedział mi niegdyś Brandys w Paryżu o swoich *Obywatelach*. Z tym że Brandys, właśnie wtedy, odmówił jednak zgody na wznowienie *Obywateli*.

Zamknąłem mój artykuł o *Popiele i diamencie* fragmentem przemówienia Silonego na zjeździe PEN Klubów w Bazylei w roku 1947: „Intelektualiści jako klasa ani nie mają powodu uważać, że zachowywali się w ciągu ostatnich paru dziesięcioleci w sposób wzorowy, ani też nie ma żadnych podstaw, aby uznać za uzasadnione ich pretensje do odgrywania jakiejś przodującej roli w kierowaniu opinią publiczną. Jest rzeczą bez wątpienia niebezpieczną i trudną mówić o istnieniu elity moralnej w jakimkolwiek kraju; ale wyjątkowego już ryzyka wymagałoby utożsamianie jej z elitą intelektualną”.

Sporo zmieniło się od owych lat, surowa diagnoza Silonego wydaje się na szczęście od jakiegoś czasu nieaktualna. Byłoby jednak lekkomyślnością, i grzechem nadmiernego optymizmu, uważać proces ozdrowienia za nieodwracalny. Zbyt długo *Popiołom i diamentom* na Wschodzie wtórowały na Zachodzie takie zjawiska, jak wymyślona przez literata włoskiego formułka „literatury jako kłamstwa”, czy propozycja Foucault by „wolę prawdy” uznać za „formę represyjną wolności słowa”. W wypadku pisarzy — dopóki pokutują w nich resztki dworskiej chętności literatów, czyli producentów rzeczy „dobrze napisanych”, wszystko jedno na jaki temat, na czyj obstalunek i z czyjego mandatu — utajona groźba recydywy tli się dalej.

17 grudnia

Wspinała jest wieloznaczność pięknego filmu Wajdy o Rewolucji Francuskiej. Tak, antyrewolucyjny. A równocześnie natchniony rewolucyjnym prądem wysokiego napięcia. Wajda uważniej niż inni przeczytał *Sprawę Dantona* Stanisława Przybyszewskiej. Obiegowa opinia o jej dramacie głosi, że powstał z „zakochania się” w postaci Robespierre’a na fali historycznej „rehabilitacji” lat dwudziestych w duchu Mathieza; „zakochana” autorka „straciła głowę” dla bohatera swego romansu, z krzywdą dla jego antagonisty. Wajda też chyba uległ częściowo tej opinii, ale nie na tyle by przeoczyć wymowę ostatniej sceny,

rozmowy Robespierre’a z Saint-Justem. Zwycięski Robespierre jest w niej już w pełni świadomy, że zostanie niebawem pokonany przez zgilotynowanego Dantona. „Dantona zabić nie można”. Co w dramacie oznacza: „Życia zabić nie można”. Danton „kolos życia” jest dla Robespierre’a „nieśmiertelną bestią w człowieku”. A „póki człowiek nie przerośnie tej bestii w siebie, póty będzie się raz po raz buntować i krwawić daremnie”. Przybyszewska, podejrzewam, głęboko przemyślała *Legendę o Wielkim Inkwizytorze* Dostojewskiego. Jej rewolucyjny Robespierre znajduje się o krok od pytania starca z Sewilli: „Człowiek urodził się buntownikiem, a czy buntownik może być szczęśliwy?”. Jak chwycić „bestię”, życie, za gardło? Terrorem permanentnej rewolucji. Albo (co wychodzi na jedno) płonącymi stosami i „trzechma siłami, które mogą na wieki zniewolić i zjednać sumienia tych słabych buntowników dla ich szczęścia: cudem, tajemnicą, autorytetem”. W *Śmierci Dantona* Büchnera akt pierwszy kończy się monologiem Robespierre’a. Wszyscy go opuszczają, dokoła pustka, jest sam. „On (Chrystus) odkupił ludzi swoją krwią, ja ich odkupuję ich własną krwią... On przeżywał rozkosz bólu, ja przeżywam mękę kata”. Także tutaj za plecami Wielkiego Rewolucjonisty snuje się cień Wielkiego Inkwizytora.

A jednak bunt jest w człowieku równie nieśmiertelny, jak dantonowska „bestia”. Bunt daremny? To co nazwałem „rewolucyjnym prądem wysokiego napięcia” przybiera w filmie Wajdy zdumiewająco sugestywną formę bezsennej pogoni za spełniającym się na pozór snem. Obraz terroru w *Dantonie* Wajdy czerpie podskórnie z doświadczeń kraju, podbitego i zniewolonego przez spadkobierców rewolucji rosyjskiej. Obraz buntu sięga pośrednio do doświadczeń kraju, który wyzwolił się w ciągu kilkunastu miesięcy własnej bezkrwawej rewolucji.

Popiół i diament był zresztą przyrządzoną wersją filmową „dobrze napisanego” kłamstwa. Do *Człowieka z marmuru* i *Człowieka z żelaza* trudno przykładać miary artystyczne: oba filmy były po prostu wybuchem wzruszenia, jakby długo tłumionego płaczu. *Danton* ukazuje nareszcie całe mistrzostwo sztuki filmowej Wajdy.

Neapol, 31 grudnia

W Paryżu widziałem też *Gorączkę*, film Agnieszki Holland oparty na *Dziejach jednego pocisku* (drobny przyczynek do dziejów jednej książki: powieść Struga przypominał w roku 1947 Instytut Literacki w Rzymie).

Agnieszka Holland nakręciła swój śmiały i miejscami przejmujący film przed sierpniem 1980. Wyświetlano go dwa czy trzy miesiące w okresie polskiej rewolucji. Nie wiem co wtedy uderzało w nim szczególnie widzów. Dzisiaj, gdy film jest w Polsce zakazany, niejeden czytelnik powieści Struga zatrzyma się nad podzwonnym dla 1905 roku. „Trzeba uchronić od zatracenia olbrzymie, bezcenne i głębokie przeobrażenia duchowe, które zaszły w masach. Kiedy się ogłosi i umotywuje, że „przedstawienie skończone” — wszystko powróci do dawnego spania, liżąc rany, przeklinając cały ruch i płaszcząc się przed wrogiem... A teraz jeszcze hardym jest zbuntowany, zbity i okuty niewolnik. Ale co będzie jutro? Jutro może nadejść kres, mogą się zacząć objawy masowego upodlenia i wówczas runie wszystko co pozostało, a zostało jeszcze ogromnie dużo. Ocalało najcenniejsze: bunt! To należy podtrzymać za wszelką cenę”.

Piszę to w ostatniej godzinie odchodzącego roku. Co będzie jutro? Ocalimy najcenniejsze? Ocalimy bunt? Nie mam wątpliwości, że tak. Co więcej — będzie to bunt z każdym dniem głębszy, ale i z każdym dniem bardziej ślepy, jeśli z wysokiej ambony ogłosi się i umotywuje że „przedstawienie skończone”. Psychiczna i moralna „pacyfikacja”, choćby jej przyświecały najszlachetniejsze intencje (a nie zawsze przyświecają), musiałyby prowadzić do ciągłego rozjątrzenia ślepego buntu, ze wszystkimi jego konsekwencjami których ewentualni „pacyfikatorzy” bądź nie doceniają, bądź w ogóle nie przeczuwają. W tej wojnie, trwającej nadal mimo formalnego zawieszenia broni, regułą zbuntowanego, zbitego i okutego na nowo niewolnika może być tylko (jak mądrze pisał Poleski) milczenie morza jako jedyna forma dialogu z władzą. Co milczące morze pracowicie i cierpliwie w swoich otchłaniach przygotowało, pokaże następny akt nieskończonego przedstawienia.

5 stycznia 1983

Piranesi w Neapolu, duża wystawa antologiczna w Muzeum Narodowym. Tyle napisano o Piranesim (polski czytelnik znalazł ostatnio dwa inteligentne szkice o nim w tomie Wojciecha Karpińskiego *Pamięć Włoch*), tak w ciągu dwóch stuleci wysyłano się w poszukiwaniach „klucza” do jego sztuki, mnożąc i piętrząc interpretacje oraz ich przeróżne odgałęzienia i warianty, że bierze pokusa otrząśnięcia się (i otrząśnięcia go) z narosłego balastu „studiów piranezyjańskich”. Niewykonalne to niestety, nie można już spojrzeć na niego świeżym okiem, bez ech i refleksów spojrzenia cudzego. Można jedynie ratować się rewizją, lub kontes-

tacją nawet, sądów utartych i powszechnie przyjętych. Podobnie — i zbieżność nie jest przypadkowa — chęć dotarcia do „prawdziwego” Kafki narzuca potrzebę kwestionowania „kanonów” literatury obrastającej jego twórczość. Istnieje specjalna kategoria artystów, którzy tym uparciej opierają się i wymykają analizom, im bardziej są one (zdawałoby się) subtelne i wnikliwe. Nie ma więc „prawdziwego” Piranesiego, jak nie ma „prawdziwego” Kafki? Ściga się i tropi ich na próżno? Dziennik Kafki i wspomnienia przyjaciół o nim pozwalają się domyślać, że często bywał sam zaskoczony swoimi „dziwnymi”, „nocnymi” intuicjami i widzeniami. Piranesi nazwał *Carceri* „inwencjami kapryśnymi”, a u schyłku życia przyłgnęło już pewnie do niego na dobre miano „dziwaka”, skoro nie umiał się powstrzymać od cichej i lekko zagniewanej skargi: „Może spodoba się komuś uznać moje dzieła za *stravaganze*. Mało przejmować się będę jak określał to co robię ludzie, którzy dopatrują się dziwactw we wszystkich usiłowaniach wyjścia ze starego monotonnego stylu”.

Długo trafiała mi do przekonania uwaga Aldousa Huxley’a o *Wieżniach* wyrażających „doskonałą bezcelowość” („schody nie prowadzą do nikąd, stropy nie podpierają niczego”). Aż zrozumiałem w końcu, i potwierdziła mi to obecna wystawa neapolitańska, że Huxley mylił się gruntownie, ba — mógłby być podawany za przykład owej zwodniczej wnikliwości, która Piranesiego oddala od nas pod pozorem wyjaśniania jego „ekstrawaganckich” sekretów. Bezcelowość w *Wieżniach*? Wszystko w tych „inwencjach” jest doskonale, geometrycznie celowe. Schody prowadzą dokądś celowo: do losu człowieka uwięzionego w świecie, który jest *tylko* jego własnym tworem. Stropy podpierają coś celowo: ciężar ludzkiego samouwieszenia. Zaplanowane ogromnych śrub czy pras, z dźwigniami, kołowrotami, zwisającymi sznurami i łańcuchami, robią wrażenie architektonicznych narzędzi tortur. *Wieżnia* są geometrią zamknięcia, samowystarczającą architekturą podziemia, sennym i przejrzystym zarazem majakiem wiecznej opresji.

To był początek Piranesiego. Od niego dobrze jest przejść bezpośrednio, jak zrobiłem na wystawie neapolitańskiej, do urwanego w pół słowa epilogu. W roku 1777, na rok przed śmiercią, ciężko chory Piranesi pojechał do Paestum. W obrazach Paestum, które syn artysty musiał wykańczać po śmierci ojca, pęka nagle wizja zamknięcia. Między kolumnami świątyń greckich pogodnie sceny pasterskie, w górze głębokie i rozległe niebo, całość nasycona ostrym światłem słońca. Po nocnej geometrii *Wieżni* dzienna, wyzwolona harmonia świata otwartego. Może spodoba się komuś wyobrażać sobie Piranesiego, gdy w gorączce choroby

i zachwycenia ogląda i utrwała drżącą ręką ten świat, nie zważając już na dawne postanowienie wyjścia ze starego monotonicznego stylu. W uczonym „studium piranezyjskim” dostrzegam odcień zdumienia wobec „paradoksu” twórcy *Wieżień* a później „malarskiego kustosza rzymskich starożytności”, który w pomnikach cywilizacji greckiej wyczuwa obecność innej geometrycznej i ludzkiej normy piękna dziennego, lecz o krok od grobu nie potrafi już odkryć jej reguł.

8 stycznia

Zaraz niemal za Fiuggi zaczyna się *Valle Santa*, Dolina zwana potocznie Świętą. Pociemniało. Wjechaliśmy w ciszę, której martwota była formą zastygnięcia czasu. Krajobrazy mają nie tylko swój język, lecz i własną kadencję, jak w dobrej prozie opartej na indywidualnym i niepowtarzalnym oddechu słów. Tutaj, w miarę zbliżania się do Subiaco, kadencja krajobrazu była pulsowaniem oddechu wstrzymywanego. Wjechaliśmy w obszar wyłączony, żyjący tym wyłączeniem. Mój towarzysz podróży zapytał, czy słyszę szum Aniene na dnie doliny. Mógłby zapytać, czy widzę w zwierciadle nieba nad doliną obłoczek oddechu ziemi. Nie słyszałem szumu Aniene, nie widziałem białawej skazy na nieboskłonie tak niskim, że zdawał się przylegać do kamienistych i słabo zalesionych wzgórz.

W opowieściach o życiu Świętego Benedykta często powtarza się motyw olśnienia. Na przełomie V i VI wieku młodzieńcy *Benedetto di Norcia* dociera w swych wędrówkach do bezludnego zakątka, nazwanego później Subiaco, gdyż leży pod trzema nieistniejącymi już jeziorami górskimi, które Neron upatrzył był sobie niegdyś na rezydencję letnią. Rozgląda się, zakochanym od pierwszego wejrzenia wzrokiem bierze ten zakątek w posiadanie. Spędza trzy pustelnicze lata w grocie, która dzisiaj jest oczywiście Świętą Grotą, *Sacro Speco*, skalnym jądrem klasztoru benedyktyńskiego. Po czym myśli, lub mówi do siebie na głos: „Tutaj założę moje królestwo”. Powinien był dodać: „Nie z tego i nie z tamtego świata”. Przyciąga i werbuje innych mnichów, wsławia się szybko cudami, jedną z nielicznych skutecznych broni w epoce ciągłych najazdów barbarzyńskich (cudy Świętego Benedykta są głównym tematem książki o nim, napisanej w pół wieku po jego śmierci przez papieża Grzegorza I Wielkiego). Układa zakonny Regulamin, w którym paragraf 67 zabrania bractwom, pod groźbą dotkliwej kary, opowiadać o tym co zdarzyło im się zobaczyć w „świecie zewnętrznym”, jeśli obowiązki zakonne zmuszają ich do dłuższych czy krótszych wypraw poza

obrub klasztoru. W „świecie wewnętrznym” posłuszni są dewizie: *Ora et labora*. Ta dewiza przetrwała w ciągu piętnastu stuleci, jak przetrwał w Subiaco benedyktyński „świat wewnętrzny”. Na kamiennej ścianie *Sacro Speco* pokazują pierwszą w historii podobiznę Świętego Franciszka, namalowaną przez nieznanego artystę, gdy gość z Asyżu odwiedził Subiaco około roku 1224: figurę wędrownego hippisa o łagodnej twarzy, kontrastującej z surową twarzą na ikonach założyciela zakonu benedyktyńskiego. Dumą opactwa w Subiaco jest pierwsza we Włoszech prasa drukarska z XV stulecia.

Obecny opat Gavazzi przekroczył dawno osiemdziesiątkę, jest mały, przygarbiony i zasuszony, porusza się jednak energicznie, zachwyca żywą inteligencją i pamięcią, ma uroczy przyjazny uśmiech i na palcu złoty pierścień „ojca soborowego”. Jest wnukiem pionierów socjalizmu włoskiego.

Anna Kuliszow wyjechała z Rosji w roku 1873 jako młoda dziewczyna. Studiowała w Szwajcarii i we Włoszech, ukończyła medycynę w Neapolu. W Rosji otarła się o „narodników” i anarchistów, we Włoszech stała się krzewicielką socjalizmu. Na pozycje socjalizmu przeszedł dzięki niej sławny włoski anarchista Andrea Costa, jej pierwszy „towarzysz życia” (unikano wtedy w tych kręgach słowa „mąż”). Ich córka Andreina była właśnie matką opata Gavazzi. Labriola mawiał o Annie Kuliszow: „Socjaliści włoscy mogą się poszczycić jednym prawdziwym mężczyzną, jest nim kobieta”. Jej drugim „towarzyszem życia” był Filippo Turati, przywódca włoskiej partii socjalistycznej. Także Turatego opat Gavazzi nazywa „dziadkiem”, *nonno Turati*. Annę Kuliszow określa jako „najcudowniejszą osobę, jaką znał w życiu”. Umarła w Mediolanie w roku 1925, w rok po jej śmierci Turati uciekł z faszystowskich Włoch do Paryża. Tam w roku 1931 złożył mu wizytę młody inżynier Gavazzi, na miesiąc przed wstąpieniem do klasztoru benedyktyńskiego w Parmie. Chciał wtajemniczyć „dziadka” w swoją decyzję. „Jestem agnostykiem — powiedział mu Turati, — to są dla mnie za wysokie sprawy, abyś tylko był w życiu szczęśliwy”. Umarł na emigracji w rok potem. Stary opat uśmiecha się: „Byłem i jestem w życiu bardzo szczęśliwy”. Szczęśliwa też była jego siostra, z wykształcenia lekarka, zmarła w klasztorze karmelitanek w Arezzo *in odore sanctitatis*. O „przygodzie” ich życia opowiada świeżo wydana książka *Dall'utopia alla profezia*. Utopia dotyczy trojga dziadków, profecja dwojga wnuków.

Taki jest współczesny morał jednodniowej wycieczki do Subiaco. Wracaliśmy w gęstych ciemnościach, czarne niebo przysłaniało Świętą Dolinę, ale słychać było wyraźnie leniwy, skandowany cicho szum Aniene.

12 stycznia

Opowiadanie można by zatytułować *Cud* i szeroko rozbudować, przetykając je tu i ówdzie aluzjami do teraźniejszości. Ale nie prześcignie ekspresji, jaką posiada sucha i rzeczowa zwięzłość starych kronik. I nikt darem wyobraźni i pióra nie wzbogaci sztucznie i nie odnowi wymowy świadectw, które starzy kronikarze spisywali z troską o dokładność i wiarygodność na użytek i ku nauce potomnych. Kto ma oczy, niech patrzy; kto ma uszy, niech słucha; kto ma umysł zdolny do wiązania różnych czasów i miejsc, do łowienia dalekich asonansów, niech wiąże i łowi.

Działo się to więc w roku 1506, w lizbońską Krwawą Niedzielę dziewiętnastego dnia miesiąca kwietnia, za panowania króla Emmanuela, jak w swym przekazie kronikarskim podaje biskup portugalski Geronymo Orosio. Dziewięć lat wcześniej król nakłonił wszystkich Żydów zamieszkających w Portugalii do przyjęcia wiary chrześcijańskiej. Nazwano ich Nowymi Chrześcijanami. Od dłuższego czasu kraj był nękany dżumą i przewlekłą suszą. Ceny szły nieprzerwanie w górę, brakło towarów i żywności, pojawiło się widmo głodu. Część mieszkańców Lizbony porzuciła miasto, szukając ratunku na wsi. Wśród tych co pozostali szerzyły się kradzieże, napady, rabunki. Za namową duchownych modlono się na placach i w domach o cud. W Niedzielę, która miała się okazać Krwawą, kościół Świętego Dominika wypełnił się po brzegi, w tłum wmieszali się marynarze francuscy, belgijscy i niemieccy ze statków, które poprzedniego dnia przybiły do portu. Po lewej stronie kościoła znajdowała się Kaplica Jezusa, otoczona przez wiernych szczególną weneracją, z ogromnym krucyfiksem nad ołtarzem. Chrystus na krzyżu miał w boku głęboką ranę, wydrążoną w drzewie dziurę, zastoniętą szkłem ochronnym. Wtem z rany wytrysnęła i szybko zgasła promienna jasność. Rozległy się okrzyki „cud, cud!”. Nie wszyscy ową cudowną jasność zdolali czy zdążyli ujrzeć. Nie widział jej pewien Nowy Chrześcijanin, co też donośnym głosem oznajmił. Nie widział jej stojący obok niego marynarz niemiecki, lecz wołał milczeć. „Wielu (pisze biskup Orosio, nie ryzykując jednak przypuszczenia, że o szybkie odbił się nagle zabłąkany przez szparę w witrażu promień słońca) wątpiło o prawdziwości zdarzenia; zważywszy wszakże czas, miejsce i zgromadzenie, było wysoce nierozważne dla kogokolwiek, a zwłaszcza dla nawróconego świeżo Żyda, przeczyć temu o czym ludzie byli tak mocno przekonani”. Wywleczono niedowiarka na rynek przed kościołem, rozszarpano na kawałki i spa-

lono na ułożonym pędkiem stosie. Tej niedzieli, i w ciągu poniedziałku i wtorku, zabito i spalono w Lizbonie dwa tysiące Nowych Chrześcijan. Na wieść o Krwawej Niedzieli król kazał strykiem ukarać tych sprawców masakry i podżegaczy do niej (przeważnie zakonników dominikańskich), którzy swą winę wyznali przed komisją śledczą.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

„ORZEŁ BIAŁY — Polska walcząca o wolność”

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
WSPÓŁCZESNYM

Nr 1369/XLIII, Londyn, luty 1983.

14 prac różnych autorów — artykuły, wywiady, komentarze polityczne, felieton. Listy do i od Redakcji. Przegląd wydawnictw.

Polacy w świecie. Krzyżówka.

Cena pojedynczego numeru — £ 1.50.

Wydaje Stowarzyszenie Polskich Kombatantów. Redaguje Komitet Redakcyjny. Sekretarz Redakcji — Janusz Kowalewski.

NOWY XVI TOM „NIEPODLEGŁOŚCI”

Ukazał się ostatnio w druku kolejny, XVI tom czasopisma „NIEPODLEGŁOŚĆ”.

Na treść tego numeru składają się m.in.: dalsza seria nieznanych dotychczas listów Piłsudskiego z okresu jego pracy w PPS; Kazimierza Sosnkowskiego — *Wyciąg z pamiętników z okresu Kampanii Wrześniowej 1939* (uzupełnienie); Piotra Wandycza — *Ocena traktatów sojuszniczych polsko-francuskich* (dokument); *Sprawa „ENIGMY” Richarda Woytaka*; I część *Wspomnień Walerego Ślawka*; *Wspomnienia Janusza Rakowskiego z Biura Prasowego Prezydium Rady Ministrów (1930-1935)* oraz artykuły recenzyjne i inne.

Tom XVI obejmuje 256 stron, mapę i fotografie.

Cena wraz z przesyłką — \$ 16,00.

Do nabycia w Instytucie. Czeki wystawiać na:

Piłsudski Institute of America
381 Park Ave., South, New York, N.Y. 10016, USA

Orwell nadal aktualny

JAK MI SIĘ PODOBA*

Szczegółowe omawianie wydarzeń politycznych nie jest moim głównym zajęciem. Ale w tym tygodniu zdarzyło się coś, co nie może być pominięte. Ponieważ, jak się zdaje, jeżeli ja tego nie zrobię, nie zrobi tego nikt, chcę zaprotestować przeciwko podłemu i tchórzliwemu potraktowaniu powstania w Warszawie przez prasę brytyjską.

Kiedy tylko dotarły do nas wieści o powstaniu, *News Chronicle* i tym podobne gazety przybrały postawę wyraźnie dezaprobuującą. Wrażenie ogólne jest takie, że Polacy zasługują na bicie za to, że zrobili to właśnie, do czego radio Sprzymierzonych namawiało ich usilnie przez ostatnie kilka lat. Oraz że nie dostaną żadnej pomocy, ponieważ na żadną pomoc nie zasługują. Nieliczne gazety wyraziły nieśmiało przypuszczenie, że można by im zrzucić broń i zaopatrzenie, że mogliby to zrobić Anglo-Amerykanie oddaleni od Polaków o tysiące mil. Ale nikt, o ile mi wiadomo, nikt nie zauważył, że mogliby to zrobić Rosjanie oddaleni zaledwie o dwadzieścia mil. *New Statesman* w wydaniu z 18 sierpnia posunął się nawet do wątpliwości, czy jakkolwiek znacząca pomoc w formie zrzutów może być w ogóle udzielona w tych warunkach. Wszystkie, albo prawie wszystkie gazety lewicy pełne były nagany dla emigracyjnego rządu w Londynie, który „przedwcześnie” wydał swoim podwładnym rozkaz powstania, gdy Czerwona Armia była już u wrót miasta. Tę myśl rozwija w pełni p. G. Barraclough, który w liście do *Tribune* ostatniego tygodnia wysuwa następujące, szczegółowe oskarżenia:

1. Powstanie w Warszawie nie jest „spontanicznym, ludowym

* *The Collected Essays, Journalism and Letters of George Orwell, Volume 3, Edited by Sonia Orwell and Ian Angus, „As I Please” 1943-1945, wyd. A Harvest/HBJ Book, Harcourt Brace Jovanovich, New York and London. Przetłumaczony felieton znajduje się na stronie 224 wyżej wskazanego wydania i zaznaczony jest tamże: 65. As I Please.*

powstaniem”, ale „zaczęło się na rozkaz ‘rzekomego’ rządu polskiego w Londynie”.

2. Rozkaz został wydany bez porozumienia ani z rządem brytyjskim ani sowieckim i nie uczyniono niczego, żeby uzgodnić powstanie z działaniami Sprzymierzonych.

3. Polski ruch oporu nie bardziej jest zjednoczony wokół Rządu Londyńskiego niż grecki ruch oporu wokół króla Jerzego Hellenów (co w jeszcze większym stopniu jest podkreślane przez częsty użytek takich określeń jak „emigracyjny”, „rzekomy” itp. w stosunku do Rządu Londyńskiego).

4. Rząd Londyński przyśpieszył powstanie, aby zająć Warszawę przed przyjściem Rosjan, ponieważ wtedy „emigracyjny Rząd Londyński miałby lepszą pozycję przetargową”. Zostaliśmy pouczeni, że Rząd Londyński „jest gotów zdradzić sprawę polskiego narodu, byle tylko upewnić się w swojej własnej niepewnej sytuacji” i tak dalej, w tym samym duchu.

Za żadnym z tych oskarżeń nie ma ani cienia dowodu, choć oskarżenia numer 1 i 2 można by zweryfikować i nawet mogłyby się okazać słuszne. Mój własny domysł jest taki, że oskarżenie numer 2 jest słuszne, a numer 1 — częściowo słuszne. Zaś oskarżenie numer 3 sprowadza poprzednie dwa do nonsensu. Bo jeżeli Rząd Londyński nie jest uznany przez ludność Warszawy, to dlaczego ta ludność miałaby powstać w desperackim porwywie tylko na rozkaz tego rządu? Jeżeli obwinia się Sosnkowskiego i jemu podobnych o powstanie, to tym samym automatycznie przyznaje się, że od nich właśnie polski naród oczekuje kierownictwa. Gazeta za gazetą powtarzała tę oczywistą sprzeczność, a nie znalazł się nikt, o ile wiem, nikt na tyle uczciwy, żeby na tę sprzeczność wskazać. Co się tyczy stosowania takich wyrażań jak „emigracyjny”, to jest to zwykła retoryczna sztuczka. Jeżeli Polacy w Londynie są emigrantami, to tak samo są emigrantami członkowie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego w Moskwie. Dlaczego zostaje się emigrantem tylko emigrując do Londynu, a nie zostaje się nim emigrując do Moskwy?

Oskarżenie numer 4 moralnie jest równe przypuszczeniu wyrażonemu przez *Osservatore Romano*, że Rosjanie nie wkraczają do Warszawy, ponieważ chcą, żeby zginęło jak najwięcej powstańców. Jest to niedowiedzione i nie do udowodnienia stwierdzenie propagandy, któremu nie zależy na prawdzie, a tylko na tym, żeby obrzucić przeciwnika błotem na ile się da. I wszystko co czytałem w prasie o tej sprawie — z wyjątkiem jakichś całkiem pomniejszych gazet i wzmianek w *Tribune*, *Economist* oraz *Evening Standard* — jest na tym samym poziomie, co list p. Barraclough.

Nie znam się wcale na polskich sprawach i dlatego nie mieszałbym się do konfliktu między polskim Rządem Londyńskim a moskiewskim Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego nawet gdyby to leżało w mojej mocy. Co mnie obchodzi przede wszystkim, to postawa brytyjskiej inteligencji, która nie może

wydać z siebie ani jednego pojedynczego głosu poddającego w wątpliwość to, co jej się wydaje rosyjską polityką, wszystko jedno jaki obrót przybiera ta polityka. A w tej konkretnej sprawie: niesłychana podłość, jaką jest zdanie, że nie powinniśmy wysyłać bombowców z pomocą naszym towarzyszom broni walczącym w Warszawie. Olbrzymia większość lewicowców, którzy przelatykają wszystko, czym ich karmi w sprawach polityki *News Chronicle*, tak samo nie ma pojęcia o polskich sprawach jak ja. Jedyne co wiedzą na ten temat to to, że Rosjanie są przeciwni polskiemu Rządowi Londyńskiemu i założyli rząd konkurencyjny, a to im wystarczy i to dla nich przesadza o wszystkim. Gdyby jutro Stalin skreślił Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego i uznał Rząd Londyński, cała brytyjska inteligencja poszłaby za nim jak stado papug. Jej postawa wobec polityki rosyjskiej nie polega na pytaniu: „Czy ta polityka ma rację czy nie ma?”, ale: „To jest polityka rosyjska. Wobec tego jakby tu pokazać, że ma rację?”. Zaś tę postawę usprawiedliwia się, jeżeli w ogóle się ją usprawiedliwia, wyłącznie argumentem siły. Rosjanie są silni w Europie wschodniej, a my nie. Wniosek: nie wolno im się sprzeciwiać. Zasada ze swej natury obca socjalizmowi, a mianowicie, że nie wolno protestować przeciwko złu, jeżeli nie można mu zapobiec.

Nie tu miejsce na analizowanie przyczyn, dla których inteligencja brytyjska, z nielicznymi wyjątkami, rozwinęła aż taką, wprost nacjonalistyczną lojalność wobec ZSSR, dlaczego jest aż tak nieuczciwie bezkrytyczna wobec sowieckiej polityki. W każdym razie omawiałem je już gdzie indziej. Ale chciałbym zakończyć dwiema uwagami, które są warte przemyślenia.

Pierwsza i przede wszystkim to przesłanie dla angielskich lewicowych dziennikarzy oraz intelektualistów w ogóle: „Pamiętajcie, że za nieuczciwość i tchórzostwo zawsze przyjdzie zapłacić. Nie wyobrażajcie sobie, że przez całe lata i lata możecie robić z siebie propagandystów liżących buty sowieckiego reżymu, czy jakiegokolwiek reżymu, a potem nagle powrócić do umysłowej przyzwoitości. Raz kurwa — zawsze kurwa”.

Druga i ogólniejsza uwaga — w dzisiejszym świecie nic nie jest tak ważne jak anglo-rosyjska przyjaźń i współpraca, a nie można jej osiągnąć bez mówienia prawdy w oczy. Najlepszą drogą do porozumienia z innym narodem nie jest ślepy bezkrytycyzm wobec polityki tego narodu, posunięty aż do zaślepiania swego własnego narodu. Postawa prawie całej prasy brytyjskiej jest obecnie tak niewolnicza, że zwyczajni ludzie nie wiedzą, co się właściwie dzieje i łatwo mogą się stać zwolennikami poglądów, których za pięć lat będą się wyrzekali. Już się nam podszeptuje, że pokojowe warunki Rosjan będą jeszcze twardsze niż te, które postawiono w Wersalu (po zakończeniu pierwszej wojny światowej — przypisek tłumacza). Podział Niemiec, astronomiczne odszkodowania, praca przymusowa na olbrzymią skalę. Tych propozycji praktycznie w ogóle się nie krytykuje, a nawet wynajęto wielu pismaków lewicowej prasy, żeby je wychwalali.

W rezultacie przeciętny czytelnik nie zdaje sobie sprawy, jaką potworność się proponuje. Nie wiem, czy — kiedy przyjdzie czas — Rosjanie zechcą rzeczywiście postawić takie warunki. Przypuszczam, że nie. Ale wiem na pewno, że gdyby coś takiego się stało, brytyjska, a prawdopodobnie również amerykańska opinia publiczna na to się nie zgodzi, kiedy już przemina wojenne namietności. Jakikolwiek traktat pokojowy, jeżeli będzie jaskrawo niesprawiedliwy — sprawi tylko tyle, że zwyczajni Anglicy staną się sympatykami pokonanych, choćby to było nierozsądne, jak to się stało po ostatniej wojnie. Przyjaźń anglo-rosyjska zależy od takiej polityki, na którą oba państwa mogą się zgodzić, a ta nie jest możliwa bez swobodnej dyskusji i szczerej krytyki właśnie teraz. Nie może być prawdziwego przymierza tylko na podstawie: „Stalin ma zawsze rację”. Pierwszym krokiem do prawdziwego przymierza jest wyzbycie się złudzeń.

Na koniec zwracam się do tych, którzy będą do mnie pisali listy w tej sprawie. Niech mi będzie wolno raz jeszcze zwrócić ich uwagę na tytuł tej rubryki (*JAK MI SIĘ PODOBA — przypisek tłumacza*) i przypomnieć każdemu, że redakcja *Tribune* niekoniecznie zgadza się ze wszystkim co mówię, ale pozwala mi mówić, ponieważ stosuje w praktyce to, w co wierzy, mianowicie wolność słowa.

Tribune, 1 września 1944

(Napisane parę dni przed ukazaniem się w *News Chronicle*, w dniu 29 sierpnia, artykułu Vernona Bartletta, który zawiera przynajmniej cięć niezgody z polityką przeważającą w naszej prasie). (*Przypisek autora*)

O PACYFIZMIE

Większość pacyfistów to albo wyznawcy mętnych sekt religijnych, albo po prostu ludzie o humanitarnych poglądach, którzy są przeciwni zabijaniu i wolą dalej nie myśleć. Ale istnieje mniejszość — pacyfiści intelektualni, których rzeczywistym, choć niewyznanym motywem jest nienawiść do demokracji zachodniej i podziw dla totalitaryzmu. Propaganda pacyfistyczna zazwyczaj sprowadza się do stwierdzenia, że jedna strona tyle samo jest warta co druga, to znaczy tak samo zła, ale kiedy przyjrzeć się uważniej temu co piszą pacyfiści-intelektualiści młodsze pokolenia, okazuje się, że wcale nie wyrażają oni dezaprobaty bezstronnej, lecz zwracają się prawie wyłącznie przeciwko Brytanii i Stanom Zjednoczonym. Co więcej: nie potępiają przemocy jako takiej, lecz tylko przemoc użytą w obronie krajów Zachodu. Rosjanie, odwrotnie niż Anglicy, nie są potępiani za to, że się bronią używając środków wojennych i w ogóle cała propaganda pacyfistyczna tego typu unika wzmianki o Rosji czy Chinach.

Podobnie nie domaga się ona od Hindusów, aby wyrzekli się przemocy w ich walce z Brytyjczykami. Literatura pacyfistyczna obfituje w uwagi dwuznaczne, oznaczające w przybliżeniu — kiedy w ogóle coś znaczą — że mężowie stanu typu Hitlera są bardziej do przyjęcia niż mężowie stanu typu Churchilla i że przemoc jest wybaczalna, jeżeli jest przemożna. Po upadku Francji pacyfiści francuscy, postawieni wobec wyboru, który zaoszczędzony został ich angielskim kolegom, w większości wybrali stronę hitlerowców (czyli okupanta — przypisek tłumacza), zaś w Anglii jak się zdaje niektórzy członkowie Związku Obrońców Pokoju są jednocześnie członkami Czarnych Koszul. Pisarze pacyfistyczni głoszą pochwałę Carlyle, jednego z intelektualnych ojców faszyzmu. Ogólnie trudno się oprzeć wrażeniu, że pacyfizm uprawiany przez część naszej inteligencji wynika z sekretnego uwielbienia siły i zwycięskiego okrucieństwa. Pomyłką pacyfistów było skierowanie owego uczucia ku Hitlerowi, lecz kierunek może się zmienić z łatwością.

George ORWELL

Maj 1945

(Fragment eseju „Uwagi o nacjonalizmie”)

(Przekład Sławomira MROŻKA)

Georges ORWELL (1903-1950) angielski pisarz i publicysta. Autor słynnych powieści „Rok 1984”, „Folwark zwierzęcy” i innych. Jako urzędnik angielskiej policji kolonialnej w Burmiej zbuntował się przeciwko angielskiej polityce imperialnej i społeczeństwu klasowemu, porzucił służbę i przez następne lata żył w nędzy, w Paryżu i Londynie. Wziął udział w hiszpańskiej wojnie domowej po stronie antyfrankistowskiej, był ciężko ranny i opuścił Hiszpanię przed zakończeniem walk, co go ocaliło od prześladowań ze strony komunistycznej frakcji hiszpańskiego frontu antyfaszystowskiego, rozstrzelującej później anarchistów, do których Orwell się zaliczał. Z anarchisty stał się socjalistą i pozostał aktywnym wyznawcą socjalizmu aż do śmierci, czemu dawał wyraz w bardzo licznych artykułach i rozprawach ogłoszonych w prasie anglosaskiej. Będąc jednocześnie nieubłagany przeciwnikiem wszelkiego totalitaryzmu — został (i pozostał) uznany przez komunistów za wroga.

Wiersze

Jacek KACZMARSKI

DWIE PIOSENKI

GÓRNICY

Schodzimy pod ziemię
W katakumb bliski mrok
Schodzimy pod ziemię
Na ziemi żyć się nie da
Schodzimy pod ziemię
Na dzień, na miesiąc, rok
Schodzimy pod ziemię
Tam nie ma się jak sprzedać
Schodzimy pod ziemię
Tam broń i tam sto dróg
Schodzimy pod ziemię
W u hełmów lamp mgławice
Schodzimy pod ziemię
Tam zejść się boi wróg
Schodzimy pod ziemię
O nasze walczyć życie

Będziemy korytarze ryc
I żyć jak pierwsi chrześcijanie

I w fundamenty wasze bić
I martwych braci święcić pamięć

Schodzimy pod ziemię
W ukrytych nurtów las
Schodzimy pod ziemię
Kto został — wie czym płaci
Schodzimy pod ziemię
Kto umarł kiedyś raz
Schodzimy pod ziemię
W nas — żywych znajdzie braci
Schodzimy pod ziemię
To tylko pierwszy gest
Schodzimy pod ziemię
Za zmianą schodzi zmiana
Schodzimy pod ziemię
Nie płaczcie: jest, jak jest
Schodzimy pod ziemię
Żywi wyjdą z rana

Nie winda, gdzie komisarz tkwi
Z nabitym, ruskim karabinem.
Strzeżonych nam nie trzeba drzwi
Ziemia niejedną ma szczelinę.
I wtedy szychta się rozpocznie,
Wtedy dopiero plan przekroczym
Gdy ruszą elektrownie, stocznie
I ślepi przejrzą znów na oczy

15.11.82

KOŁYSANKA

W sierocińcu po dziedzińcu
Chodzą dzieci wkoło
A za siatką wróbli stadko
Bawi się wesoło.
Rozcwierkały w świecie całym —
Stąd i ja wiem o tym
Że to wprowadzie sierociniec
Ale nie sieroty.

— Moja mama jest w Paryżu, a mój tata siedzi,
Siostrę miesiąc już w ukryciu trzymają sąsiedzi.
Z łóżka mnie nad ranem wzięli, kiedy tatę brali
Mówiąc: teraz my będziemy cię wychowywali.
Twoja stara związała szczwana i nieprędko wróci,
Stary wyrok ma nagrany, trójkę z karku zrzuci.
I co począć z takim fantem, niech się państwo głowi,
Chcesz być, mały, milicjantem? Popraw broń wujkowi!
Kim chcę być, ani ja myślę mówić byle komu,
Tylko martwię się, kto przyjdzie mieszkać u nas w domu.

W sierocińcu...

— Tata z mamą są w obozie od pierwszej niedzieli,
Im jest znacznie niż mnie gorzej, bo nic nie wiedzieli.
O tym, że ja tutaj jestem, nie wie nikt znajomy,
Żebym tak mógł chociaż jeszcze wysłać list do domu.
Ulepiliśmy bałwana w czarnych okularach,
Obsikaliśmy go z rana i stanęli w parach.
Baczność! Spocznij! Mówi do nas dziś Generał Straszak!
Wrona Orła nie pokona, wiosna będzie nasza...

W sierocińcu...

— Tato był w kopalni, kiedy wojsko szło do boju,
Opowiadał górnik jeden, co uciekł z konwoju.
Opowiadał mojej mamie, że ich otoczyli,
Tato z szuflą stał przy bramie i tam go zabili.
Mamę wzięli do szpitala i pod drzwiami stoją,
Ale ja nie myślę wcale czekać aż nas zgnoją.
Gdy się skończy już to wszystko, gdzieś około lata,
Będę antysocjalistą — takim, jak mój tata.

W sierocińcu po dziedzińcu
Chodzą dzieci wkoło,
A za siatką wróbli stadko
Bawi się wesoło.
Rzucisz śniegiem zamiast chlebem
Wróbli sejm odleci
A po lodzie znów jak co dzień
Będą chodzić dzieci.

Jacek KACZMARSKI

3.03.82

Leszek SZARUGA

NAGLE

nagle zapomniałem
jak się pisze wiersze

gdy po ulicach miast
defilują czołgi
pisanie wierszy
może się stać rodzajem terapii
ale
ja nie mam zamiaru się leczyć
chcę oglądać wszystko
takim jak jest

gdy zabijają ludzi
gdy ludzi katują
gdy zamykają w więzieniach
pisanie wierszy
może się stać ucieczką
lecz
ja nie zamierzam uciekać

to jest moje życie
to jest mój kraj
to moje nieszczęście

i choć zapomniałem
jak się pisze wiersze
to przecież wiem
że tylko wiersz
może to wszystko
ocalić od zapomnienia

TYLKO TAK

masz zapisywać fakty
masz ocalać pamięć
wiersz ma być dokumentem
porzuć piękne słowa

przystałeś być poetą
jesteś tylko świadkiem
mów suchymi zdaniami
bez ozdób bez metafor

zastrzeleni górnicy
tobie swój głos oddali
tylko tak mogą mówić
tylko tak mogą krzyczeć

Leszek SZARUGA

Tadeusz SZYMA

AKSJOMATY

*Piękny jest ludzki rozum
i niewyciężony.
(Cz. Miłosz, „Zakłęcia”)*

Piękna jest solidarność ludzka i niewyciężona.
Ani zdrada, ni fałsz, ni zbrojne ramię przemocy,
List gończy, ani ukaz — nie zerwą czułych jej więzów.
To ona rozkuwa ręce i spaja na powrót w uścisku
I puste gniazda dłoni wypełnia oczekiwaniem
Na powrót zranionego ptaka, albo choć na pióro,
Którym spisywać będą testament wierności.
Ona rozwidla rzekę łez w deltę Dobrej Nadziei
A palcom każe głosować na wolną listę
Straconych. Wspólniczka człowieczej doli, siostra ludzkiej biedy
Równie wytrwała w cierpieniu jak niecierpliwa w radości,
Którą pragnie się dzielić. Co ona trwale połączy
Nikt ani nic nigdy i nigdzie już nie rozdzieli:
Mała podłość, wielki strach, krzyż kraty, ni gorycz diaspory.
Ona kieruje tratwy rozbitków ku wolnym portom Itaki,
Na całym oceanie samotności nie zna bezludnych wysp
I ciepłym prądem przenika w głąb mroźnych archipelagów.
Jej dotyk tkliwy, kiedy poprawia bandaż. Szorstki,
Gdy z troską okrywa obdartych albo podsuwa głodnemu
Ostatnią kromkę chleba. Stanowczo podpisuje się własnym
Imieniem i nazwiskiem nawet pod przegraną sprawą —
W imię Prawdy i Dobra, które jednak
Zwyciężają.

Tadeusz SZYMA

(Wiersz skonfiskowany w krakowskim Tygodniku Powszechnym)

Witold WIRPSZA

KRÓTKIE PRZEMÓWIENIE MERLINA NA POSIEDZENIU ORGANIZACJI NARODÓW ZJEDNOCZONYCH

Ja wam ani Oktawian, ani Herod. Ani
Jestem łagodny, ani okrutny. Ciemny jestem
I nie uda się wam dotrzeć sedna mego
Księstwa. Pomieszam wam szyki i poprzejnaczam
Wasze maszyny liczące, i nie doliczycie się
Niczego. Wasze równania będą rachunkami
O samych niewiadomych i w tych równaniach
Strona lewa zawsze się będzie równała
Prawej, i będziecie mogli wymienić symbole
Dowoli, i nic nie będziecie wiedzieli. Nie,
Nie jestem Oktawianem i poetów nie ześlę
Na Sybir; siepaczami też nie zarządzam; moje
Są moce.

Przepowiadam, że z moich mocy
Nie policzycie ani narodzonych, ani zmarłych;
Ani tych, co między narodzinami a śmiercią
Szczęśliwi są lub nieszczęśliwi; syci są lub
Głodni; chorzy są lub zdrowi. Nie policzycie ani
Opętanych, ani zachwyconych i nie
Policzycie ich grzechów, bo już nie ma w
Was ani pychy, ani miłości.

Dziękuję.

Berlin, w maju 1980 r.

KRÓTKA REPLIKA NOSTRADAMUSA NA POSIEDZENIU ORGANIZACJI NARODÓW ZJEDNOCZONYCH

Merlin mówił. Wolno mu drwić, rozumiem
Jego trudności; jest starszy i brak mu wyobraźni;
Jest także czarnoksiężnikiem. Moje sedno jest jasne:
Szyków nie pomieszam, ja szyki unieruchomię; będą
Stały, aż spełni się, co w gwiazdach do spełnienia,
A tego to ja się doliczę i nic wam do rachunku.

Przed spełnieniem dokonam operacji na konstelacjach
I koniunkcjach. Łabędź zadziobie Lirę i Smok
Pochłonie Łabędzia, Smoka zaś zaprzęgnę do obu
Wozów, po czym galop z przyczepą. Co, nie ma przyczepy,
Przyczepa to nie gwiazdozbiór?

Zobaczmy, a wam
Wara się ruszyć. Owszem, przepowiadam przyszłość;
I cóż przyszłość dla nieruchomych? Cóż to jest czas?
Dla mnie nie ma wzorców w przeszłości, ani
Jestem Neronem, ani Samsonem; niczego nie
Podpalę i niczym nie wstrząsnę. Jestem
Łagodny, ale to nie jest łagodność tak naprawdę.
Jestem okrutny, ale nie jest to okrucieństwo tak
Naprawdę. Jestem okropny

Tego nie rozumiecie;
A Merlin nie był okropny. Oba Wozy z przyczepą
(Ba, co w przyczepie?) hurkocą po drogach niebieskich
I bruk to wyboisty: same dobre zamiary. Powożę:
Strącam na wasze głowy te kocie, lwie, tygrysy
Łby: nie ruszać się, bombardowani.

I nie dziękować.

Berlin, w lutym 1981 r.

Witold WIRPSZA

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 359 — MAREK TARNIEWSKI

PŁONIE KOMITET

(grudzień 1970 - czerwiec 1976)

z odniesieniami do ostatnich wydarzeń w Polsce

Str. 200.

F. 65,00.

Archiwum polityczne

Nowa faza rewolucji technotronicznej

Świat zaawansowanych demokracji przemysłowych przechodzi ważny etap w rewolucji technotronicznej, zapoczątkowanej ponad ćwierć wieku temu wprowadzeniem do produkcji i usług komputerów. Dalszym ciągiem programowania jest eliminowanie nie tylko wszelkiej niekonceptyjnej pracy umysłowej, którą potrafią wykonać komputery, ale redukowanie niemal do zera fizycznej pracy ludzi, oddawanej robotom. Coraz mniej potrzebni są robotnicy, potrafiący wykonać każdą pracę. Coraz bardziej potrzebni są wysoko wykształceni specjaliści, obsługujący skomplikowane urządzenia. Oczywiście liczba tych potrzebnych jest wielokrotnie mniejsza od tych, których przemiany technologiczne uczynią niepotrzebnymi. Nie wiem, jak te przemiany nazwać. Nasuwają się obrazy z powieści fantastycznych Stanisława Lema. Nie są one w tej chwili jeszcze rzeczywistością, a jeśli są — to tylko w bardzo niewielkim zakresie. Niemniej wyszły one już definitywnie z fazy czystej fantazji, przyczyniając się w takich krajach jak Japonia i Szwecja do radykalnego potaniaenia kosztów produkcji i drastycznego zmniejszenia liczby zatrudnionych. Ci ostatni przechodzą prawdopodobnie do innego typu zajęć, skoro liczba bezrobotnych w tych dwóch krajach, w których automatyzacja jest większa niż gdzie indziej, jest niższa niż w krajach, w których zastosowanie robotów w przemyśle jest mniejsze. Za to zwykła konwencyonalna recesja, powtarzająca się cyklicznie w kapitalizmie, daje się bardziej we znaki¹.

Ponieważ nie tylko nadzór nad robotami, ale przede wszyst-

1. Opieram się na przemówieniu Margaret Thatcher, wygłoszonym w parlamencie angielskim w grudniu 1982 roku.

kim ich produkcja wymaga bardzo wysokich i dotychczas nieznanych kwalifikacji, rewolucja, którą przeżywamy, pociągnie za sobą przypuszczalnie daleko idące przemiany w nauczaniu politechnicznym, powstawanie nowych dyscyplin naukowych itd. Rozumie się, że chociaż nie mam najsłabszego wyobrażenia, jak przedstawiać się będą nowe działy nauk technologicznych, produkcja robotów-automatów będzie prawdopodobnie udziałem następnego pokolenia specjalistów, których w Ameryce nazywa się w potocznym języku „programerami”, z tym, że specjaliści ci będą posługiwać się nową generacją komputerów. Tak więc eliminowanie pracy ludzkiej przy taśmach montażowych w transporcie i komunikacji będzie dalszym ciągiem rewolucji technotronicznej, której wczesną kolebką była cybernetyka. Obecna faza przemian technologicznych nie jest więc czymś rewelacyjnie nowym. Jest logiczną konsekwencją i dalszym krokiem w rozwoju technotroniki².

Wszystkie te przemiany, których jesteśmy albo będziemy świadkami, splatają się z konwulsjami politycznymi i gospodarczo-finansowymi które przeżywa świat. Miałyby one miejsce i bez rewolucji technotronicznej, ale będzie ona miała wpływ na ich przebieg. Jaki — nie próbujmy zgadywać, bo tkwimy tu we mgle wszelkich możliwych niespodzianek. Nieobojętnym klimatem dla przebiegu tych przemian są ostre konflikty w światopoglądach ludzkich.

Przemiany w metodach wytwórczości przemysłowej, usługach i zapewne w jakimś stopniu w rolnictwie nie powstają w historycznej próżni, bo takiej nigdy nie było i nie będzie. Wszelako złożoność obecnej sytuacji czyni próbę przewidywania jej skutków społecznych szczególnie trudną.

Rewolucja Francuska i wstrząsy jakie w jej wyniku przeżywał świat zbiegły się niemal z powstaniem pierwszych warsztatów mechanicznych, w których instalowano urządzenia techniczne oparte na wynalazku maszyny parowej³. Niemniej rewolucja jako bunt przeciwko staremu porządkowi społecznemu nie zrodziła się w wyniku zmian w stosunkach wytwórczości. Chronologicznie je wyprzedziła. Sądzę, że w natłoku wydarzeń, które są tłem obecnej fazy rewolucji technotronicznej, wypada wyodręb-

2. W polskim języku dyscyplina, która kształci „programerów”, nazywa się teorią informacji, pospolicie zwaną „informatyką”.

3. Parowy silnik tłokowy wynaleziony został w roku 1774, prasa hydrauliczna w 1795, tokarka pociągowa — w 1797.

nić co najmniej dwa ważne zjawiska. Pierwsze — to starego typu recesja czy jak kto woli kryzys, który przeżywa Ameryka, a wraz z nią cały świat. Ponieważ rodzi ona typowe dla każdej recesji bezrobocie, zdawać by się mogło, że amerykańskie środki masowego przekazu informacji będą się starały przypisać to zjawisko bezpowrotnej likwidacji pewnych stanowisk pracy w wyniku przemian technologicznych. Tymczasem w Stanach dzieje się coś przeciwnego. Zaangażowane w zwalczanie polityki wewnętrznej i zagranicznej prezydenta Reagana tutejsze *mass media* nie mogą sobie wprawdzie pozwolić na całkowite przemilczenie zachodzących na świecie przemian technologicznych, ale wyłaniający się kryzys w stosunkach wytwórczości starają się „utopić” w kłęse bezrobocia w ogóle, nie wdając się w głębszą analizę jego wielorakich przyczyn. Przykładem — audycja o „odprzemysłowieniu” Ameryki na stacji CBS. Stacja ta, znana z nierzetelności informacji, stwierdziła, że w czasie rządów republikańskich od roku 1970 z przemysłu amerykańskiego odeszło ponad 30 milionów ludzi. Obecnie przemysł amerykański pracuje na 68 % obrotów — co odpowiada właśnie blisko 12-milionowej masie bezrobotnych. Gdy jednak nieświadomemu telewizywni sugeruje się, że owe 30 milionów to owoc postępującego paraliżu amerykańskiego przemysłu, a nie innych przyczyn, to automatycznie nasuwać się musi porównanie z rolnictwem. Wydajność rolnictwa amerykańskiego rośnie z każdym rokiem. Niemniej tylko 5 % ludności pracuje w rolnictwie. Czy oznacza to, że od 1900 roku nastąpiło „odrolniczenie” Ameryki? W 1776 Ameryka składała się w 90 % z rolników, myśliwych i rybaków. Obecnie ta kategoria ludzi zredukowana została bardzo wydatnie. Myślistwo zostało wyparte przez hodowlę bydła, rybołówstwo jest nic nie znaczącą częścią gospodarki. Z tym wszystkim ta „odrolniczona” Ameryka może wraz z Kanadą i Australią żywić cały świat.

Drugim ważnym elementem tła, na którym toczyć się będą przemiany w stosunkach wytwórczych jest walka o świat. Odbija się ona w naszym życiu niezliczoną ilością zjawisk. Jednym z jej epizodów, ale niestety tylko epizodów, była polska próba wyłaniania się z systemu sowieckiego. W sumie mamy obecnie do czynienia ze starciem dwóch tradycji i dwóch cywilizacji. Nie wymagają one żadnych dodatkowych charakterystyk. Żeby jednak dojść do sedna naszych ryzykownych przewidywań, wypada zająć się głównym celem artykułu: jak przebiegać będą społeczne skutki przemian technologicznych na Zachodzie, w Japonii, w So-
wietach i krajach im podporządkowanych.

Fakt, że w dwóch krajach o najwyższej liczbie robotów (będziemy nazywać je automatami) w produkcji ilość bezrobotnych jest niższa niż gdzie indziej, wymaga krótkiego zastanowienia. Z pozoru brzmi to niewiarygodnie, bo przecież automaty (tak jak w czasie rewolucji przemysłowej w Anglii) powinny wyrzucać ludzi na bruk. Jeśli jednak zastanowimy się nad znacznym potaniem produkcji i wzroście dochodu fabrykanta, zrozumiałe się stanie, że zwiększone zyski skłaniają go do otwarcia nowych zakładów pracy. W tych nowych zakładach znajdują jednak zatrudnienie nie zwolnieni z poprzednich, ale kadra wykwalifikowanych specjalistów. Nazwijmy ich w umownym skrócie starym polskim terminem inżynierowie. Oczywiście będą to zupełnie inni inżynierowie niż ci, którym dyplomy wydawały dawne wysłużone uczelnie. Innymi słowy, ta najnowsza rewolucja, wprowadzająca na miejsce robotników automaty, stwarzać będzie fabryki, obsługiwane wyłącznie przez inżynierów. Oczywiście inżynierów nowej nomenklatury, którzy muszą znać zupełnie nowe dyscypliny, kontrolować automaty, być znacznie od nich „mądrzejszymi”. Dlatego w pierwszej części mego artykułu wspominałem o rewolucyjnych skutkach automatyzacji w nauczaniu politechnicznym. Ale czy tylko politechnicznym? Nowa technologia wkroczyła już dość dawno do medycyny, handlu, ekonomii, bankowości, nauczania i prawdopodobnie wielu innych dyscyplin. To, że wśród ponad 10 % amerykańskich bezrobotnych jest tylko 2 % bez ukończonych college'ów ma swą szczególną wymowę. Oczywiście wymowę ograniczoną niskim poziomem amerykańskich średnich uczelni⁴. Drugim ważnym szczegółem charakteryzującym amerykański kryzys gospodarczy jest znacznie wyższy procent bezrobotnych wśród Czarnych i Portorykańczyków, dochodzący do 22-25 %, a w niektórych stanach do 30 %. Liberalna lewica — ta, która najsurowiej odnosi się do *reagonomics* — przypisuje to oczywiście rasizmowi. W okresie recesji — powiadają — największe ofiary ponoszą mniejszości etniczno-rasowe. W istocie z rzucającą się w oczy hipokryzją pomija się tu świadomie jeden ważny element. Przez ostatnie 20 lat, przy ogólnie niskim poziomie nauczania w szkołach średnich, na szczególnie ulgowej taryfie byli czarni uczniowie, których przepuszczano z klasy do klasy praktycznie bez żadnych wymagań. Owocem tego było zastraszające nieuctwo. Odpowiedzialni za to są bynajmniej nie „rasiści”, ale właśnie liberalni czarni i biali protektorzy mniejszości etniczno-rasowych. To dzięki nim procent bezrobotnych czarnych jest tak wysoki. Jednocześnie daje

4. Nazywam je „średnimi”, choć w Ameryce to, co w istocie jest poniżej środkowoeuropejskiego gimnazjum, nazywa się *high school* — szkołą wyższą.

to pewien, choć niezbyt precyzyjny obraz genezy obecnego bezrobocia. Bo skoro poza nawiasem systemu gospodarczego znajdują się przeważnie ludzie bez specjalnych kwalifikacji, to wśród źródeł obecnego kryzysu możemy odnaleźć poza błędną polityką podatkową Reagana, zwiększającą zadłużenie skarbu i słuszną polityką monetarną, redukującą inflację i stopę procentową — elementy przechodzenia całego systemu produkcyjnego w nową fazę pełnej automatyzacji, a więc przemian, które są przedmiotem moich rozważań. Jeśli teraz wrócimy do owego całkowicie zautomatyzowanego zakładu, którego właściciel, dzięki niskim kosztom produkcji, może inwestować i otwierać dalsze przedsiębiorstwa, zatrudniając nowe zastępy specjalistów, to z kolei powstaje pytanie: jak wiele tego rodzaju zautomatyzowanych zakładów może powstać w najbardziej zaawansowanych krajach kapitalistycznych, do których, jak słyszymy, poza Japonią i Szwecją należy również Szwajcaria? Przy mnożeniu się tego rodzaju fabryk ilość wszelakiego rodzaju towarów, ze względu na swą taniość, zacznie zalewać rynki innych bardziej cofniętych w rozwoju państw. To z kolei zmusi inne kraje do rozwijania postępu technicznego. W efekcie wszystkie kraje będą nasycone, a raczej przesycone własnym lub importowanym towarem. Teoretycznie dobrobyt stanie się powszechny. Ale tylko teoretycznie. Zanim do tego dojdzie (przy założeniu, że nie spotka nas jakaś nieprzewidziana niespodzianka energetyczna), inwestowanie pieniędzy w produkcję tak niewiarygodnie taniego towaru przestanie się opłacać. Po prostu w tych najwydajniej ze wszystkich systemów gospodarczych pracujących ustrojach przestanie działać motyw zysku. Czy może istnieć kapitalizm bez swojej głównej siły motorycznej? Czy ci, którzy rządzą naszym uprzemysłowionym światem są zainteresowani w tym, żeby ludzie mieli wszystkiego w bród? Wszystkiego, z wyjątkiem pracy? Myślę, że nie. Że wizja mnożących się jak grzyby po deszczu obiektów przemysłowych rozprzestrzeniających powszechny dobrobyt jest całkowicie nierealna. Kapitaliści, którzy dlatego dbają o zysk, że pieniądź jest kluczem do władzy, popadliby w czarną melancholię, ponieważ w pewnym momencie zanikłyby bodźce do inwestycji. Przy nasyconym i przesyconym dobrami społeczeństwie zniknęłaby wszelka racja dla konkurencji. Również dobroczynność straciłaby sens, a rola Kościołów polegałaby głównie na tym, by wskazywać na nędzę doczesności i wagę wartości pozamaterialnych. Nie powiem — byłaby to rola niebłaha, ale jeśli by w takim świecie jedynie Kościoły znalazły dla siebie rację istnienia, to nie można dojść do innego wniosku jak ten, że powszechny dobrobyt bez pracy byłby zarazem powszechną klęską ludzkości. W roku 1977 w numerze grudniowym *Kultury* pisałem: „Nie wydaje mi się,

żeby troska i walka o byt miały być odwiecznym atrybutem życia ludzkiego, bez którego istota ludzka będzie wędznąć lub popadać w stan kompletnej degeneracji. Twierdzą tylko, że ludzie nie mogą żyć bez angażującego ich psychicznie lub fizycznie zajęcia. Jeśli w państwach naszej strefy cywilizacyjnej znajdują się setki milionów ludzi, nie muszących myśleć o zapewnieniu bytu swojego lub swoich rodzin, ale niezdolnych do zapełnienia sobie czasu, to w rezultacie oni stać się mogą dynamitem, rozsadzającym społeczeństwo”. Myślę jednak, że do opisywanego przeze mnie stanu nigdy nie dojdzie z tej prostej przyczyny, że zaawansowane systemy kapitalistyczne mają w samych swych strukturach mechanizmy samoregulujące. Dlatego proces upowszechniania dobrobytu i eliminowania pracy ludzkiej zatrzyma się w pewnym krytycznym momencie, sygnalizującym niebezpieczeństwo rozpadu więzi społecznych. Kiedy ten moment nastąpi, w jakim punkcie postępującej automatyzacji zaczną działać samoczynne hamulce — trudno przewidzieć. Zwłaszcza teraz, gdy jesteśmy właściwie dopiero na starcie, borykając się z innym, klasycznym kryzysem, produkującym bezrobotnych dawnego, dobrze nam znanego z przeszłości chowu. Mimo to obecny proces automatyzacji, opartej na technotronice, przyniesie zachodniemu światu, a w szczególności Ameryce, niewątpliwie dobrodziejstwa. Eliminowanie z produkcji robotników niewykwalifikowanych albo nieprzystosowanych do nowej technologii nada z powrotem wysoką rangę dyscyplinom techniczno-przyrodniczym jak również naukom ścisłym. W ostatnich latach cieszyły się one w Stanach coraz mniejszym zainteresowaniem. Nie tylko dlatego, że wymagały rzetelnej i sprawdzalnej wiedzy na stopniu college'ów, ale i dlatego że dyscypliny konkurencyjne, jak prawo i rozbudowane nauki polityczne ze swą nieraz nader mgławicową wiedzą obiecywały wyższe albo łatwiejsze zarobki. Przy postępującym dobrobycie, który obiecuje nam technotronika, nie korzyści materialne staną się najważniejszym elementem w życiu obywatela wolnego świata, ale zadowalająca jego aspiracje praca. W tym miejscu powtórnice odwołać się muszę do swych dawnych artykułów. W roku 1977 pisałem: „Wielu ludzi — a wśród nich przede wszystkim marksiści — posługuje się zamierzczłym schematem, który znakomicie pasował do Europy Zachodniej i Ameryki jeszcze kilkadziesiąt lat temu i wciąż pasuje do krajów Trzeciego i Czwartego Świata. Ten schemat to konflikt między biednymi i bogatymi. Nie twierdzą, że antagonizm ten na Zachodzie nie istnieje. Istnieje, ale w naszym świecie zanika i wypierany jest przez inne, nowe przeciwieństwa. Podział w krajach cywilizacyjnie zaawansowanych będzie przebiegać coraz bardziej nie między nisko a wysoko uposażonymi. Jego miejsce zajmie antagonizm między ludźmi wyko-

nującymi atrakcyjne prace i tymi, którym praca nie przynosi żadnej radości. Ci ostatni będą pariasami społeczeństwa nowej epoki. Nie jest to sprawa najbliższych lat, ale w miarę rozwoju cywilizacji technotronicznej problem ten będzie coraz bardziej nabrzmiewał”.

Moje uwagi o mechanizmach samoregulujących, chroniących społeczeństwa zagrożone nadmiernym postępem technologicznym przed rozpadem więzi społecznych i rozsądzającą porządek społeczny anarchią dotyczyły krajów zachodnich i Japonii. Elastyczność albo lepiej samoreformowalność systemu wynika z „rozproszonego” modelu władzy, z faktu, że poszczególne człony społeczeństwa nie są podporządkowane władzy centralnej. Mechanizmy i sygnały alarmowe mogą działać, ponieważ w przeciwieństwie do Sowietów i krajów sowieto-podobnych nikt ich z góry nie kontroluje i nie tłumi. Tu wszelako niepodobna pominąć jednej potężnej siły społecznej, która rośnie w Stanach Zjednoczonych od lat — odkąd prezydent Johnson położył fundamenty pod *Great Society*, społeczeństwo, utrzymujące z funduszy stanowych i federalnych wielomilionową rzeszę ludzi, z których tylko część na to zasługiwała. Była to orgia głupoty, rozrzutności i demoralizacji. Nie będę się nad tym tematem rozwodził, ponieważ był on przedmiotem moich uwag w styczniowo-lutowym numerze *Kultury* z roku 1982. W związku z moimi obecnymi rozważaniami istotne jest to, że na skutek gwałtownego wzrostu znaczenia biurokracji stanowej i federalnej naruszona została bardzo wydatnie równowaga wielu władz i ośrodków dyspozycji, która chroniła Stany Zjednoczone przed totalitarną dyktaturą. Nosicielką aspiracji biurokracji kapitalistycznej jest Partia Demokratyczna. Zwrócił na to kiedyś uwagę wybitny komentator George Will, a co najważniejsze prof. Stanisław Andreski, który przypomniawszy przepowiednię Maxa Webera na długo przed powstaniem biurokratycznego państwa Sowietów. Max Weber przewidywał możliwość zwycięstwa biurokracji kapitalistycznej nad kapitalizmem⁵.

Partia Demokratyczna, a przynajmniej większość jej przedstawicieli, atakuje politykę Reagana czasami słusznie (np. jego dotychczasową politykę podatkową), czasami niesłusznie i demagogicznie. Siebie samą przedstawia przede wszystkim jako orędowniczkę nędzarzy i wydziedziczonych, no i jak zawsze — mniejszości etnicznych. Żadnego sensownego wyjścia z kryzysu

5. Prof. Stanisław Andreski: „Society, bureaucrats and businessmen”, *Survey* nr 4/1980.

nie proponuje prócz rozluźnienia dyscypliny monetarnej, co niezwłocznie uruchomiłoby motory inflacji — poprawiając koniunkturę gospodarczą, ale oczywiście na krótko. Czołowi demokraci i przemawiające w ich interesie politycznym *mass media* ukrywają wyłaniające się w obecnej recesji elementy nowej rewolucji technotronicznej, ponieważ w jakimś stopniu zmniejszałoby to odpowiedzialność Reagana za 12 milionów bezrobotnych. Moim zdaniem jest to jednak tylko fasada znacznie dalej sięgających ambicji amerykańskich biurokratów i ich awangardy — Partii Demokratycznej. Gdy bowiem rewolucja technotroniczna wyjdzie ze stanu embrionalnego i stanie się powszechnie dostrzegalną rzeczywistością, której dłużej kamuflować się nie da i gdy głównym problemem stanie się nie nakarmienie i odzianie ludzi, ale zapełnienie im czasu i ratunek przed „frustracją”, dla biurokracji amerykańskiej otworzy się wielka szansa. Szansa dla jej licznych agencji i społecznych opiekunów czyli wszystkich instytucji i stanowisk pasożytniczych, które Reagan z lekką przydeptą, ale bynajmniej nie zlikwidował. Któż bowiem będzie bardziej predestynowany do tego, żeby zająć się tym razem nie nędzarzami, ale pariasami, wyrzuconymi poza nawias produkcji i usług? Biurokracja, która ma naturalną tendencję, aby wszystkie akcje i inicjatywy społeczne instytucjonalizować, będzie starała się pokryć Stany gęstą siecią przychodni społecznych i czymś w rodzaju komitetów partyjnych, w których leczyć się będzie „bólaczki” zupełnie nowego gatunku „proletariuszy” — o których powstaniu nie myślał chyba nigdy ani Marx, ani Engels, ani Lenin, ale o których myślał dawno temu Aldous Huxley i przypuszczałnie w kategoriach satyrycznych Stanisław Lem⁶. Myślę też, że w walce o rząd dusz Partia Demokratyczna Stanów Zjednoczonych nie omieszkła przeciwstawić neoproletariuszy — czyli wydziedziczonych z pożytecznej pracy ludzi — tym, którzy ją mają, czyli technotronicznym specjalistom i w ogóle wszystkim, którzy nie są na utrzymaniu nowej społeczności, ale którzy tę społeczność utrzymują. W rezultacie, przy użyciu podobnych mechanizmów, które znane nam są pod inną szerokością geograficzną i w przeszłości, ukoronowaniem dzieła będzie nowy ustrój. Zsowietyzowany kapitalizm, bez wolnego rynku, bez nędzy i niedostatku przy kompletnej kontroli nad ludnością. Ułatwią tę kontrolę znakomicie elektroniczne środki informacji. Brzmi to wprawdzie wszystko jak fantazja, ale nią nie jest. Nie poddawajmy się złudzeniom, że totalitaryzmy (bo ani faszyzm ani dyktatury wojskowo-policyjne pełnego totalitaryzmu nie zapewniają) muszą być

6. Tego nie jestem pewien, ponieważ Lem więcej uwagi poświęcił dyskryminowanym przez ludzi „robotom” niż ludziom.

wyłączną domeną sowyetizmu. Wiemy już, że poprzez rozszerzającą się interwencję państwa, pod hasłem wolności i równości może powstać niezaplanowany przez żadnego doktrynera ustrój. To niebezpieczeństwo — jak również i to, z której strony ono grozi — warto zasygnalizować. Nosicielami jego są dobrze zakonspirowani wielbicielowie sowieckiego czy sowieto-podobnego totalitaryzmu i znacznie mniej zakonspirowani wyznawcy równości absolutnej⁷.

Kończąc tę dygresję nie-dygresję, zakładając, że do takiej ewentualności w Ameryce nie dojdzie, że bieg wydarzeń mimo rewolucji technologicznej potoczy się bardziej konwencjonalnymi szlakami, wypada zająć się z kolei skutkami technotronicznej rewolucji w Sowietach.

Sowiety na pozór powinny być zainteresowane w pełnym wykorzystaniu zdobyczy technotronicznych dla celów konsumpcyjnych. Skoro bowiem celem ich jest uzyskanie maksimum efektów produkcyjnych, w czym im przeszkadza niewydolny system ekonomiczny, to czyż automat, funkcjonujący zamiast człowieka, nie byłby idealnym rozwiązaniem? Byłby, gdyby wysterylizować sowyetizm z tego co w nim jest dominujące, a mianowicie z celów politycznych. Obecna i jedyna w praktyce wersja komunizmu to sowyetizm w wykładni jego ostatnich realizatorów Breżniewa i Andropowa. Celem ich jest władza nad światem. Nie tylko dlatego, że tej władzy pragną, ale i dlatego, że muszą ją przejąć, bo, choć kapitalizm jest im bardzo potrzebny, współżycie z nim nie jest możliwe na zasadzie konkurencji, w co naiwnie wierzył Chruszczow, ale jedynie na zasadzie eksploatacji i pełnego podporządkowania sobie państw kapitalistycznych, których gospodarkę życzyliby sobie przejąć w możliwie nietkniętym stanie. Do tego właśnie służy polityka zastraszania, którą bez trudu rozpoznało tysiące ludzi, żyjących w państwach strefy sowieckiej. Rozpoznał ją również od dawna prezydent Reagan i jak się

7. Co znaczy idea „absolutnej równości” w interpretacji neo-egalitarystów, starałem się wskazać w jednym z dawniejszych artykułów, opublikowanym w nr 1/340-2/341 *Kultury* z roku 1976 pt. „O amerykańskim neo-egalitaryzmie”. Obecnie przypomnę tylko czytelnikom co stanowi esencję „równości absolutnej”. Ucieleśnienie jej polega nie tylko na tym, żeby wszyscy ludzie żyli w tych samych warunkach materialnych. Chodzi również o to, żeby mieli te same społeczne, naukowe czy zawodowe osiągnięcia. Jeśli ktoś pozostaje w tyle — powiadają rzecznicy absolutnej równości — oznacza to, że jest dyskryminowany i że społeczeństwo albo jego część rzuci mu kłody pod nogi. Rozumie się, że idea ta przy całej swojej absurdalności przemawia do bardzo wielu, bo przecież przytłaczająca większość ludzi nie może o sobie powiedzieć, że osiągnęła pełnię sukcesu życiowego. Ci bardzo chętnie przypiszą winę nie własnym brakom, ale niezyciowemu otoczeniu czy też warunkom społecznego bytowania.

zdaje niektórzy niedostraszeni jeszcze do końca przywódco Zachodu. Pokojowe zastosowanie nowej technotroniki przez Sowiety nie wchodzi w rachubę. Odciągnięcie ludzi od kolejek, skrócenie im czasu pracy, zwiększenie masy towarowej na rynku mogłoby wprowadzić uczynić władzę sowiecką nieco bardziej popularną, ale te wątpliwe i krótkotrwałe korzyści nie równoważyłyby szkód. Oznaczałyby bowiem zbyt duży margines wolnego czasu, a dla wielu — pokusę zbilansowania całego swego życia. Że w Sowietach istnieje potencjalna opozycja nie tylko wśród ludów nierosyjskich, nie mamy wątpliwości, bo właśnie w Sowietach, a nie w Polsce, zrodził się pierwszy ruch dysydencki, który ostatnio tak skutecznie zdusił Andropow, wszczynając całą operację jeszcze za życia Breżniewa. Andropow, o którym prasa amerykańska pisze, że wymachuje wobec Zachodu na przemian to kijem, to marchewką (*stick and carrot* — jak można wymachiwać marchewką, której się nie ma?), na pewno nie życzy sobie odrodzenia i reaktywizacji ruchu dysydenckiego. Dlatego nie łudźmy się. O ile nowe osiągnięcia technotroniki przenikną przez granicę, oddzielającą dwa światy, to użyte zostaną w tym samym celu, do jakiego posłużyła Sowietom dawna technologia Zachodu: w celu wojny, a raczej zastraszania wojennego, oraz skuteczniejszego trzymania własnej ludności w terrorze.

Pamięć o pierwszych miesiącach inwazji armii hitlerowskiej dniem i nocą trapi przywódców sowieckich. Marszałkowie sowieccy i członkowie Politbiura są dostatecznie starzy, żeby pamiętać jak w pierwszych miesiącach wojny całe dywizje sowieckie poddawały się bez walki i jak ludność cywilna, nie tylko Ukrainy, Białorusi, ale i rdzennej Rosji, witała najeźdźców kwiatami. Witała ich, bo w nazistowskich barbarzyńcach widziała na początku tylko wyzwolicieli od komunizmu.

Dlatego automaty, które Japończycy stawiają przy taśmach montażowych na pewno już od dawna zainteresowały sowieckich specjalistów od podboju i zniewalania ludów. Niewątpliwie używały one już priorytet w sowieckiej technologii wojny i sowieckim wywiadzie. Specjaliści na pewno się już głowią, jak zastąpić bataliony piechoty kilkoma znacznie wydajniej pracującymi robotami. W porównaniu z konwencjonalnymi jednostkami armii będą miały kolosalną zaletę. Zdalnie kierowane, nie będą w stanie cofać się — tym mniej poddać się przeciwnikowi. Zaś na froncie wewnętrznym świetnie przydadzą się do trzymania ludności w posłuchu. Ponieważ zwolennicy obłaskawiania Sowietów pozostają w swej wierze niezłomni i nieprzejednani, ponieważ pacyfiści grmiącym głosem domagają się rozbrojenia Ameryki, myślę, że w swej samobójczej logice uczynią dalszy krok. Będą zalecać z jednej strony niestosowanie automatów do celów obró-

ny przed sowieckim szantażem, z drugiej — obdarzenie Moskwy nowymi wynalazkami, bo przecież te bardzo wydatnie podniosą produktywność socjalistycznego przemysłu i rolnictwa. Dlatego wydaje mi się, że przestrogi w tej materii nie są bynajmniej przedwczesne.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 24 stycznia 1983

Widziane z Brukseli

A jeżeli rzeczywiście to byli Rosjanie?

18 lutego 1954 roku Mikołaj Chochłow, kapitan KGB w misji specjalnej, zadzwonił do drzwi mieszkania jednego z budynków w centrum Frankfurtu. Otworzył mu lokator Grigori Ochołowicz, działacz NTS, emigracyjnej rosyjskiej organizacji antysowieckiej w NRF.

„Przybywam z Moskwy, powiedział na powitanie Chochłow, z rozkazem zamordowania pana. Postanowiłem jednak nie wykonać rozkazu. Mam tego dosyć...”

W kilka minut później Chochłow zeznawał przed oficerami amerykańskiego wywiadu. Ujawnił szczegóły swej misji, dał nazwiska i adresy członków jego komanda i zaprowadził agentów CIA do lasku na przedmieściu Monachium, gdzie stał porzucony samochód. Z akumulatora Chochłow wyjął złotą papierosnicę, którą technicy KGB przekształcili w pistolet strzelający zatrutymi pociskami. Dum-dum...

Chochłow nie strzelił, ale inni, przed nim i po nim, strzelali. Mordowanie uciekinierów czy działaczy emigracyjnych weszło do tradycji sowieckiej około 1926 roku, od chwili konsolidacji władzy Stalina. Jedną z pierwszych ofiar był Ukrainiec Semen Petlura, zastrzelony na ulicy Paryża. W 1930 roku porwany został, też w Paryżu, Aleksander Kutiepow, w 1932 roku zamordowano w Hamburgu Franza Wissingera, byłego kuriera kremłowskiego. Potem zginęli dwaj uciekinierzy, byli agenci KGB, Walentyn Markin i Jean Cremet, pierwszy w 1934 roku w Nowym Jorku, drugi dwa lata później w Makao.

Czarna seria sięgnęła szczytu w 1940 roku, kiedy na polecenie Stalina zamordowano w Meksyku Lwa Trockiego. Przedtem jeszcze zmarł w nieokreślonych okolicznościach, w trzy dni po udanej operacji w jednej z klinik Paryża, syn Trockiego, Lew Sedow. Dopiero po 18 latach okazało się, że chirurg i przyjaciel był także agentem KGB.

Chochłow odmówił strzelania, ale Bogdan Staszyński strzelał. On też „pracował” na terenie RFN. Pierwszy raz KGB wysłało go w 1957 roku aby zamordować działacza ukraińskiego Lwa Rebeta, drugi raz, w rok później, aby zlikwidować Stefana Bandere. Obaj Ukraińcy zginęli w ten sam sposób: Staszyński „strzelał” strumieniem zatrutego gazu, śmierć była natychmiastowa, symptomy wskazywały na atak serca.

Serce wskazało także Staszyńskiemu drogę wyjścia. Wszystkie szczegóły swoich dwóch misji opowiedział w trakcie trzeciej, kiedy zdecydował (*chez la femme*) oddać się w ręce wywiadu zachodniemieckiego.

Po rewelacjach Chochłowa i Staszyńskiego na placu Dzierżyńskiego w Moskwie zakotłowało się. Nikt nie zmarł naturalnie na atak serca, ale postanowiono zrewidować poglądy na skuteczność skrytobójstwa jako argumentu w dyskusji ideologicznej. Stalin już nie żył, *détente* i handel dyktowały swoje prawa, do salonów zachodnich nie było elegancko wchodzić przez okno z naganem w rękę.

Dwa rzeczowe argumenty dodały powagi dyskusji. Po pierwsze, wielkie szyszki wybierające wolność były coraz lepiej strzeżone, żaden agent UB nie odnalazł chyba pułkownika Monata, tak jak żaden rumuński, sowiecki czy polski „emisariusz” nie potrafił dostać się na odległość pewnego strzału w pobliże gen. Pacepy, b. zastępcy sekretarza gen. ONZ Szewczenki, czy byłych ambasadorów Spasowskiego i Rurarza. Po drugie zaś, i to może ważniejsze, Rosjanie zostali w końcu przekonani, że riposta będzie bolesna, jako że zachodnie służby tajne to także nie oddziały Armii Zbawienia.

Bułgarskie skrzydła

Stąd też kiedy turecki terrorysta Ali Agsa, który 13 maja 1981 roku, na placu Św. Piotra w Rzymie strzelił dwukrotnie do Jana Pawła II, został dwa miesiące później skazany na dożywocie, świat po wstępnym szoku uznał sprawę za zamkniętą. Papież, dzięki Bogu, przeżył, zwariowany Turek zniknął, koniec, kropka, zapomnijmy o dramacie.

Nie zabrakło naturalnie kilku niedowiadków, którzy dyskretnie wyrażali pogląd, że Agsa musiał mieć współników, ale prawdziwa przepaść dzieliła tego typu wątpliwości od poglądu, że istniał normalny spiszek międzynarodowy na życie polskiego Papieża, przepaść której nikt, wydawało się, nie odważył się przekroczyć.

Odważył się p. Ilario Martella, włoski sędzia śledczy. W listopadzie 1982 roku, 18 miesięcy po zamachu, sędzia Martella, człowiek uparty i nieprzekupny, znany ze słynnej afery łapówek Lockheeda, nakazał aresztowanie Sergiusza Antonowa, urzędnika rzymskiego biura bułgarskich linii lotniczych, oraz wysłał listy gończe za dwoma innymi Bułgarami, którzy jednak, od-

miennie niż Antonow, byli już z powrotem w Sofii. Tak narodziła się *The Bulgarian Connection*, a wraz z nią opowieść o sowieckim planie zamordowania Papieża.

Świat się zatrząsł. Kto, co, po co? Jaki jest związek między tureckim fanatykiem i mordercą, bułgarskimi liniami lotniczymi i KGB? *Cui bono, cui prodest?* Kiedy piszę te słowa, materialne elementy są tajemnicą śledztwa, ale polityczne aspekty i wątpliwości są już wyraźne.

Technika i ideologia

Technicznie biorąc, nie ma nic nowego w fakcie współpracy czy wyręki jednego wywiadu wschodniego przez towarzyszy z innego kraju komunistycznego. Integracja służb specjalnych jest na pewno w lepszym stanie niż np. gospodarcza. W 1962 roku Bela Łapusznik, agent węgierski, który wybrał wolność w Wiedniu, został otruty przez agenta czechosłowackiego, chociaż przebywał w „miejscu absolutnie pewnym”. Vlado Dapcewicz, były pułkownik, a potem przeciwnik Tito, obywatel belgijski, został porwany w centrum Bukaresztu dzięki współpracy agentów rumuńskich, przewieziony do Belgradu i skazany na 20 lat więzienia. Litwin Cessiunas, były kajakowy mistrz olimpijski, który postanowił zostać w RFN, został porwany przez agentów NRD — którzy czują się równie swobodnie na zachód co na wschód od Łaby — dostarczony Sowietom, gdzie, po „konferencji prasowej” popełnił, naturalnie, samobójstwo.

Ideologicznie biorąc, zasady „cel uświęca środki” i „dobry uciekinier to martwy uciekinier” pozostały w mocy także po rewelacjach Chochłowa czy Staszyńskiego. Niedawna wyprawa zorganizowana przez Ceausescu po życie pisarza Virgila Tanase, ujawniona przez agenta, który tak jak Staszyński postanowił zostać na Zachodzie, jest tego najbardziej tragikomicznym przykładem. Ile ofiar padło od kul agentów jugosłowiańskich we wszystkich krajach zachodnich, gdzie Kroaci postanowili odrzucić ruch ustaszowski czy inny? No i w końcu, żeby wrócić do początku tej opowieści, czy należy rozwinąć się nad kosztowną historią „bułgarskiego parasola”, który w Londynie zabił uciekiniera-dziennikarza Jerzego Markowa, współpracownika BBC i RWE i prawie zabił Władimira Kostowa, także uciekiniera i także dziennikarza, ale w Paryżu?

Dla tych, którzy znali Bułgarię z produkcji olejku różanego, Złotych Piasków oraz pliski, już taki „parasol” stanowi zaskoczenie, a coś dopiero udział w spisku na Papieża. Fachowcy pamiętają jednak, iż Bułgaria odgrywa poważną rolę w świecie cieni nie tylko w skali indywidualnej czy też jednego parasola. Bułgaria to prawdziwe mocarstwo w tej dziedzinie, tym większe, że jej wywiad i agenci od mokrej roboty to jedyni, do których Moskwa ma rzeczywiste zaufanie (jeżeli w ogóle coś takiego w tej branży istnieje) i prawdopodobnie jedyni, którym — kiedy

tylko jest to konieczne — KGB powierza wykonanie tych zadań, których sam nie chce z powodów taktycznych wykonać. Bezpieczeństwo bułgarskie, wywiad i kontrwywiad są — to nie jest tajemnica — całkowicie spenetrowane i kontrolowane przez KGB.

Sudan w 1971 i Egipt w 1978 roku wydały ambasadorów Bułgarii (wraz z drobniejszymi urzędnikami) za organizowanie spisków przeciw lokalnej władzy, która, jakby przez przypadek, właśnie się odwracała od Moskwy. To Bułgaria zwerbowała i opłacała włoskiego „syndykałistę” Luigi Scriciollo, który służył jako łącznik między wywiadem z Sofii a Czerwonymi Brygadami (negocjował m.in. „sprzedaż” Bułgarom porwanego generała amerykańskiego Doziera), a przede wszystkim funkcjonował jako szpieg przydzielony specjalnie do osoby Lecha Wałęsy, którego śledził w charakterze „oddanego przyjaciela” w Gdańsku, w Rzymie i w Watykanie.

Dwa aspekty są specjalnie zabawne. Po pierwsze, władze polskie starają się uczynić z „opieki” Scriciollo nad Wałęsą zarzut wobec przywódcy „Solidarności”, zupełnie pomijając zasadnicze „przywiązanie” włoskiego szpiega do wywiadu bułgarskiego i fakt, iż one same korzystały z informacji dostarczanych przez Scriciollo — chyba że towarzysze z Sofii nie dzielili się z towarzyszami z Warszawy tajemnicami Scriciolla. Może też dlatego, że, po drugie, właściwym odbiorcą rewelacji Scriciolla, opłacanych dolarami z Sofii, był nie generał Jaruzelski, a generał Andropow.

Z drugiej strony specjalizacja w dziedzinie olejku różanego nie przeszkadzała Bułgarii wyspecjalizować się także w dziedzinie pomocy dla światowego terroryzmu, ze specjalnym uwzględnieniem destabilizacji południowej flanki NATO w Turcji (w Grecji jest to dziś mniej ważne, jako że destabilizacją tego ogniwa NATO zajmuje się osobiście premier Papandreu — jak wiadomo uprzywilejowany partner gen. Jaruzelskiego, z którym ocierali sobie wzajemnie łzy na pogrzebie Breżniewa).

Nie wiadomo jeszcze, jaką rzeczywistą rolę odegrała Bułgaria w zamachu na Papieża, ale przy okazji śledztwa świat zainteresował się tym spokojnym wieśniaczym krajem bałkańskim. Okazało się wtedy, że specjalne przedsięwzięcie bułgarskie Kintex dostarcza broni wszystkim klientom bez żadnej dyskryminacji, z lewa i z prawa, Palestyńczykom od Arafata i od Abu Nidala, z Syrii i z Iraku, a także falangistom i muzułmanom libańskim, Czerwonym Brygadom, Rote Armee, Irlandczykom...

W Bułgarii znajduje się kilka obozów szkolenia terrorystów palestyńskich i zachodnioeuropejskich, np. w miejscowości Darwenica, na południowy zachód od Sofii, do którego wjazd prowadzi, bardzo sprytnie, przez ogromną przemysłową chlewnię.

Wyszło również na jaw, że ciężarówki TIR, zarejestrowane w Bułgarii, wyspecjalizowały się w przemyśle np. papierosów i narkotyków, że ogromny ruch ciężarówek z numerami Bułgarii jest niewspółmierny do wielkości jej wymiany handlowej, że w ogóle ruch wschodnich ciężarówek, a zwłaszcza dziwne zwy-

czaje szoferów, zatrzymujących się na odpoczynek z reguły nie-daleko lotnisk wojskowych i innych obiektów strategicznych oraz z upodobaniem manipulujących przy pieczęciach, które powinny być nienaruszone w czasie tranzytu, itd. itp. stanowi już od pewnego czasu przedmiot zainteresowania zachodnich kontrwywiadów, nawet w Szwajcarii.

Przed wszystkim jednak wyszło na jaw, że specjalnie dobre stosunki wywiad bułgarski ma z mafią turecką. To mafia pomaga Bułgarom sprzedawać broń terrorystom tureckim i organizować przerzuty do krajów zachodnich, np. do Włoch, zaś wywiad bułgarski pozwala w zamian tureckim gangsterom przewozić narkotyki też na Zachód, do Włoch przede wszystkim i Francji. Kaidowie, czyli szefowie tureckich gangów, są w Bułgarii miłymi gośćmi, mieszkają w najlepszych hotelach, są pod opieką bułgarskiej policji. Taki np. Beszir Celenk, znany „businessman”, a faktycznie jeden z szefów mafii tureckiej, przebywa w Sofii właściwie już od zamachu stanu gen. Evrena, cieszy się szacunkiem władz bułgarskich, podobnie jak jego świta, w tym kilka „artystek”. To Celenk zorganizował — w zamian za wolny tranzyt narkotyków — wielki przerzut broni bułgarskiej do Włoch poprzez port w Trieście, aferę zakończoną procesem i wyrokami na jego współników w mieście Trento (szczegóły w prasie codziennej nie bułgarskiej).

Mitoman i wariat

To w tym właśnie miejscu zaczęły mnie nachodzić nieprzyjemne skojarzenia. Choć osobiście nie jestem zwolennikiem konspiracyjnej teorii rozwoju świata, to jednak w miarę poszukiwania prawdy nasuwało mi się coraz więcej wątpliwości. Mimo że, jak napisał *New York Times*, wysokie koła w Waszyngtonie nie mają sprecyzowanego poglądu na rodzaj stosunków, jakie łączyły Agsę z wywiadem bułgarskim, ja zaczynam mieć. Oto bowiem:

a) Przed podróżą do Sofii Agsa był skazany na dożywocie za zamordowanie dziennikarza i przebywał za kratami „najpewniejszego” więzienia w Turcji. Ktoś oczywiście musiał mu pomóc w ucieczce. Może mafia? W każdym razie władze tureckie na nowo otworzyły śledztwo w sprawie tej „niezrozumiałej” ucieczki...

b) Agsa oczywiście nie mógł bez czyjejs (?) pomocy znaleźć się w Sofii po ucieczce z więzienia. Urzędnicy w Sofii odpowiedzieli na pytania amerykańskiego dziennikarza, że do Bułgarii wjeżdża 3 miliony turystów rocznie i że w obrocie z Turcją nie obowiązują wize. Nie powiedzieli jednak, że kontrola jest absolutna, że każdy turysta musi wypełnić specjalny formularz, że paszporty są stemplowane i kontrolowane, że, krótko mówiąc, bez zgody wywiadu bułgarskiego żaden turysta, a nie tylko terrorysta Agsa, skazany w Turcji, nie mógłby się dostać do Bułgarii. W zeznaniach urzędników bułgarskich, którzy stali się

nagle szalenie rozmowni, zachodzą zresztą spore sprzeczności. Według niektórych źródeł Agsa wjechał rzekomo do Bułgarii na podstawie paszportu hinduskiego wystawionego na nazwisko, naturalnie, Singh. Wtedy jednak, jako nie Turek, musiałby mieć wizę. Bułgarzy z oburzeniem pytają, dlaczego Agsa mógł się swobodnie poruszać po Włoszech, Hiszpanii czy RFN, a nie mógłby po Bułgarii, dlaczego Bułgarzy mieliby być bardziej czujni niż Niemcy czy Włosi? Dobre pytanie...

c) Agsa, oczywiście, nie mógł zamieszkać bez zgody wywiadu bułgarskiego w najlepszym hotelu Sofii „Witosza” (zbudowanym przez amerykańsko-japoński koncern New-Otani, ale wyposażonym w mikrofony już przez KGB), gdzie od tragarza w górę cały personel należy do tajnej policji. Otóż, coś za zbieg okoliczności, to w tym hotelu właśnie Agsa mieszkał przez 50 dni równocześnie z Celenkiem. Bułgarzy ciągle zresztą twierdzą, że Celenk zajmuje się eksportem... wody mineralnej, choć powinni wiedzieć, że zanim jeszcze powstał plan zabicia Papieża, Celenk już był bohaterem listów gończych jako szmugler narkotyków i broni. Po co w ogóle szum? Jeżeli Celenk jest taki czysty, to najlepiej wysłać go na Zachód albo do Turcji, a już tam ten eksporter wody mineralnej potrafi udowodnić swą niewinność. Tymczasem Celenk nie tylko nie wyjechał, ale po prostu zniknął z hotelu, do którego się w międzyczasie przeniósł, a który nosi nazwę... „Moskwa”. „Ma katar” — powiedział zachodnim dziennikarzom bułgarski MSZ.

d) Agsa, bez pomocy wywiadu bułgarskiego, nie mógł opuścić Sofii. Kiedy wyjechał, miał kilka paszportów, kupę pieniędzy i plan podróży przez kilka krajów Europy.

e) Agsa, oczywiście, nie mógł w Rzymie działać sam. Miał współników, ktoś w końcu wynajął mu pokój w hotelu, dał mu 50.000 DM i, drobniacz, rewolwer.

Przeciwnicy teorii spiskowej powiadają, że Agsa to fanatyk, mitoman i wariat. Bardzo możliwe. Normalny człowiek nie morduje rzymskiego papieża. Jak jednak wytłumaczyć:

a) że ten mitoman i wariat pamięta gdzie mieszkał w Sofii i gdzie spotkał Celenka, który mu obiecał nie tylko 3 miliony DM za strzelanie do Papieża, ale także powiedział, jak i kiedy miano go uwolnić z więzienia w Rzymie, jak miano go (tak jak w Turcji) wykraść lub wymienić, co potwierdzałoby prewencyjne aresztowanie w Sofii Bogu ducha winnych młodych turystów włoskich;

b) że ten mitoman i wariat rozpoznał Antonowa i dwóch innych Bułgarów, Ajwazowa i Wasilewa, z setki zdjęć, jakie mu pokazano w czasie śledztwa, że potrafił opisać mieszkanie Bułgarów i wskazać budynek zarezerwowany dla pracowników ambasady, przed którym na 2 dni przed zamachem i w czasie „próby generalnej” zatrzymali się, aby zabrać broń, i podać nawet zastrzeżony telefon Antonowa;

c) że ten mitoman rozpoznał akurat tych trzech Bułgarów, których nie tylko podobizny, ale i nazwiska i adresy jako pra-

cowników wywiadu bułgarskiego ujawnił policji Luigi Scriciollo, „syndykalista” włoski przypisany do osoby Wałęsy, a faktycznie agent Sofii;

d) że ten wariat przestrzegał mimo wszystko określonych reguł gry i nie zaczął sypać rewelacjami o *Bulgarian Connection* przed upływem terminu obiecanego mu uwolnienia z więzienia.

Trzy razy tak...

A *posteriori* spiskowy scenariusz wydaje się genialnie prosty. Zbrodnia prawie idealna. Bierze się notorycznego mordercę, prawnicowego fanatyka, posyła się go do Watykanu, gdzie po zastrzeleniu Papieża ma on być również zastrzelony albo przez ochronę Papieża, albo przez obecnych obok na placu agentów bułgarskich. Po kilku tygodniach szok mija, jak również pamięć o Papieżu i o Agsy. Sprawa zamknięta, można pisać nowy scenariusz.

A jednak się nie udało. I ofiara i zamachowiec przeżyli. Papież milczy. Agsa nie. Na Zachodzie wybuchła burza. TV, radio, parlamenty, prasa. Wschód, jednak jakby zakłopotany, milczał, a potem, kiedy przeszedł do kontrofensywy, były to tylko oburzenie, szyderstwa i wyzwiska. Aż dziwne. Władze polskie, które postanowiły przeprowadzić wszystkimi siłami policji ogólnokrajowe śledztwo w sprawie jednego przypadkowego spotkania Wałęsy z Krohnem, niedoszłym zamachowcem na Papieża w Fatimie, tym razem okazały się wyjątkowo nieporadne. Nawet Scriciollo przestał być wymieniany. Przypomniano natomiast pożar Reichstagu i Bułgara Dymitrowa...

Nie wiem, czy był spisek, a jeżeli był, to po co? Ponieważ jednak Moskwa, Sofia i Warszawa nie potrafiły, czy nie mogły wyjść poza święte oburzenie, zaklęcia i wyklęcia oraz rolę syjonizmu i CIA, to postaram się przeprowadzić rozumowanie *sine ira et studio*. Będzie to naturalnie operacja spekulatywna, oparta jednak na rzeczowych przesłankach.

Pytanie główne — żeby zostać przy łacinie — brzmi naturalnie: *cui prodest, cui bono*? Odpowiedź „pozytywna” i adres ZSSR mogą być potrójnie uzasadnione.

Po pierwsze, czas akcji. W maju 1981 roku „Solidarność” była, pozornie, u szczytu siły, a reżym był, pozornie, w strzępach. Dziś wiemy, że zamach wojskowy już był wtedy w przygotowaniu, a elegie o dialogu i szczyty generała z Prymasem i Wałęsą były zwyczajnym manewrem dla wygrania czasu. Wtedy jednak szanse powodzenia zamachu były jeszcze dalekie od stu procent. Nikt także nie zdementował dotąd wiadomości o wysłaniu przez Papieża tajnego orędzia do Breżniewa z przestrogą przed interwencją w sprawę polskie. Niewykluczone, że w takiej sytuacji, na siedem miesięcy przed puczem i przed ujawnieniem faktu, że „Solidarność” nie jest w stanie przeciwstawić się policji

i wojsku, Kreml doszedł do wniosku, że likwidacja „Solidarności” musi zakładać uprzednią likwidację polskiego Papieża.

Po drugie, w maju 1981 roku była już zapowiedziana i właściwie pewna druga wizyta Papieża w 1982 roku w Polsce. Rozumowanie Moskwy jest łatwe do odtworzenia: z jej punktu widzenia pobyt Papieża w Polsce był nie do zaakceptowania. Wybór Polaka na tron pontyfikalny i pierwsza Jego wizyta stanowiły istotnie punkt zwrotny — choć przesadnie chyba oceniany przez Moskwę — w odnowie społeczeństwa polskiego i w narodzinach procesu, który doprowadził do powstania „Solidarności”. Następną wizytą doprowadziłaby reżym do całkowitego rozpadu. Trzeba było zapobiec tej wizycie. W maju 1981 roku reżym Jaruzelskiego był za słaby, aby zabronić Papieżowi wjazdu do kraju. Udany zamach w Rzymie załatwiłby sprawę...

Po trzecie, Moskwa nie może pogodzić się z ekumenizmem i ewangelizmem Jana Pawła II. Ataki prasy sowieckiej i czechosłowackiej na „subwersyjną centralę” w Watykanie są wystarczająco wymowne. Wyniesienie prymasa polskiego do godności kardynalskiej może być uznane za formalność, ale fakt, iż na liście nowych purpuratów znalazło się czterech biskupów z krajów skomunizowanych ma swoją wymowę. Tym bardziej, iż jest wśród nich ks. Wajwoc (nie ręczę za ortografię) z Rygi, jedyny (87 lat) żyjący kardynał na terytorium ZSSR i że biskup Wilna, ks. Stepanowiczus jest już także — według dobrych źródeł — kardynałem, tylko że na razie *in pectore*.

...i trzy razy „nie”

Z drugiej jednak strony na pytanie *cui prodest* trzeba przytoczyć i argumenty „negatywne”, także potrójnie uzasadnione.

Po pierwsze więc jest rzeczą mało prawdopodobną, aby na Kremlu był ktoś wystarczająco krótkowzroczny, aby przypuszczać, iż usunięcie Papieża mogłoby usunąć „polski problem” z porządku dnia w bloku wschodnim, uratować komunizm od promieniującego opadu polskiej bomby solidarnościowej. Odwrotnie nawet, przypuszczam, że są ludzie na Kremlu wystarczająco inteligentni, aby wyobrazić sobie, iż w pewnych okolicznościach Papież mógłby być właściwie jedynym człowiekiem zdolnym odwieść Polaków od decyzji zbrojnego buntu czy innego rodzaju katastrofy. Kościół przywykł liczyć się z układem sił i prowadzić dialog z władzą świecką najbardziej nawet zohydzoną w narodzie. Hasło prymasa Glempa „nie przelewać krwi polskiej” jest możliwe do zaakceptowania przez Sowietów, naturalnie pod określonymi warunkami kapitulacji, a te są kwestią dyskusji. Gdyby jednak został dowiedziony udział Moskwy — faktycznych mocodawców Jaruzelskiego — w zamachu na Polaka-Papieża, to nawet i Kościół musiałby przestać funkcjonować jako pośrednik między władzą a społeczeństwem i jako amortyzator niezadowolonych społecznych.

Po drugie równie mało prawdopodobny jest pogląd, że gdyby jednak projekt zamachu narodził się w głowie Moskwy, to Kreml powierzyłby jego wykonanie akurat Bułgarom, którzy już faktycznie stanowią republikę sowiecką, i których każdy gest nasuwa automatycznie wnioski o inspiracji i rozkazach idących z ZSSR.

No i po trzecie, i najważniejsze, w maju 1981 roku Andropow brał już udział w wyścigu po spadku po Breżniewie. Andropow jednak wiedział na pewno, iż jeżeli zostanie dowiedzione, że rewolwerem Turka kierowała dłoń bułgarska, a tę prowadził rozum Kremla, to, przynajmniej na jakiś czas, wejście Andropowa na zachodnie salony byłoby niemożliwe.

Gdyby udział KGB, którym Andropow jeszcze wtedy kierował, i którym faktycznie także i dziś kieruje, został dowiedziony, to zachodnia strategia powrotu do *détente* musiałaby ulec rewizji. Breżniew, a po nim Andropow i biuro polityczne byli śmiertelnymi przeciwnikami demokracji, mają jednak na Zachodzie opinię osób odpowiedzialnych. Udział w zamachu na Papieża musiałby tę opinię podważyć. Europa zaczęłaby się z powrotem i na nowo bać Kremla, chociaż w tym właśnie momencie bała się przede wszystkim... Reagana. Andropow odpadłby wtedy z przedbiegów do Kremla nie tylko jako polityk nie do zaakceptowania przez Zachód, ale także jako odpowiedzialny za sfuszerowanie tak ważnej konspiracji.

Czy dowiemy się prawdy?

Tyle obrony ZSSR, co w moim pisaniu nie występuje często. Na tym jednak sprawa się nie kończy. Pozostaje waleczny i mądry Zachód. Dla Zachodu pytanie *cui prodest* jest oczywiście także ważne. To z Andropowem Zachód musi teraz negocjować przyszłość świata. Pytanie tylko, z jakim Andropowem? Z Andropowem, szefem kolosalnego aparatu represji i tortur, szefem ustroju opartego na gułagu i nietolerancji, ale z człowiekiem pragmatycznym, szanującym i znającym układ sił na świecie, świadomym ryzyka atomowego, czy też z Andropowem mordercą bezbronnego księdza?

Tak postawione pytanie zawiera właściwie i odpowiedź: nigdy, to znaczy przez dziesięciolecia, nie dowiemy się prawdy. Są zbrodnie, których ZSSR nie ujawnia, np. prawdy o Katyniu; są zbrodnie, których Zachód nie ujawnia, np. o zamachu na Kennedy'ego. Należy założyć, iż Antonow zostanie wymieniony na aresztowanych w Sofii młodych Włochów, że Agsa albo umrze na zapalenie płuc, albo po prostu uznany zostanie istotnie za wariata i mitomana i przestanie przeszkadzać w powrocie do *détente* i w układach o zmniejszeniu ryzyka gryba atomowego. W 1983 roku albo w orwellowskim 1984 roku dojdzie do szczytu Andropow-Reagan albo, nieco później, do szczytu następcy An-

dropowa - następcą Reagana. W każdym razie „dossier 13 maja 1981” zniknie ze stołów dyplomacji światowej.

Małeńki przykładzik widziany z Brukseli. W ciągu ostatniego roku Belgia wydała kilku szpiegów sowieckich, interesujących się specjalnie, nic w tym dziwnego, siedzibą NATO, EWG i ich tajemnicami wojskowymi i technologicznymi. Zrobiła to jednak w wielkiej dyskrekcji. Do dziś zresztą belgijskie MSZ udaje, że o niczym nic nie wie. A dlaczego?, spytacie. A dlatego, bo Moskwa zagroziła, że jeżeli Belgia ujawni ekspulsję, to ZSSR wydałi Bogu ducha winnych dyplomatów belgijskich, a jest ich już niewiele w Moskwie, ale przede wszystkim wycofa zamówienia w belgijskich stalowniach i zabroni statkom sowieckim tranzytować przez port w Antwerpii. A że podczas kryzysu każdy grosz się liczy...

Stąd nie należy się dziwić także Stanom. Choć Brzeziński i Kissinger — nienajgorsi przecież fachowcy — uznali, iż udział sowiecki w zamachu na Papieża jest niewątpliwy, to tzw. „źródła” dobrze poinformowane w Waszyngtonie (nie mogące jednak być wymienione z nazwiska) wyraziły poważne zastrzeżenia wobec dziennikarzy z *New York Times'a*. Aczkolwiek koła te są przekonane o związkach między Agsą a wywiadem bułgarskim, o jego pobycie w Sofii itd., to jednak „nie są przekonane” o udziale tego wywiadu w zamachu na Papieża. Dla CIA np. — która jest bardzo sceptyczna — związki Agsy z Bułgarami „nie są jasne”. „Źródła”, oczywiście niezależne, podkreśliły, że informacje jakimi USA dysponuje pochodzą wyłącznie od rządów europejskich, że organy amerykańskie nie prowadziły w tej sprawie własnych dochodzeń. Stąd także rząd Reagana, który poprzednio korzystał z każdej najbardziej fantazyjnej okazji aby atakować Kreml, w sprawie Agsy zachowuje się dyskretnie i ostrożnie. Aby wybielić Andropowa zanim sprawa dojdzie do punktu, z którego nie byłoby powrotu, CIA — jak podaje *Los Angeles Times*, dochodzi do absolutnie karkołomnych wniosków. Główny z nich sugeruje, że Bułgarzy znali plan zamordowania papieża przez Agsę, ale nie chcieli z nim się „skojarzyć”, bo uznali go za nieodpowiedzialnego. Dlaczego jednak pozwolili mu wyjechać i nie uprzedzili Papieża, tego już nawet CIA nie potrafi wyjaśnić. I słusznie: nie ma nic do wyjaśniania. Powoli wszystko staje się jasne. Wysocy urzędnicy państwowi wyjaśnili *New York Times'owi*, że dzieje się tak, aby „w bardzo delikatnym momencie uniknąć niepotrzebnego zaostrzenia napięcia między Wschodem i Zachodem”.

Duet polsko-niemiecki

W tym miejscu należy przypomnieć, że chodziło nie o byle jakiego Papieża, a o Polaka. Dwa są polskie aspekty dzisiejszej ewangelii.

Po pierwsze, wraz ze wspomnieniem zamachu na Papieża,

z zachodnich zmartwień miałyby zniknąć także w ogóle sprawa polska. Jest to naturalnie temat oddzielny i bardzo ciekawy, ale już dziś trzeba powiedzieć, że z Andropowem liberałem, reformatorem, białym jak śnieg, który przez 15 lat był szefem KGB, można rozmawiać na każdy temat, nawet atomowy i nawet, zdaje się, po angielsku, pod jednym wszakże warunkiem: szacunku dla sanktuarium komunistycznego, dla dominacji sowieckiej w krajach bloku komunistycznego. Innymi słowy, Moskwa gotowa jest pójść wszędzie na koncesje, tylko nie w tym co dał ZSSR nie tyle układ Jałtański z 1945 roku ile układ z Hitlerem z roku 1939. (Warto to przypomnieć z okazji 50-lecia kariery Hitlera i jego tysiącletniego Reichu).

W tych warunkach Polska powinna poddać się normalizacji. Jeżeli sami Polacy temu nie przeszkodzą, to Zachód się temu nie przeciwstawi. Trzeba to wyraźnie powiedzieć, zanim się tym tematem nie zajmiemy szerzej.

W znakomitym szkicu opublikowanym w poprzedniej *Kulturze* Tymoteusz Klempski pisze, że mnie pozostawia furję antyniemiecką. Nie wiem dlaczego właśnie mnie, wcale mi na tym nie zależy. Tym niemniej znowu ja muszę zareagować na artykuł Theo Sommera zamieszczony w *Die Zeit*, który nieprzypadkowo ukazał się w rocznicę puczu, 10 grudnia 1982 roku. Byłem wtedy w USA i przeczytałem, że p. Sommer, liberał i demokrata niemiecki, uważa, iż tak jak Niemcy w imię pokoju zrezygnowali z marzenia o jedności narodowej, tak Polacy, w imię tego samego pokoju, powinni zrezygnować z marzeń o niepodległości narodowej.

Od razu odpowiedziałem mu w prasie amerykańskiej i belgijskiej, przypominając iż zachodzi skromna różnica między marzeniami narodu, który wywołał drugą wojnę światową, a ofiarą, do dziś, tej wojny. Miałem nawet zamiar kontynuować wymianę zdań na ten temat, kiedy dwa tygodnie później, w styczniu 1983 roku przeczytałem w *Herald Tribune*, zamiast polemiki z Sommerem, artykuł Polaka, p. prof. Bromke, który stanowi właściwie praktyczne rozwinięcie teorii Sommera. Razem ten dziwny, nienaturalny duet polsko-niemiecki dostarcza zachodniemu burżuazji całkowitej argumentacji filozoficznej i praktycznej (*détente* w Europie i jaruzelszczyzna w Polsce) na zapomnienie „Solidarności” i Polski w ogóle. (Mnie furia antyniemiecka wystarcza, może teraz p. Klempski przejmie furję antybromkową).

Z drugiej strony, niedługo będzie znakomita okazja, aby Polacy powiedzieli co myślą o teoriach Sommera i radach Bromkego. Na czerwiec tego roku zapowiedziana jest druga wizyta Papieża w Polsce. Dwie są możliwości, każda z nich wymagać będzie zajęcia stanowiska przez polskie społeczeństwo. Albo do wizyty po prostu nie dojdzie, bo reżym Jaruzelskiego się jej nastraszy i ją odwoła lub postawi takie warunki, że Papież nie będzie mógł ich przyjąć. Albo Jan Paweł II do Polski przyjedzie i wtedy dojdzie do spotkania między Papieżem i 30 milionami

Polaków. W każdym jednak razie w czasie wizyty, a także zamiast wizyty, Polacy zabiorą głos i powiedzą jak sobie wyobrażają swą przyszłość. Wtedy dopiero, w obliczu tej postawy, świat otrzyma być może odpowiedź na pytanie, czy Andropow był na placu Św. Piotra w Rzymie w dniu 13 maja 1981...

Leopold UNGER

P.S. „Instytut popularyzacji humoru narodów”, który ma siedzibę w miejscowości Gabrowo w Bułgarii, informuje, że szósta Międzynarodowa Biennale Humoru i Satyry odbędzie się między 27 maja a 30 września 1983 roku. Celem Biennale jest „przeгляд współczesnej twórczości humorystycznej i satyrycznej”. Organizatorzy „zachęcają twórców do wykorzystania nieskończonych możliwości humoru i satyry dla tworzenia dzieł promieniujących radością życia i potępiających zdecydowanie to wszystko, co hamuje ludzkość w jej dążeniu do moralnego doskonalenia się, do humanizmu i postępu”. Dewizą Biennale jest: „Świat przeżył ponieważ umiał się śmiać”.

Niektórym faktycznie udało się przeżyć. Chociaż wcale im nie było do śmiechu.

L. U.

PRZEDPŁATA NA KSIĄŻKĘ ANDRZEJA CHCIUKA

Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie ogłasza przedpłatę na pośmiertną książkę ANDRZEJA CHCIUKA „TRZYSTA MIESIĘCY” — dalszy ciąg „Emigranckiej opowieści”. Nowa powieść jest szeroko zakrojonym obrazem życia emigracji polskiej w Australii — czytelnicy we wszystkich krajach polskiego osiedlenia znajdą znajome sytuacje, postaci.

Cena w przedpłacie \$ 15,00 (z przesyłką) bądź równowartość w innej walucie. Czeki należy wystawiać na:

Polish Canadian Publishing Fund
P.O. Box 173, Postal Station „B”
Toronto, Ont., Canada, M5T 2T3

Kraj

Notatki

Bardzo trudno pisać. Choć zewsząd słyszy się, że różni ludzie prowadzą dzienniki. Przedtem były to „dzienniki stanu wojennego”, co brzmiało dobrze. Teraz — dzienniki stanu, który trudno nazwać.

Niedawno M. przechwalał się przy stoliku w kawiarni, że robi coś takiego. Następnego dnia przyszli, szukali krótko, znaleźli dziennik przyklejony pod stołem, i poszli z nim. Autora zostawili. Nieprzyjemnie spisywać co się myśli, robi i co robią inni kiedy się wie, także z własnego doświadczenia, że w każdej chwili mogą wejść i zacząć to sobie czytać. Dlatego ludzie pióra dużo teraz mówią o skrytkach, fantazjują na temat różnych technicznych sposobów na nie, trochę jak się fantazjuje na temat ucieczki z więzienia.

Żyjemy w niezwykłości. Dwie wielkie, wrogie, szczepione ze sobą i absolutnie różne siły szamoczą się bez przerwy, w sytuacji całkiem nowej dla wszystkich — i to daje niebywałą mieszaninę form przemocy i obrony, podłości, śmieszności, strachu, heroizmu. Konspirowanie jednych, kolaborowanie drugich, napisy na dachach, sztandary na kominach, wrzaski w telewizji, ośmupiające produkcje Urbana, które wykonuje jako konferansjer programu rządowego, wspaniałe msze na Żoliborzu u księdza Popiełuszki, w Leśnej Podkowie u księdza Kantorskiego, to znów samochody, drzwi i chałupy podpalane przez „nieznanych sprawców” — wszystko to chce się zapisywać niczym przygody w podróży, jaka się zdarza tylko raz.

Potem okazuje się, że doświadczenia są wspólne, historyjki te same, notatki podobne w sformułowaniach. Tak jakby fakty nas przerastały. Oczywiście, to bierze się także ze wspólnoty,

bo przecież w niej naprawdę żyjemy, jak nigdy. Byłoby jeszcze dobrze, gdyby tutaj tylko o wspólnotę chodziło.

Gorzej, bo nie dajemy sobie rady z czasem; wciąż nie możemy złapać jego rytmu; w końcu nie od nas on zależy. Już zaczynamy sobie coś jakoś układać, ustalamy plany i spotkania, choćby w sprawach najzupełniej prywatnych — gdy nagle dowiadujemy się, że coś (np. ZASP) zostało rozwiązane i na to trzeba odpowiedzieć protestem, albo że kogoś aresztowali i trudno w tych warunkach obchodzić imieniny. Czy też po prostu wyszła nowa ustawa, zakaz, nakaz. Nie można dokądś pojechać, czegoś kupić, trzeba sobie wyrabiać jeszcze jeden idiotyczny papiererek. Zalewają nas fale wściekłości, które oni wywołują z wprawą — mam wrażenie — rosnącą.

Poza tym — niepewność, oczekiwanie na decyzję w sprawie odwieszenia tego lub innego związku, zamknięcia pisma czy teatru. Albo domysły: wytoczą proces, czy go nie wytoczą? Że proces byłby najzupełniej niepraworządny nie ma przecież znaczenia: prawo ogłaszają sami, na każdy rok, na każdy miesiąc — jak się wydaje rozkazy dzienne. Można oczywiście powiedzieć, że takie prawo jest bezprawiem, i to już jest krok naprzód, bo przynosi porządek w rozumowaniu. Niemniej żyjemy w zasięgu tego prawa-bezprawia, które działa także wstecz, da się rozciągać na wszystkie strony, a więc nigdy nie wiadomo kiedy i gdzie wyrośnie macka, która nas dosięgnie.

Władza chce skupić na sobie naszą uwagę. Za Gomułki, za Gierka wciąż nam o sobie opowiadała w tonie podniosłym, o wszystkich swoich rytuałach. Mieliśmy ją kochać. Teraz tego od nas nie wymaga — mamy tylko wciąż patrzeć na nią i na wszystkie jej poruszenia jak królik na węża, coraz bardziej spalizowani.

Niezupełnie się to władzy udaje. Jeden z przyjaciół przeprowadził eksperyment: pytał różnych spotkanych znajomych o aktualny skład Biura Politycznego i Sekretariatu KC — wiedzieli nadzwyczaj mało. Albo: zmieniono kierownictwo Radiokomitetu. Kiedyś byłoby to sensacją, wywoływałoby spekulacje. Teraz pies z kulawą nogą się nie zainteresował. Nareszcie ludzie zrozumieli, że te wszystkie ruchy na politycznym Olimpie nie mają żadnego głębszego znaczenia, że to nie są zmagania złych i dobrych (czy też: lepszych niż inni) bogów, tylko przegrupowania wśród partyjnych i wojskowych funkcjonariuszy władzy. Twarze są nieważne, władza ma jedną twarz.

Znaczenie głębsze ma to, co się dzieje z nami i takimi jak my. Bardziej niż kiedykolwiek obchodzi nas los przyjaciół, co oczywiście jest poczekające, ale ma też tę złą stronę, że gdy

z przyjaciółmi coś się złego dzieje — wszystko nam z rąk leci. A dzieją się z nimi różne rzeczy złe: tracą pracę, chorują i nie mają się jak leczyć, załamują się ze zmęczenia i beznadziejności; albo rzucają się w konspirację jak szaleńcy, nieostrożnie.

W nasze życie codzienne władza wciąż ciska bomby strasznych wiadomości, nikczemnych potwarzy, upiornych gwałtów. Kiedy się dowiadujemy, że syna przyjaciół zabrali z przystanku i skatowali, a potem na podstawie zeznań sadystów chwiejącemu się na nogach chłopcu sędzia wymierzył jeszcze grzywnę — trudno potem, po rozmowie z jego matką, wrócić do domu i pisać — myśląc jednocześnie, jak to przy pisaniu być powinno. Wtedy huczy w głowie i można co najwyżej zanotować fakty, dodając przekleństwa.

A przecież pisać trzeba — przewyciężając ogłuszenie, zbierając myśli, samemu sobie wyznaczając rytm i czas, nie na krzyku i w śpięciu, tylko — normalnie. To znaczy: z poczuciem, że w tym nienormalnym stanie, w czasie „postępującej normalizacji”, jak władza nazywa przeprowadzaną przez siebie pacyfikację społeczeństwa, istnieją jednak normy, w sprawach zarówno wielkich, jak i małych.

Pewien mój znajomy pojechał do Krakowa po paru miesiącach nieobecności w tym mieście, i na Rynku spotkał przyjaciela, postać znaną, o głosie tzw. tubalnym. Witają się wylewnie, a krakowianin grzmi: „Co tam u was w Warszawie? Bo my tu wszyscy konspirujemy!”.

Ktoś mógłby pomyśleć, że krakowianin przechwala się lub strasznie przesadza. Tymczasem — nie, przesadza tylko trochę; w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu, Poznaniu, Szczecinie, Gdańsku i w wielu, wielu miastach Polski, nie licząc miasteczek i wsi, gdzie to się zdarza rzadziej, ludzie konspirują. Pewnie, że nie wszyscy są w TKK, ani nawet w KZ, ale i tak mają co robić. Coś przepisują na maszynie, coś przenoszą, chowają; zbierają się, żeby posłuchać taśmy z piosenkami Kaczmarekowskiego czy Kelusa, pożyczają sobie zakazane książki, rysują lub piszą przeciw WRON-ie. Inni — odbijają już coś na powielaczu albo przez sito.

Obliczano, że po 13 grudnia ukazało się w Polsce do tysiąca tytułów podziemnej prasy. Prawda, że część z nich to efemerydy — nie lekceważyłbym jednak efemeryd. Nie lekceważyłbym nawet i tych pisemek (znam takich parę), których w ogóle wydrukować się nie udało. Młodzi ludzie zbierali się w tajemnicy,

z poczuciem niebezpieczeństwa (aż nadto realnego), omawiali zebrane materiały, wymyślali winię, tytuł. Potem im zabrakło środków technicznych, okazało się, że mają tylko to, co w nich samych, kłębowisko entuzjazmu i zapiekłości. Z tego się pisma zrobić nie da, lecz i zdusić tego łatwo nie można. Pismo nie wyszło, ale młodzi ludzie zabiorą się za kolportaż, za tajną naukę, a choćby i za pisanie czegoś na płócie.

Form nielegalności jest bez liku, i jedne pociągają za sobą drugie. Swoimi pogrozkami i dekretami WRON-a zepchnęła w nielegalność strasznie dużo najzwyczajniejszych rzeczy, jak samo posiadanie niewłaściwej książki, słusznie buntowniczej piosenki a choćby i pisanie w zeszycie tego, co się może włączyć nie podobać. Rozumiem, że władza chciała zamknąć ludziom drogę do opozycji, ale żelazne drzwi zatrzasnęły się za późno, całe tłumy znalazły się już po tamtej stronie. A tam jest znacznie ciekawiej, inaczej smakuje życie, jeśli się zakreśliło wokół siebie magiczne kółko wolności.

We Wrocławiu w czasie jakiejś ulicznej demonstracji (bodajże w październiku) wywieszono na jednej z barykad napis na prześcieradle: „Tu jest wolna Polska”. Ludzie płacząc od gazu biegli za tę barykadę, choć oczywiście ZOMO tam właśnie najbardziej waliło rakietami, i łatwo było przewidzieć, że „wolna Polska” długo się w tym miejscu nie utrzyma. A jednak coś ich tam ciągnęło.

Konspiracja, duża czy mała, stwarza sobą kawałek „wolnej Polski” — obszar swobody, małą twierdzę poza zasięgiem totalitarnego państwa, której się broni przed jego policją. Zwykle jest ta twierdza bardziej podobna do szałas z gałęzi, ale za to każdy może ją sobie zrobić własnymi rękami, urządzić od środka jak chce, a nie jak mu każą. Pokusa jest ogromna, i choć strach też nie mały, pokusa okazuje się od niego większa u setek tysięcy ludzi, bo tylu mamy dziś chyba w Polsce konspiratorów.

Wiceminister MSW gen. Stachura po pełnym przechwalek grudniowym wystąpieniu w Sejmie spotkał się z wysokimi funkcjonariuszami swego resortu i mówił im — innym już tonem — o „efekcie tarczy”. Polega on na tym, że całe pole tarczy strzeleckiej jest pokryte jakimiś wartościami, od 10 do 1. Jeśli się w tarczę strzeli, nawet marnie, w jedynekę lub dwójkę zawsze trafić łatwo. Stąd wspaniałe osiągnięcia statystyczne, które wcale jednak nie znaczą, że się umie wcelować w centrum.

O tym samym zjawisku, ale bez strzeleckich porównań, rozmawiałem niedawno z przyjaciółmi. Wspominali czasy, kiedy dostarczało się ubecji roboty fałszywymi doniesieniami przez telefon, kierując ją pod wybrany na chybił trafił adres. Już wtedy

nie było to ładne, jeśli się pomyśli o zdenerwowaniu jakichś Bogu ducha winnych ludzi, ale teraz byłoby wręcz bardzo niebezpieczne: w jakimś procencie przypadków znaleźliby na pewno taką lub inną nieznaną nam melinę.

W istocie w całej tej masowej konspiracji nie ma podziału na numerki ważne i nieważne, ani nie należy widzieć w domorosłych konspiratorach po prostu kandydatów do roboty „prawdziwej”, kadrowej. Ich rola jest znacznie większa, każdy stanowi wartość dla samego siebie: zdecydował się na wolność. Poszedł za przykładem Bujaka, Lisa, Frasyniuka — a nie za przykładem Świrgonia czy Krzyżagórskiego. Jeśli nawet jego podziemne życie będzie niewielkie w stosunku do życia na powierzchni — to drugie stanie się bardziej czyste i niezłomne.

Z masową konspiracją jest trochę tak, jak z domowym muzykowaniem: im go więcej, im większą radość sprawia zwykłym ludziom, towarzysząc im w codziennych sprawach — tym silniejsza jest kultura muzyczna w kraju, większe osiągnięcia w tej dziedzinie. Podstawmy pod „muzyka” słowo „wolność” — a zrozumiemy, jak ważna rzecz dokonuje się teraz w Polsce: masowe ćwiczenie się w wolności (według nomenklatury władz — w opozycyjności). Zwłaszcza chodzi tu o młodzież. Rosną całe pokolenia, od nastolatków do trzydziestolatków, dla których wolność nie będzie czymś, co dopiero muszą wywalczyć inni, co przychodzi z zewnątrz, podarowane przez historię. To już jest ich sposób życia — wraz ze wszystkimi komplikacjami, trudami, mitami, bohaterami.



W tym samym mniej więcej czasie, pod koniec listopada ubiegłego roku, odbyły się w dwóch stolicach dwa pogrzeby. W Moskwie pogrzeb Leonida Breżniewa, w Warszawie — Grażyny Kuroniowej.

Wielu przyjaciółom to zestawienie wyda się wstrętne, uwłaczające pamięci Gajki. Ja sam, kiedy stałem wtedy na Powązkach, pod murami kościoła Karola Boromeusza, w tłumie, patrząc na znajome twarze wokoło — nie myślałem o Breżniewie, Andropowie i polityce zagranicznej. Nie bardzo widziałem trumnę, obcy mebel z drewna. Przypominałem sobie twarz Grażyny, jej uśmiech i głos, jakieś słowa wypowiedziane w świetle padającym z okna. Dramat jej odejścia rozgrywał się między nami, był czymś dla nas, dla tych kilku tysięcy ludzi, którzy stali tam wtedy między starymi nagrobkami. I dla wielu, którzy nie mogli przyjść, choćby dlatego, że ich trzymano w więzieniu.

Już wtedy jednak sprawie tej asystowali także inni: ci, co siedzieli na pocztach i tam zabierali telegramy przychodzące do Jacka Kuronia; redaktor naczelny *Życia Warszawy*, który sam biegał konfiskować i cenzurować nekrologi, żeby jak najmniej osób dowiedziało się o tym pogrzebie. Po cmentarzu ubecy krążyli wokoło, ale do tego można się przyzwyczaić.

Pogrzebu Breżniewa w telewizji nie oglądałem, nie słuchałem muzyki żałobnej, która godzinami leciała wtedy w polskim radiu. Dopiero po paru tygodniach ktoś mi pokazał jedno z zachodnich pism, z portretem Breżniewa na okładce, z kolorowo i bogato ilustrowanym opisem całej uroczystości. Przede wszystkim zwróciłem uwagę na transporter opancerzony, który ciągnął lawetę z trumną: taki sam jak te, co nas w Warszawie ganiają po ulicach, tyle, że bardziej nowoczesny!

Wszystko się zgadza! Układ Warszawski używa swych wozów bojowych w różnych celach: raz taranują bramę Stoczni w Gdańsku, przejeżdżają ludzi, kiedy indziej zajmują miejsce rumaków w żałobnym ceremoniale — jeśli umiera ten, kto je wysyłał w świat. Dostojny, elegijny, powoli sunący „skot” ma jednak dalej łufę wycelowaną przed siebie, dalej jest — w majestacie śmierci — narzędziem śmierci, maszyną do zabijania. Wlecze za sobą umarłego tyrana, a pozdrawia go uniesioną ręką nowy tyran — na dodatek były super-szef tajnej super-policji. Żołnierze idący przy trumnie — taki szczegół — mają na rękawach czarne opaski z czerwonymi wstęgami: a więc nie żałoba po człowieku, lecz komunistyczna defilada z okazji jego zgonu!

Nikt tu niczego nie ukrywa, wszystko jest na wierzchu: te pancerze, lufy, czerwienie. Imperialno-militarny charakter uroczystości widoczny w każdym detalu. A przecież, żeby w tym wziąć udział, przybyło z całego świata kilkudziesięciu zacnych mężów stanu. Bynajmniej nie same fagasy, lecz właśnie ludzie światli, wybrani demokratycznie przez swe narody. Obecnością swoją uświetnili, nawet cokolwiek ucywilizowali bizantyńską pompę. Pożegnali jednego tyrana — i natychmiast zaczęli załatwiać interesy z drugim, nastawieni przychylnie, bo ten mówi po angielsku. Można by im przypomnieć, że agenci, których tysiącami wysyłał Andropow przez kilkanaście lat na wszystkie kontynenty mówią perfekt wszystkimi chyba językami świata. I że na pewno Kreml będzie miał więcej pożytku z tych poliglotów niż kraje, w których teraz pracują.

Widocznie jednak tak musi być. Właściwie — jeśli pomyśleć — wydaje się to nieuniknione: wydarzenie w centrum super-mocarstwa — zamiana jednego satrapy na drugiego — musi budzić wielkie poruszenie, powodować dyplomatyczne podróże na wszystkie strony, poruszać lawinę spekulacji. Strzelają wtedy

z armat, a prezydenci, premierzy i ministrowie zachodniego świata zdejmują kapelusze przed dostojnością potęgi.



Bardzo dobrze się stało, że pogrzeb Grażyny nie przerodził się, jak to czasem bywa z pogrzebami, w manifestację polityczną; śpiewów, uniesionych rąk było nie tak wiele, jak na tłum, który przyszedł wtedy na Powązki. Wszyscy nieśli tylko bardzo dużo kwiatów. Żegnali nie osobę publiczną, lecz kogoś bliskiego. Wszystkie przywitania, zachowania, rozmowy były w widoczny sposób prywatne, bez gestów, które by wykraczały poza miarę człowieka. W tej cichej, smutnej, prywatnej ceremonii uderzało tylko jedno: że bierze w niej udział tyle osób, tak różnych, i że wszystkich łączy coś istotnego. Wyłapywanie telegramów, fałszowanie nekrologów, bieganina ubeków — to nas otacza, ale pozostaje na zewnątrz, i jeszcze bardziej nas ku sobie przybliża.



Jeszcze raz ofensywa propagandowa władz obróciła się przeciw nim samym, choć z początku sprawa wyglądała tak groźnie: chodzi o taśmy z obrad TTK, nagrania wywiadów z ukrywającymi się działaczami. Rzeczywiście: odzywają się w radio głosy Bujaka i innych, słyszymy jak mówią! Odruchowo ogarnia nas przerażenie: oni przecież też to słyszą, mogą złapać! — więc dlaczego nie łapią?

Szybko każdy sam się domyśla, że SB wraz ze swą agenturą — TV raz jeszcze kłamia, że nakryto same taśmy, nagrane przez kogoś od nas. Taśm też szkoda, ale już nie tak bardzo. Rzecz się wyjaśnia, napięcie mija. Oni jednak brną dalej: publikują teksty w gazetach. Ich zdaniem z tekstów wynika: jacy to niepoważni, nieodpowiedzialni, niepewni swego są ci „ukrywający się przywódcy podziemia”! Dlatego w druku zachowuje się cały naturalny „szum” rozmowy, powtórzenia, kolokwializmy, wątpliwości, sprzeczki. Im się to wydaje kompromitujące. Tak bardzo przywykli do stenogramów wygładzonych, zaokrąglonych zdań, do skrywania wątpliwości wraz ze wszystkimi myślami.

Staje się rzecz niezwykła: po pierwszym szoku ludzie spoglądają z sympatią na te płachty gazet ze spisnymi rozmowami. Czytają, rozpoznają chropawy ale pozbawiony kręactw sposób myślenia. Oczywiście, agenci na pewno dużo tutaj sfałszowali, przemontowali, przecież bez tego żyć nie potrafią — ale tonu prawdy, ludzkiego głosu jednak sfałszować nie mogli. Po prostu dlatego, że go nie słyszą, nie rozpoznają; sami mówią

i myślą w języku, jakiego się używa na odprawie, na naradzie funkcjonariuszy.

Oni wciąż nie mogą zrozumieć, że cała rewolucja ostatnich lat w Polsce polega właśnie na tym, że do głosu w społeczeństwie dorwali się ludzie mówiący ludzkim głosem — i to się spodobało, przed tym jest przyszłość.

Paweł MORGA

Polityczny ruch oporu

I

Jednym z fundamentów budowy systemu sowieckiego jest zniszczenie kultury politycznej. Spoglądając na kilka ostatnich, jakże burzliwych lat historii PRL, można postawić pytanie, w jakim stopniu i w jakich formach dokonywało się odrodzenie tej kultury, jakie były jego osiągnięcia a jakie braki?

W drugiej połowie lat 70-tych powstała w Polsce koncepcja parapolityczna (jeśli pojęcie „polityki” zarezerwujemy dla jej klasycznego znaczenia — czyli sztuki rządzenia i walki o władzę), którą będę tutaj nazywał „koncepcją dysydencką”. Dla obrony społeczeństwa przed totalitarną martwością, charakterystyczną dla systemu sowieckiego, należy tworzyć niezależnie od władzy instytucje względnie struktury oparte na różnych grupach społecznych i zawodowych. Jeśli system rozbija naturalne więzi międzyludzkie i środowiskowe, należy nań odpowiedzieć właśnie przez samoorganizowanie się społeczeństwa. W myśl tego programu zorganizowane społeczeństwo będzie w stanie wywierać skuteczny nacisk na władzę, poszerzając tym samym zakres swej podmiotowości. Koncepcja ta powstała w środowisku KOR-u, który swoim powstaniem i działalnością stworzył pewien model aktywności społecznej, przejęty w latach następnych przez inne ugrupowania.

Idea zakładania wolnych związków zawodowych była immanentnym i naturalnym składnikiem koncepcji samoorganizowania się społeczeństwa, a to z uwagi na liczebność i znaczenie warstwy robotniczej. Jednakże w okresie kilku lat funkcjonowania Komitetów Założycielskich Wolnych Związków Zawodowych siła nacisku, jaką potrafiły one wywrzeć na władzę była praktycznie żadna. Natomiast skutki presji niezależnych instytucji obywatelskich najwyraźniej zaznaczały się w dziedzinie kulturalnej i w polityce kierownictwa partyjno-rządowego wobec środowisk intelektualnych. Nie zmienia to jednak ogólnego wniosku, że praktycznie nacisku na władzę nie udawało się stwo-

rzyć, z wyjątkiem pewnych celów doraźnych — np. zwolnienie więźniów politycznych, co osiągnęto przy równoczesnym poparciu opinii publicznej i oficjalnych czynników świata zachodniego.

Ten ruch — zwany na Zachodzie „dysydenckim”, a w Polsce najczęściej „opozycją demokratyczną” — nie skupił jednak do lata 1980 roku więcej niż kilka tysięcy aktywnych uczestników. Ale nie jego stan liczebny i nie znikoma siła nacisku na władzę są tutaj najważniejsze. Ogromna rola historyczna tej opozycji polega na stworzeniu modelu niezależnej od władz aktywności społecznej. O jej sile w znacznej mierze stanowił jawny charakter działalności (z wyjątkiem przedsięwzięć z konieczności prowadzonych w konspiracji — np. drukarnie), wsparty autorytetem wielu osób o ustalonym prestiżu społecznym. Właśnie dzięki temu ów ruch opozycyjny zdobył tak duże poparcie zachodniej opinii publicznej. Był to ruch świadomy celów i zadań, jakie sobie stawiał, skupiający ludzi o niekwestionowanych zaletach moralnych i charakterologicznych. Opozycja demokratyczna była więc realizacją określonej koncepcji, wspartą polityczną i intelektualną refleksją.

Uważam, że jednym z najważniejszych czynników, które złożyły się na zwycięstwo robotników w sierpniu '80 było właśnie funkcjonowanie owej „koncepcji dysydenckiej”. Można rzecz jasna wskazać bardziej konkretne powiązania przyczynowe — działalność WZZ-ów, rolę *Robotnika*, znaczenie ogłoszonej tam swego czasu „Karty Praw Robotniczych”. Po Sierpniu jednak powstała sytuacja paradoksalna; zrealizowanie — w skali zgoła nieprzewidywalnej — koncepcji samoorganizowania się społeczeństwa doprowadziło do stworzenia ruchu, który właśnie koncepcji politycznej był pozbawiony. Program dysydencki — niejako z definicji — nie mógł organizować masowego ruchu wolnościowego, który w dodatku miał charakter w znacznym stopniu żywiołowy i spontaniczny. O uczestnictwie w nim milionów ludzi decydowały nie ich poglądy polityczne (chyba że za takie uznać tłumioną latami wrogość wobec władzy), lecz przede wszystkim czynniki emocjonalne. Abstrahuję tutaj od programu „Solidarności”, z konieczności ogólnikowego, myślę o postawach rzeszy związkowców, bowiem to one właśnie decydowały o wewnętrznej dynamice wydarzeń w Polsce.

„Solidarność” zawiodła w dziedzinie myśli koncepcyjnej. Teoretycznie istniały dwa warianty: 1) znalezienie modelu „pokojowej koegzystencji” z reżymem typu sowieckiego lub 2) konsekwentny plan pozbawienia komunistów władzy. Nie wypracowano ani pierwszej ani drugiej koncepcji, czy ściślej: elementy obu wariantów funkcjonowały niejako równolegle, tworząc jedną ze sprzeczności ruchu „Solidarności” w sferze politycznej (z jednej strony deklarowano poszanowanie dla władzy, z drugiej zaś permanentny i zaostrzający się konflikt z reżymem wskazywał coraz wyraźniej, że spełnienie dążeń społeczeństwa może się dokonać tylko przez pozbawienie komunistów władzy). Zrealizowanie któregośkolwiek z wymienionych wariantów było — jak

się zdaje — dość wątpliwe. Niełatwo również odpowiedzieć na pytanie, w jakim stopniu ruch o takim charakterze jak „Solidarność” mógł być przed pacyfikacją podporządkowany konsekwentnym założeniom programowym. Istnieje też problem kierowniczych grup związku, zwłaszcza na niższych szczeblach, i mechanizmu selekcji, który nie zawsze wysuwał na czoło ludzi z największym doświadczeniem politycznym. Pozostawmy też bez odpowiedzi pytanie o słuszność wielu konkretnych decyzji władz „Solidarności” w sytuacjach najostrzejszych konfliktów z reżymem i o przyczyny łatwości, z jaką Jaruzelski przeprowadził pacyfikację 13 grudnia.

Chcę jednak postawić taką tezę: „Solidarność” była ruchem o niewystarczającym stopniu samoświadomości politycznej. Było to zapewne wynikiem niszczenia — w procesie wieloletniej sowietyzacji — umiejętności myślenia politycznymi kategoriami. Szukając innych mankamentów można by wskazywać na niską kulturę prawną, nieznaną mechanizmów ekonomicznych, ignorancję w dziedzinie międzynarodowej sytuacji politycznej. Nie wdając się jednak w szczegóły wypada stwierdzić, że statystyczny członek „Solidarności” pozbawiony był wiedzy o tym, jaka jest podatność systemu na zmiany, na ile ich powodzenie zależy z kolei od zmian w całym bloku, te zaś od międzynarodowej pozycji Związku Radzieckiego i polityki Zachodu. Nie wiedział także, jakie są możliwe warianty kontrakcji władz i do czego są one zdolne.

II

„Rozmowy o porozumieniu narodowym wykorzystane zostały przez stronę rządową jako parawan osłaniający przygotowanie do ataku na związek. W tej sytuacji dalsze pertraktacje na temat porozumienia narodowego stały się bezprzedmiotowe”.

Powyższy cytat pochodzi z dokumentów władz „Solidarności” z dnia 3 grudnia 1981 roku. Nie trzeba przypominać, co się stało 10 dni później. Koncepcja „Solidarności” podziemnej, której kierownictwo ukonstytuowało się w kwietniu '82, zakładała „zmuszenie władz do rozmów o porozumieniu narodowym”. Program i taktyka TKK okazały swoją słabość dopiero jesienią ubiegłego roku (choć już uprzednio krytykowano je w niezależnej prasie). Późną wiosną, a zwłaszcza latem, przewaga władz polegała niemal wyłącznie na dysponowaniu uzbrojonymi i wyszkolonymi formacjami policyjno-militarnymi i aparatem represji prawno-sądowych. Powszechna i jawna wrogość wobec reżymu umożliwiała „Solidarności” organizowanie ogólnokrajowych wystąpień społecznych, nie mówiąc już o moralnej przewadze, jaką miał ruch oporu nad WRON-owcami. Istniał nacisk Zachodu, zwłaszcza Stanów Zjednoczonych (niestety nie wykorzystany w należyтым stopniu przez zagranicznych przedstawicieli „Solidarności”). Kościół — deklarujący się jako mediator — daleki był jeszcze od późniejszych błędów, które ułatwiły jesienną ofensywę

Jaruzelskiego. Głównym terenem zmagania strony społecznej z władzami była właśnie dziedzina *stricte* polityczna (natomiast kierownictwo TKK w swych deklaracjach „odcinało się” od polityki). Jednak do tej batalii „Solidarność” przystąpiła z pozycji słabości. Jaruzelski miał jasny plan — zniszczyć przeciwnika, zaś przeciwnik postulował — rozmowy. Aktem politycznej słabości i niepoprawnego marzycielstwa była chęć powrotu do sytuacji sprzed 13 grudnia. Należało — współmiennie do zupełnie odmiennej sytuacji — od razu szukać nowego modelu ruchu „Solidarności”, nowej koncepcji i nowej taktyki. Zabrakło zatem dwu elementów, które w myśleniu i działaniu politycznym są konieczne — realizmu i wyobraźni. Te dwa czynniki tylko pozornie są od siebie oddległe; w konkretnej sytuacji Polski realizmem byłaby właściwa ocena zamiarów Jaruzelskiego, zaś polityczna wyobraźnia winna była wskazać zupełnie nową formułę działania.

Warto tutaj zwrócić uwagę na dwa teksty, w których można odnaleźć oba te elementy. Jacek Kuroń w „Tezach o wyjściu z sytuacji bez wyjścia” wprowadza całkiem nowy czynnik myślenia koncepcyjnego — przygotowanie obalenia okupacji w zbiorowym wystąpieniu — jako potencjalny wariant odpowiedzi społeczeństwa na zamach Jaruzelskiego. Natomiast Adam Michnik w „Liście z Białołęki” pisze o przygotowaniu społeczeństwa na „długi marsz” (przeciwieństwo „nagłej zmiany”) i działalność konspiracyjną. Nie podejmuję tutaj merytorycznej dyskusji z tymi wypowiedziami, przypominam je z uwagi na to, że ich autorzy są współtwórcami „koncepcji dysydenckiej”, należą zatem do tej nielicznej grupy osób, które mogłyby odegrać czołową rolę w poszukiwaniu programu dla społeczeństwa (dlatego zresztą ich uwięziono).

Pałaca konieczność programu jest sprawą bezdyskusyjną. W jego tworzeniu — jak sądzę — należałoby uwzględnić następujące przesłanki:

1. Wyodrębnienie działań ściśle związkowych. W tej dziedzinie władze zdecydowanie przejęły inicjatywę, tworząc własne „niezależne” związki. Utrzymywanie *à la longue* ich całkowitego bojkotu wydaje mi się dyskusyjne właśnie z uwagi na socjalno-bytowy zakres ich aktywności. Zależność polityczną nowych związków od władz należy traktować jako zło konieczne, sądzę jednak, że mogłyby one stosunkowo skutecznie bronić interesów materialnych i zawodowych pracownika. Nie potrafię natomiast powiedzieć, w jakim stopniu możliwe jest ich „przejęcie” przez działaczy „Solidarności” z uwagi na opory moralne i psychologiczne. Dlatego też byłby to tylko jeden z elementów programu, natomiast element 2) to tworzenie utajniowych struktur, które swoim działaniem obejmowałyby inne sfery aktywności obywatelskiej — od kulturalnej czy oświatowej po działalność ściśle polityczną. Ruch w takiej postaci uniknąłby owego skrepowania charakterystycznego dla „Solidarności” przed pacyfikacją; organizacja formalnie związkowa praktycznie musiała być

ruchem politycznym, nie mogąc przy tym otworzyć i konsekwentnie kształtować swego politycznego oblicza.

III

Brak do tej pory wyczerpującej analizy treści i sposobu funkcjonowania oficjalnej propagandy PRL. Cały problem upraszcza się przy pomocy banalnych stwierdzeń, że propaganda denerwuje ludzi i że nikt jej nie wierzy. To prawda, ale istota zagadnienia nie polega bynajmniej na wierze bądź jej braku. Skutkiem wieloletniego działania komunistycznej propagandy jest właśnie zanik kultury politycznej, nieznajomość mechanizmów systemu, niechęć do działań klasyfikowanych przez władzę jako „polityczne”.

Propaganda funkcjonuje na trzech poziomach: zawartości dosłownej czy formalnej, treści ukrytych i oddziaływania psychologicznego. Dochodzi do tego problem języka; ciekawe byłoby prześledzenie wpływów nowo-mowy w wypowiedziach wielu działaczy „Solidarności” i w związkowej prasie. Wydaje się, że propaganda udało się wpoić ludziom bardziej lub mniej świadome przekonanie, że system panujący w Polsce nosi znamiona absolutu, że szukanie możliwości likwidacji tego systemu jest po prostu szaleństwem. Udało się też wywołać poczucie obcości czy braku zaufania do antysowieckich instytucji i organizacji działających na Zachodzie (nie ma ich niestety zbyt wiele). Kategorie polityczne wyprano z wszelkiej treści; propaganda mówiąc o Polsce używa pojęcia „siły antysocjalistyczne”, zaś na Zachodzie działają „ośrodki antykomunistyczne” (to zrozumiałe — słowo „komunizm” wywołuje wśród Polaków odruch nienawiści).

Analiza aktualnej linii oficjalnej propagandy jest zajęciem bardzo pouczającym, można bowiem w ten sposób znaleźć najsłabsze punkty władz. Reżym panicznie boi się niezależnej działalności politycznej. „Nurt robotniczego protestu przeciwko trudnej sytuacji społeczno-ekonomicznej” przeciwstawia się „cy-nicznym graczom politycznym”, którzy chcieli wykorzystać „Solidarność” dla „własnych antypolskich celów”. Śmiertelnym grzechem „graczy” jest właśnie to, że prowadzili działalność polityczną. A jakież to prawa boskie czy ludzkie zabraniają działalności politycznej? Koncepcję ruchu podziemnego nazywa się „strategią obłędu”. Kontakty z Zachodem są oczywiście synonimem zdrady, tak jakby „Solidarność” czy działacze opozycji mieli szukać sprzymierzeńców na Kremlu. „Solidarność” należało zlikwidować, bowiem zmierzała ona do „demontażu socjalizmu w Polsce”. Prawem każdego wolnego narodu jest wybór systemu politycznego, który odpowiada większości społeczeństwa. I nie musi to być wcale ów „socjalizm” budowany w Polsce przez komunistów od 35 lat.

Z powyższych uwag wynika wniosek następujący: w Polsce należy tworzyć podziemny ruch polityczny, którego ostatecznym

celem będzie wyzwolenie społeczeństwa z systemu sowieckiego. I dla tego ruchu należy szukać sprzymierzeńców w świecie niekomunistycznym.

Aby jednak powyższy postulat opierał się na realnych przesłankach, potrzebna jest szeroka polityzacja społeczeństwa. Jedną z zasadniczych różnic między ustrojem demokratycznym a systemem sowieckim jest to, że w wypadku tego pierwszego kultura polityczna obywateli tworzy się w procesie samorządności społeczeństwa, realizowanej poprzez demokratyczne instytucje. Natomiast w systemie komunistycznym kultura polityczna powstaje z doświadczenia państwa czy ściślej — jego opresyjności (stąd taka a nie inna jej jakość). Ale w Polsce mamy za sobą okres, kiedy przez 15 miesięcy społeczeństwo dysponowało masową samorządną organizacją. Okres ów spowodował nieodwracalne zmiany psychiczne i moralne; ta rozbudzona potrzeba wolności (fenomen unikalny w warunkach systemu komunistycznego) powinna znaleźć swój wyraz polityczny i formułę organizacyjną.

Potrzebna jest propedeutyka polityczna, której nie można uczyć przy pomocy abstrakcyjnych kategorii ideowych, bowiem dla nieprzygotowanego odbiorcy nic one zgoła nie znaczą. Wzorem powinny być tutaj teksty w rodzaju opracowań Polskiego Porozumienia Niepodległościowego; zapotrzebowanie na materiały tego typu jest w tej chwili ogromne.

Nie jestem zwolennikiem nadużywania metody analogii historycznych. Ale jeśli szukamy perspektywy nadziei, to pozwól sobie na następującą hipotezę: wspomniana tutaj koncepcja dysydencka i aktywność z niej się wywodząca, choć skromna liczebnie, stały się jednym z głównych generatorów powstania „Solidarności”. Obecny ruch oporu wobec władz jest nieporównywalnie liczniejszy i działa w sytuacji rozbudzonej aktywności społecznej. Jeśli zatem powstanie program dający jego uczestnikom świadomość politycznych pryncypiów, koncepcję taktyczną, strategię celów ostatecznych i doraźnych — prawdopodobieństwo zasadniczych przemian polskiej rzeczywistości stanie się bez porównania większe.

Wszelkie symboliczne formy oporu i ryzyko towarzyszące ich demonstrowaniu dowodnie świadczą o wrogości wobec władz, przełamaniu bariery strachu i ogromnej potrzebie życia w innych warunkach. Nie osiągnie się tego jednak ani przez układanie krzyży z kwiatów, ani przez noszenie emblematów „Solidarności”. Władza polityczna w Polsce jest dyktaturą. Na niewolę polityczną należy odpowiedzieć oporem, którego politycznego charakteru będzie świadom każdy jego uczestnik. I trzeba zrozumieć, że droga do „prawdziwego socjalizmu”, o którym mówili robotnicy po Sierpniu, prowadzi poprzez likwidację „socjalizmu” istniejącego w Polsce obecnie.

Tomasz MIANOWICZ

10 stycznia 1983

List niestałego czytelnika

W styczniu 1983.

Szanowny Panie Redaktorze!

Przypadkowo wpadł mi w ręce zesłoroczny grudniowy numer Pańskiego pisma z informacjami o naszych „wojennych” wydawnictwach konspiracyjnych”, zarówno prasowych jak i książkowych. Był to już drugi wykaz czasopism (pierwszy ukazał się w czerwcowym numerze) rejestrujący łącznie z tamtymi 427 tytułów! Mamy tu nadzieję, że wkrótce ukaże się trzecia lista i następne, bo mimo coraz większej wykrywalności podziemnych drukarni przez Służbę Bezpieczeństwa ukazuje się coraz więcej tytułów nowych gazetek. Dzięki ich zarejestrowaniu zaistniała paradoksalna sytuacja, że zostały już zarejestrowane w około 75 % czasopisma aktualnie wychodzące, a ciągle jeszcze nie wiemy ile ukazało się w latach 1976-1981 czasopism i książek wydanych bez zezwolenia cenzury! Wprawdzie szacuje się czysto hipotetycznie ilość tytułów prasowych na około 1800, a książkowych na około 1000, jednak bez uprzednio sporządzonych spisów.

Tymczasem dowiadujemy się z artykułu Pawła Hęciaka pt. „Biblioteki i muzea emigracyjne”, przedrukowanego przez *Gwiazdę Polarną* (nr 44 z 1982 roku), że Biblioteka Polska w Londynie dokonała już rejestracji 1123 wydawnictw „Solidarności” ukazujących się od 1980 roku do chwili obecnej. Uważam, że należałoby ów wykaz jak najprędzej opublikować, aby można było opracowywać do niego uzupełnienia, bo nie ma co czekać na zebranie kompletnego materiału.

Ogłoszony w numerze grudniowym materiał ma ogólny tytuł: „Dwieście lat polskiej prasy podziemnej”, a tymczasem za 15 lat powinniśmy obchodzić trzechsetną rocznicę ukazania się w Polsce pierwszego czasopisma z utajonym miejscem wydania i druku noszącego tytuł: *Mercurius Polonicus*, a wydawanego w... Lechiopolis od stycznia do końca marca 1698 roku w języku łacińskim. Był to na owe czasy bardzo postępowy miesięcznik naukowo-literacko-polityczny, wydawany i drukowany najprawdopodobniej przez warszawskich pijarów, chociaż próbowano go lokalizować we Lwowie (kojarząc Leopolis z Lechiopolis) i w Krakowie. Z jednej strony ukrywał swe miejsce wydania zapewne z przyczyn politycznych (niechęć do króla Augusta Mocnego?), a z drugiej informowano czytelników, że mogą sobie zamówić go w urzędach pocztowych (co zastosowano po raz pierwszy w Polsce). Warto tu jeszcze dodać, że w ciągu XVIII wieku ukazało się w Polsce przeszło 150 książek z utajonym miejscem wydania i druku.

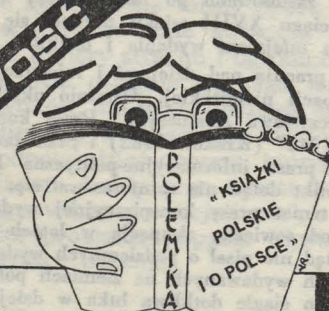
Historycy nasi ciągle jeszcze pracują nad dziejami i rejestracją polskiej prasy podziemnej z okresu okupacji niemieckiej. Ostatnio ukazały się na ten temat aż dwie książki, Mieczysława Adameczyka „Prasa konspiracyjna na Kielecczyźnie w latach 1939-1945” (Kraków 1982) i Stanisławy Lewandowskiej „Polska konspiracyjna prasa informacyjno-polityczna 1939-1945” (Warszawa 1982). Tymczasem nikt dotąd nie zainteresował się, a przynajmniej nie nie opublikował na temat prasy konspiracyjnej wydawanej na naszych ziemiach wschodnich pod sowiecką okupacją w latach 1939-1941 i od 1944 roku, a także nikt dotąd nie pisał o podziemnych wydawnictwach prasowych, książkowych i ulotnych wydawanych na ziemiach polskich między 1944 a 1949 rokiem. Jest to ciągle dotkliwa luka w dziejach naszej kultury narodowej, którą z każdym rokiem coraz trudniej będzie wypełnić,

bo przenoszą się na tamten świat świadkowie tamtych czasów pogardy i wrogości dla niepodległościowych dążeń zniewolonego narodu. Dlatego gorąco apeluję do wszystkich, którzy wydawali, redagowali i choćby tylko czytali te wydawnictwa: piszcie na ten temat do redakcji czasopism konspiracyjnych w Kraju bądź emigracyjnych za granicą!

Mamy jeszcze jedną niewypełnioną lukę odnoszącą się do historii prasy wrześniowej 1939 roku na ziemiach wschodnich, a specjalnie dotyczącą dzienników ukazujących się wówczas w małych miasteczkach kresowych. Najpełniejsze informacje dotyczą *Gazety Pińskiej* dzięki opublikowanym wspomnieniom jej redaktorów. Ale już nic bliższego nie wiemy na temat dziennika *Telegram*, wydawanego przez Jerzego Giedroycia w Łucku czy Równem w połowie września. Nie znamy nawet tytułów gazet wydawanych we Włodzimierzu Wołyńskim (od 10 września), Brodach (od 13 września) czy w Tarnopolu (17 września), gdzie pierwszy a zarazem ostatni numer zredagował Benedykt Heydenkorn. I o tych efemerydach zlikwidowanych przez niespodziewany najazd bolszewicki nie powinniśmy zapomnieć, bo to wszystko stanowi dobro naszej kultury narodowej.

Z głębokim szacunkiem

NIE-STAŁY CZYTELNIK



**KSIEGARNIA
POLEMIKA**
WYDAWNICTWA POLSKIE
I OBCOJEZYCZNE NA TEMAT
POLSKI I EUROPY
WSCHODNIEJ
ANTYKWARIAT
49, RUE GAY LUSAC
75005 PARIS
TÉLÉPHONE : 354.25.48
MÉTRO : LUXEMBOURG
AUTOBUS : 21-27 : FEUILLANTINES

Sprawy i troski

Inteligencja polska na obczyźnie

(WSTĘPNE WYNIKI BADAŃ SOCJOLOGICZNYCH)

W końcu ubiegłego roku zakończyłem zbieranie odpowiedzi na 1.100 egzemplarzy kwestionariusza¹ ankietowego rozesłanego do wszystkich skupisk polskich w 15 krajach świata, z których byłem w stanie uzyskać adresy emigrantów polskich. Kwestionariusz adresowany był jedynie do osób urodzonych przed 1925, które znalazły się poza Polską przed 1950 r., a posiadających co najmniej polską maturę lub jej ekwiwalent.

Badania zwięźliłem do tak stosunkowo wąskiej grupy, ponieważ są one częścią większej pracy o polskiej inteligencji. W części studium, do której odnoszą się wyniki z badań kwestionariuszowych, chodzi przede wszystkim o przedstawienie tej warstwy, która uformowana już wyraźnie w połowie ub. stulecia, zakończyła swój byt jako przewodnia i niezależna siła w życiu narodu w momencie ujarzżenia go przez obcy polskiej kulturze system sowiecki.

Moja teza, iż dawna inteligencja polska skończyła swój byt w latach 1945-49, na ogół oburza tych, którzy żyjąc w Polsce mają zawody „inteligentkie”. Nie rozumieją ani tego, iż sami będąc w większym lub mniejszym stopniu nawet psychicznie podobni do dawnej inteligencji nie tworzą i nie mogą tworzyć warstwy, której funkcją było duchowe przewodnictwo narodowi. Funkcję tę zniszczyła partia komunistyczna. A jej własna „inteligencja” pełni tylko funkcje służebne, podległe dyrektywom partyjnym. Na niezależną warstwę duchowych przywódców miejsca

1. Metodologicznej pomocy w pracy nad kwestionariuszem udzielił mi dr Bohdan Czarnocki, polsko-kanadyjski socjolog. Jednakże za wszystkie ułomności tegoż kwestionariusza tylko ja sam ponoszę odpowiedzialność.

w systemie komunistycznym nie ma. Mogą, w momentach kryzysów, pojawiać się grupy usiłujące zdobyć niezależny wpływ na społeczeństwo (1955-56, 1976-82). Nie tworzą one jednak warstwy społecznej. Szansa powstania nowej inteligencji spełniającej funkcje kolektywnego przywództwa narodowego zaistniałaby w Polsce ponownie gdy bodaj zasadnicze punkty umowy gdańskiej zostały wprowadzone w życie.

Gwałtowny rozwój szkolnictwa po 1945 z wielokrotną grupę ludzi ze średnim i wyższym wykształceniem, tradycyjnie nazywamy ich inteligentami. Ale tak jak i w społeczeństwach na zachodzie Europy i w Ameryce nie stanowią oni osobnej warstwy, a są tylko składową częścią gwałtownie rozwijającej się na całym świecie klasy średniej.

W badaniach nad inteligencją polską na obczyźnie (tytuł angielski „The Polish Intelligentsia in Exile”) poprzez wyżej wymienione ograniczenie badanej grupy mogę moich respondentów traktować jako przedstawicieli *dawnej inteligencji*, jako że na ich rozwój osobowy nie miały bezpośredniego wpływu stosunki państwa ludowego. Najmłodsi, jeśli znaleźli się poza Polską dopiero w 1950, to znaczy iż w nowym ustroju przeżyli tylko 5 lat; w 1939 byli czternastolatkami. A zatem nawet ich uformowała Druga Rzeczpospolita i Polskie Państwo Podziemne. Wynieśli więc z Kraju pełne obciążenie dawnej inteligencji polskiej. Na obczyźnie nie tworzą „warstwy”, ale nawet po trzydziestu latach życia w obcych środowiskach, przechowali system wartości wyniesiony z kultury tej warstwy, której są ostatnimi Mohikanami.

Trzeba tu zaznaczyć, że wśród osób do których wysłałem kwestionariusz znalazł się jeden adresat, który odsyłając mi niewypełniony kwestionariusz, poinformował mnie, iż uważa za śmieszne poszukiwanie inteligentów polskich wśród tych którzy opuścili Polskę przed 30 laty, gdyż dawno nimi być przestali. Na to czy ten pan miał rację czy nie, odpowiadają wyniki tych badań, szczególnie w części ukazującej przetrwanie „inteligentkiego” systemu wartości wśród tych których nazywam „inteligencją polską na wygnaniu”.

Wojenna i powojenna emigracja była w ogromnej większości emigracją wojskową. Ale określenie to może być mylące dla czytelników młodszych, trzeba więc wyjaśnić, że żołnierzem w Polsce przedwojennej był każdy fizycznie i psychicznie zdrowy młody mężczyzna. Wojna wyrzuciła więc poza granice Polski nie tylko zawodowych wojskowych, ale także tysiące tych wszystkich którzy o Jej wolność walczyli karabinem lub piórem i za tę walkę skazani zostali na tułactwo w obcych krajach.

Można by więc zarzucić tym badaniom, że obejmują grupę doborową, tych którzy pozostali, nawet po klęsce 1939 wierni naczelnemu ideałowi dawnej inteligencji, tj. walce o niepodległość. Jednakże byłby to zarzut tylko częściowo słuszny, ponieważ na uchodźstwie znalazło się również wiele osób z blisko dwumilionowej masy obywateli polskich deportowanych do ZSSR, wielu młodych ludzi wywiezionych na roboty do Niemiec, jak i tych, którym udało się ucieczki z Polski w latach 1945-50, a z których nie wszyscy „wybierali wolność” ze względów czysto ideowych.

Na tysiąc sto rozesłanych kwestionariuszy uzyskałem tylko 308 respondentów. Spodziewałem się więcej, gdyż kilkanaście artykułami w prasie emigracyjnej tłumaczyłem społeczną ważność tych badań. Z drugiej strony jednak jest to *przeszło dwa razy* więcej niż wynosi przeciętna liczba respondentów uzyskiwana w badaniach korespondencyjnych.

Ustalić „reprezentatywność” grupy respondentów jest zawsze sprawą trudną a w badaniach korespondencyjnych prawie niemożliwą. Nie znamy bowiem ani przyczyn dla których inni nie odpowiedzieli na kwestionariusz, ani ich opinii. Niemniej jednak, na podstawie innych danych można wnioskować, że grupa ponad trzystu respondentów w dużym stopniu dobrze reprezentuje całą badaną populację, tj. grupę ograniczoną wiekiem, datą przebywania na uchodźstwie oraz cenzusem maturalnym. Nie znamy dokładnej liczby członków tej społeczności, możemy mówić o niej tylko w przybliżeniu, z dużym marginesem na błąd. Na podstawie wszelkich dostępnych spisów i rejestrów oraz informacji uzyskiwanych od prezesów organizacji w krajach o małych skupiskach polskich wnioskuję, iż cała populacja, do której odnoszą się te badania, nie wynosi więcej niż 15 do 25 tysięcy osób. Czyli, że próbka 303 respondentów stanowi 2 do 1,2 % całości.

Zanim przystąpię do przedstawienia pierwszych wyników tychże badań, chciałbym tym wszystkim, którzy poświęcili chwilę czasu i skupienia na wypełnieniu i odesłanie kwestionariusza — serdecznie za ich trud podziękować. Co więcej, chciałbym podzielić się z czytelnikami tym wielkim przeżyciem jakim było dla mnie odczytywanie tej zbiorowej biografii kilku pokoleń wyrwanych z rodzinnej ziemi, zniszczonych latami doświadczeń wojny (a w wielu wypadkach dwóch a nawet trzech wojen), latami tułaczki, a wreszcie wysiłkiem adaptacji w krajach osiedlenia.

Jestem ogromnie wdzięczny za listy i dopiski tych wszystkich, którzy wyrażali radość z faktu, iż ktoś podjął się tej pracy i przesyłał mi ciepłe słowa otuchy i życzenia. Jestem również wdzięczny i tym którzy dopisywali swoje uwagi krytyczne odnośnie

kwestionariusza, niekiedy trafne, niekiedy wynikię z niepoprawnego odczytania pytań. Również miłą niespodzianką było dla mnie, iż 45,8 % respondentów podało swe nazwiska i adresy pomimo, iż kwestionariusz zastrzegał respondentom pełną anonimowość.

Tragedia narodu polskiego rozpoczęta 1 września 1939 roku zniszczyła w największym procencie właśnie tę warstwę społeczną, która zrodzona z przemian XIX wieku przez około sto lat stanowiła jego siłę wiodącą i nadała szczególny charakter kulturze nowoczesnego społeczeństwa polskiego. Znaczna część tej warstwy została przez cudzą przemoc wyrzucona poza granice Polski i stworzyła skupiska uchodźców polskich rozsiane po wszystkich krajach świata nie objętych jeszcze komunistycznymi rządami. Wraz z uchodźcami wszystkich innych klas i warstw Polski przedwojennej, inteligencja polska utworzyła potężną emigrację polityczną.

Badania moje objęły grupę topniejącą. Jest ona już dziś mniejsza niż była w 1979-80, gdy rozpocząłem rozsyłanie kwestionariusza. Jeszcze więcej ubyło osób z grupy najstarszej wiekiem, z którymi osobiście przeprowadzałem wywiady już w 1977 roku². Wspominam te spotkania z wdzięcznością i smutkiem. Prawie wszystkie wywiady dostarczały mi wiele cennych a często mało znanych informacji oraz wiele głębokiego wzruszenia. (Przeprowadzałem je w Stanach, Kanadzie i czterech krajach europejskich).

Wszyscy wiemy o martyrologii narodu polskiego, a w jej ramach, o umasowionym udziale inteligencji. A piszący te słowa zajmując się tematem inteligencji polskiej od lat i znając dość gruntownie jej historię, był przekonany, iż wiadomości i dane zdobyte przy pomocy kwestionariusza będą tylko dodatkiem statystycznym ważnym raczej dla wydawców moich prac amerykańskich, niż materiałem poruszającym nawet tego, kto się tym fragmentem narodowej tragedii zajmuje zawodowo. Okazało się jednak, że jest inaczej. Czym innym jest poznanie historii z książki i pamięć własnych wycinkowych doświadczeń, czym innym zmasowana relacja uczestników i świadków historii narodowej katastrofy. Mój skromny dom jakby się nagle zaludnił, czy jak się mówi w Polsce „dokwaterowało się” i żyje ze mną ponad trzysta dusz. A balast ich przeżyć i często historii rodzinnych sięgających w wielu wypadkach czasów sprzed Pierwszej Wojny Światowej, jest cięższy niż wrażenia z najsmutniejszej lektury historycznej.

2. W przygotowaniu tzw. badań pilotażowych (Londyn 1977) pomagała mi p. Anna Zebrowska.

O martyrologii niech mówią cyfry informujące o przejściach przez śledztwa policji politycznych, których zadaniem było zniszczenie tej właśnie części społeczeństwa polskiego, którą nazywamy inteligencją.

Śledztwo w Gestapo	15,8 %
Śledztwo w NKWD	13,9 %
Śledztwo w UB	2,3 %
Śledztwo w Gestapo i NKWD	1,3 %
Śledztwo w Gestapo i UB	0,7 %

(Jeden z respondentów przeżył śledztwa wszystkich trzech osławionych policji politycznych). Ogółem ponad 34 % respondentów doznało w mniejszym lub większym stopniu okrucieństwa brutalnego i czerwonego terroru.

Tylko 6,6 % podaje, iż nie straciło nikogo z rodziny w czasie ostatniej wojny, czy w okresach poprzednich walk o niepodległość. 15,8 % straciło po dwie osoby, a 4,6 % po pięć osób, 28,7 % pamięta o 8 lub więcej poległych członkach rodziny, 1,7 % podaje iż straciło całą rodzinę. Przeciętna strata członków rodziny inteligenckiej, biorąc pod uwagę krewnych tak ojca jak i matki, wynosi 4,3 osoby.

Blisko 30 % respondentów było rannych. Spośród nich prawie 4 % odniosło rany dwukrotnie a 1,2 % trzykrotnie. Przeciętna strata z polskiego podziemia lat wojny posiada 38,9 % respondentów. 50,2 % respondentów było co najmniej raz dekorowanych za zasługi bojowe lub cywilne.

A oto trochę ogólnych danych statystycznych³. Wśród respondentów tylko 16,2 % stanowią kobiety. Jest prawdą, że emigracja wojenna składała się w przeważającej mierze z mężczyzn, ale zapewne gra tu także rolę fakt, iż panie są bardziej zajęte od panów a ich uczestnictwo w organizacjach, z których otrzymywały adresy, jest również mniejsze niż płci brzydkiej.

Z czterech grup wieku, tj. tych którzy w chwili wypełniania kwestionariusza mieli 56 do 60, 61 do 70, 71 do 80, 81 do 90 oraz ponad 91 lat, najliczniej odpowiadały osoby w wieku 61 do 70 — 42,1 %. Ale „młodzież” czyli ci, którzy w 1945 roku mieli zaledwie 20 a powyżej 25 lat, stanowią aż 24,2 % wszystkich respondentów. A starsi, tj. powyżej 71 lat — 33,7 %.

Ta mała stosunkowo próbka dobrze odzwierciedla skład całej populacji naszej powojennej emigracji. Na przykład, na podstawie danych o zawodzie, pracy, czy stanowisku ojca respondenta mogłem ich pochodzenie społeczne podzielić aż na 23 grupy społeczno-zawodowe. Natomiast zawody samych respondentów

3. Całą pracę komputeryjną wykonał mój asystent Mr. Mohsen Bazargan.

w prowadzonej analizie podzielone zostały tylko na 16 grup, jako, że szereg grup zawodowych z Polski przedwojennej nie istnieje na emigracji, jak również dlatego, że nasza inteligencja rekrutuje się z wielu grup pozainteligenckich. Pod tym względem respondenci znakomicie oddają klasowo-warstwową złożoność pochodzenia inteligencji polskiej. Oczywiście, zgodnie z sytuacją z okresu, w którym przychodzili na świat i kształcili się moi respondenci (a najstarsi z nich mają powyżej 90 lat) — warstwy uprzywilejowane reprezentowane są silniej od nieuprzywilejowanych. Na przykład, na 9,2 % ziemian mamy tylko 9,6 % chłopów, na 19,8 % wolnych zawodów — tylko 3,6 % robotników, a na 8,9 % rodziców którzy piastowali kierownicze stanowiska administracyjne, mamy 12,9 % urzędników. Tych, których ojcowie byli wyższymi oficerami armii mamy 5,6 % podczas gdy z rodzin niższych oficerów tylko 2,0 %, a z rodzin podoficerów — 0,7 %.

Interesujący, gdyż chyba zbliżony do emigracyjnej rzeczywistości, jest geograficzny rozrzut pochodzenia respondentów. Z Kongresówki — 34,7 %, z Małopolski — 31,0 %, z Kresów i Wileńszczyzny — 16,6 %, z Wielkopolski i Pomorza — 9,5 %, ze Śląska — 2,0 %, a aż 6,1 % urodziło się poza granicami Polski. Ten rozrzut odpowiada przypuszczeniom, iż na Zachód wydobyło się stosunkowo najwięcej osób z centralnej, południowej i wschodniej Polski.

Interesujące jest również, jak w tej małej próbie tak wiernie odbija się słabość polskiej burżuazji. Mamy bowiem wśród rodziców respondentów tylko 1,0 % przedstawicieli wielkiej burżuazji, 3,6 % właścicieli drobnych zakładów przemysłowych i 1,6 % kupców.

Najliczniej odpowiedzieli inteligenci polscy zamieszkali w Stanach Zjednoczonych — 56,8 %, podczas gdy Anglia posiadająca największe i najżywsze skupisko tej polskiej warstwy społecznej dała tylko 14,9 %, a cała kontynentalna Europa zachodnia — 10,2 %, czyli prawie tyle co sama Kanada — 10,0 %, pozostałe procenty przypadają na Amerykę Łacińską, Australię i Afrykę.

Ten nierówny rozrzut odpowiedzi tłumaczyć po pierwsze odległością, ponieważ odesłanie kwestionariusza z Paryża, Londynu, Johannesburga czy Buenos Aires kosztuje dwa razy tyle co ze Stanów lub Kanady. Po drugie w Stanach i Kanadzie prasa emigracyjna ogłosiła kilka artykułów n.t. tych badań. W Europie tylko *Dziennik Polski* i *Jutro Polski* w Londynie zamieściły o tym po małej wzmiance.

Gdy porównujemy wykształcenie rodziców respondentów z ich własnym uzyskujemy ciekawy wgląd w proces awansu społecznego osób z warstw nieuprzywilejowanych. Podczas, gdy

wszyscy respondenci posiadają co najmniej wykształcenie średnie, a 76,9 % ukończyło wyższe studia, tylko 52,2 % ich ojców miało wyższe wykształcenie, 24,5 % ojców miało tylko wykształcenie średnie, a 22,2 % tylko podstawowe lub żadne. (Wśród matek respondentów grupy o tym samym wykształceniu wynoszą: 19,0 %, 51,5 % i 28,8 %).

Badania, których wstępne wyniki referuję, opracowywane są w języku angielskim, z przeznaczeniem nie tylko dla czytelników polskich ale także dla osób pochodzących z tych krajów, gdzie inteligencja polska dała swój wkład nie tylko ten tak dobrze nam znany — *wojenny*, ale także ten mniej znany — wkład do kultury, techniki i nauki.

Zanim przedstawię cyfry dotyczące samego procesu „ruchliwości społecznej”, jeszcze dwie informacje o nas samych, które choć zgodne nawet z powierzchowną znajomością emigracji polskiej przez jej członków, są godne podkreślenia, ponieważ dobitnie charakteryzują grupy polskie na Zachodzie, zwane emigracją wojenną. Otóż przeciętna liczba lat służby wojskowej (wliczając w nią również lata spędzone w obozach jenieckich) wynosi 5,2 %. Tylko 17 % respondentów nie służyło ani w wojsku regularnym ani nie było żołnierzami Polskiego Podziemia. Czyli, że badana grupa jest społecznością posiadającą ogromne doświadczenia związane z wojnami, które w tym stuleciu niszczyły Polskę. Najstarsi, 3,0 %, brali udział w trzech wojnach: 1914-18, 1919-20 i 1939-45. (Te trzy procenty obejmują jednakże tylko oficerów zawodowych, którzy służyli w wojsku od 21 do 33 lat.) Od jednego roku (miesiące zaokrąglono do roku) do 5 lat spędziło w wojsku 38,8 % respondentów; 41,5 % nosiło mundur od 6 do 20 lat. Przeciętna: 4,3.

Podobnie uderzającą cechą emigracyjnej inteligencji jest niepospolita, na tle cudzoziemców z tym samym wykształceniem, znajomość języków obcych. Niech mówią cyfry: przeciętna wynosi 3.339. Od jednego do trzech języków zna 64,8 %, z tym że 40,9 % podaje, iż włada trzema językami. Cztery języki obce zna 18,8 %, pięć języków — 10,1 %, ponad sześć — 6,4 % całej grupy respondentów.

„Znajomość” języka jest zawsze rzeczą względną. Skromniejsi podają zapewne języki, którymi dobrze władają. Mniej skromni podają i te które już zapomnieli. Ale, w myśl powiedzenia mego śp. profesora prawa Fryderyka Zolla, że „wiedzą naszą jest także to, co się zapomniało”, emigracyjna inteligencja polska, szczególnie najstarsze roczniki, znajomością języków obcych ostro odbija od ludzi wykształconych na Zachodzie.

Ten wysoki stopień znajomości obcych języków jest wynikiem historii badanych tu pokoleń. Urodzeni po Pierwszej Woj-

nie mają niższą przeciętną znajomości języków od tych, którzy zaczęli lub ukończyli gimnazjum przed powstaniem Polski niepodległej. W zaborze rosyjskim każdy musiał znać rosyjski, a jako język „obcy” brał francuski (prawie „obowiązujący” w tej warstwie) i niemiecki. Równocześnie wszyscy w zaborze pruskim i austriackim znali niemiecki a prócz tego brali „obcy język”. Równocześnie ci wszyscy którzy kończyli ośmioklasowe gimnazjum solidnie uczyli się łaciny i greki. Interesujące, iż tylko parę osób wymieniło w kwestionariuszu te języki klasyczne, paru księży i paru intelektualistów. Podobnie wiele osób nie wymienia języka ukraińskiego, choć nie mogło go nie znać kończąc gimnazjum w Stryju, Tarnopolu czy Stanisławowie. Podobnie prawie nikt nie podaje białoruskiego i litewskiego, chociaż młodość spędził w tej części dawnych ziem polskich, gdzie masa ludności z którą się musiał komunikować mówiła tymi językami. Sądzę, iż uważali że język którego nie studiowali, nie jest wart wymieniania. Zdarzali się i tacy respondenci, którzy nie wymieniali jako „obcego” języka kraju w którym żyją i pracują od lat trzydziestu. A nie chodzi tu o jakieś wyjątki, które zamknięte w polskim getcie rzeczywiście nie nauczyły się języka kraju zamieszkania, ale o tych którzy ze względu na rodzaj pracy muszą język danego kraju znać dobrze.

Drugim czynnikiem podnoszącym znajomość języków obcych, a obejmującym także najmłodszych w badanej populacji — są losy wojenne i emigracyjne inteligencji polskiej. Ci co przeszli obozy niemieckie poznali niemiecki z konieczności, tak jak deportowani w głąb Rosji nauczyli się rosyjskiego. A później wędrówki etapami (często po parę lat) przez różne kraje wzbogaciły ich znajomość języków. Wielu bowiem próbowało szczęścia w różnych krajach świata zanim gdzieś osiedli na stałe.

Pierwsze analizy komputeryjne przeprowadzone na podstawie danych z tego kwestionariusza dotyczą ruchliwości społecznej tej warstwy. Bez szczegółowych badań wszyscy wiemy, że inteligencja polska na obczyźnie przeżyła raptowne obniżenie swego statusu społecznego, iż musiała się podejmować prac zupełnie niezgodnych z jej przygotowaniem do życia, wykształceniem i ostatnią pracą w Polsce przed 1939 r. Jednakże empiryczne potwierdzenie tej oczywistej dla nas prawdy nie jest łatwe na podstawie danych z kwestionariusza. Po pierwsze często sam prestiż zawodu w Polsce Niepodległej różni się od prestiżu tego samego zawodu na Zachodzie lat 1970-tych (np. prestiż nauczyciela gimnazjum, oficera lub księdza był wyższy tam niż tu). Po drugie wielu respondentów dopiero dojrzało w latach wojny, wielu przed wojną studiowało i utrzymywało się z zajęć o niskim prestiżu lub po prostu nie pracowało. Natomiast po wojnie mogli

oni już jako ludzie dojrzały zajmować stanowiska o wyższym prestiżu społecznym w porównaniu z ostatnim zajęciem w Polsce.

Pomimo tych trudności uzyskane wyniki są interesujące. Najpierw porównajmy ostatnią pracę (stanowisko, zawód) wykonywaną w Polsce z pierwszą pracą na Zachodzie. W pierwszym obliczeniu wszyscy którzy jako ostatnią pracę w Polsce podali iż byli studentami lub nie pracowali zostali wyłączeni, a ci którzy podali informację o swojej ostatniej pracy czy stanowisku w Polsce zostali podzieleni na cztery grupy prestiżu społeczno-zawodowego. Przy tym podziale obraz ruchliwości społecznej badanej populacji przedstawia się następująco: 45 % zsunęło się w dół drabiny społeczno-zawodowego prestiżu, 34 % utrzymało się na mniej-więcej tym samym szczeblu, a 20 % przesunęło się na wyższe szczeble. Łatwo się domyślić, że do wyższych kategorii społeczno-zawodowych przesunęli się przede wszystkim ludzie młodzi, ale którzy mieli już ukończone przed lub w czasie wojny studia i w Polsce stawiali dopiero pierwsze kroki na rynku pracy.

Jeśli patrzymy oddzielnie na każdą z czterech grup, to znajdujemy iż tylko w grupie najwyższego prestiżu (ziemiaństwo, intelektualiści i osoby z kierowniczych stanowisk w przemyśle czy administracji państwowej) aż 57,1 % mogło utrzymać się w tej samej kategorii prestiżu. Natomiast w czwartej grupie najniższego prestiżu (ci których ostatnie zatrudnienie w Polsce było pracą fizyczną lub urzędnika niskiego szczebla) aż 83,3 % znalazło za granicą pierwszą pracę w tej samej kategorii.

O tym wysokim procencie „utrzymania się w siodło” na obczyźnie grupy najwyższego prestiżu decydowały głównie: wykształcenie, znajomość języków obcych i doświadczenie zawodowe. I na odwrót, brak ukończonych studiów, słaba znajomość języków obcych i brak doświadczenia zawodowego sprawiły, że z grupy najniższego prestiżu zaledwie 16,7 % przesunęło się w górę drabiny społecznej.

Pośród studentów i tych którzy w Polsce jeszcze nie pracowali, znalazło pracę w najwyższej grupie prestiżu 18,6 %, w nieco niższej — 17,1 %, w trzeciej — 22,9 %, w czwartej aż 38,5 %. Pozostałe 2,9 % to osoby, które nie pracują zawodowo (np. „panie domu”, inwalidzi, renciści).

Natomiast w obu grupach pośrednich „ruchliwość społeczna” wyglądała inaczej. W grupie o nieco niższym poziomie prestiżu niż grupa pierwsza, już tylko 10,5 % znalazło za granicą pierwszą pracę odpowiadającą ich ostatniej pracy w Polsce; 30,3 % przesunęło się w górę, a 59,2 % musiało podjąć pracę o niższym prestiżu społeczno-zawodowym. W trzeciej grupie 33,3 % utrzy-

mało się na tym samym poziomie, podczas gdy na lepsze czy wyższe stanowiska przesunęło się 23,5 % a na niższe czyli do czwartej grupy aż 43,1 %.

W badaniach ruchliwości społecznej badanej grupy uwzględnione zostały czynniki mające zwykle znaczenie dla ruchliwości społecznej we wszystkich społeczeństwach. (Oczywiście, tylko natężenie znaczenia, czy hierarchia ważności poszczególnych czynników bywa różna zależnie od miejsca i czasu.) Tak więc oprócz wpływu ostatniej pracy w Polsce na pozycję społeczno-zawodową na emigracji uwzględnione zostały: płeć, poziom wykształcenia (tj. ukończone czy nieukończone studia), kierunek studiów, miejsce ukończenia studiów, znajomość języków obcych, wiek respondentów oraz pozycja społeczna ich rodziców. Jednakże próbka była za mała ażeby ustalić łącznie znaczenie tych wszystkich zmiennych. Niemniej jednak używając *loglinear method* można było ustalić, że ani ekonomiczna pozycja rodziców, ani miejsce ukończenia studiów nie miały wpływu na uzyskanie pierwszej pracy za granicą. Natomiast ukończone lub nieukończone studia, ostatnia praca w Polsce, kierunek studiów, płeć, społeczny prestiż rodziny respondenta miały znaczący wpływ na kategorię pierwszej pracy respondentów, stwarzały dla danej osoby więcej szans uzyskania lepszej pracy lub stanowiska o wyższym prestiżu społeczno-zawodowym. Np. ci, którzy mieli wykształcenie w dziedzinie nauk ścisłych i przyrodniczych lub w naukach technicznych, mieli 2,5-krotnie większą szansę uzyskania lepszej pracy od innych. Ci, którzy mieli około lub ponad 30 lat mieli ponad 2,48 razy większą szansę niż młodsi. A jeśli chodzi o płeć to mężczyźni mieli 4,25 razy większą szansę niż panie. Także pochodzenie z wyższej warstwy społecznej stwarzało dla danej osoby 2 razy większą szansę niż mieli inni. Osoby ze skończonymi studiami miały 14,1 razy większą szansę od innych. A także ci, którzy już w Polsce zajmowali stanowiska o wyższym prestiżu, posiadali 5 razy lepszą szansę niż pozostali.

Wszystkie te wnioski pochodzą z analizy trzech czynników, z których dwa powtarzają się w każdym przypadku (ostatnia praca w Polsce i pierwsza za granicą), trzeci zaś jest za każdym razem inny. Dlatego nie możemy ich porównać. Natomiast możemy powiedzieć, że wpływ wykształcenia okazał się bezwzględnie wyższy od innych zmiennych.

Spójrzmy teraz na ruchliwość inteligencji polskiej za granicą, czyli porównajmy ich pierwsze i ostatnie zajęcie według społeczno-zawodowego prestiżu. Analiza statystyczna pokazuje, że 53,2 % respondentów utrzymało się w tej samej kategorii od pierwszej do ostatniej pracy. Natomiast aż 38,2 % przesunęło się w górę a tylko 8,6 % obniżyło swój status.

A kiedy *pierwszą* pracę w Polsce porównujemy z ich *ostatnią* pracą na obczyźnie dostajemy globalny obraz przesunięć w hierarchiach społeczno-zawodowego prestiżu. Otóż 52,1 % przesunęło się w górę, 27,2 % utrzymało się na tym samym poziomie, a aż 20,7 % obniżyło swoją pozycję społeczno-zawodową. Jest rzeczą oczywistą, że jeśli do grupy wyższego prestiżu zaliczamy tych, którzy jako pierwszą pracę w Polsce podali np. „ziemianin” to na Zachodzie nie znaleźli pracy o tym samym prestiżu. A na drugim krańcu mamy tych młodszych, którzy w Polsce zaczynali kariery o wysokim prestiżu (służba zagraniczna, sądownictwo itp.) a po sześciu latach wojny czuli się za starzy lub zbyt zmęczeni aby pisać się w górę i w rezultacie poprzestawali na zajęciach o niższym prestiżu. Takiej rezygnacji sprzyjał zresztą klimat „czekania” na trzecią wojnę światową i nadzieja szybkich zmian, które umożliwią ich powrót do Kraju.

Nie analizowałem jeszcze ruchliwości międzypokoleniowej, to jest różnicy pomiędzy statusem społecznym respondentów a ich rodziców. Ale wystarczy rzut oka na dane statystyczne dotyczące wykształcenia rodziców respondentów, aby tę ruchliwość ocenić. Podczas gdy *wszyscy* respondenci posiadają co najmniej średnie wykształcenie a 76,9 % ukończone wyższe studia i 21,0 % nieukończone, to tylko 52,2 % ich ojców miało wyższe wykształcenie, 22,5 % średnie, a aż 24,2 % zaledwie po parę klas szkoły podstawowej, i 1 % nie posiadał żadnego wykształcenia. (Odnośne procenty wykształcenia matek respondentów wynosiły: 19,0, 51,5, 28,8 i 0,7 %.)

Po przeszło trzech dziesięcioleciach inteligencja polska na obczyźnie zachowała ogromną zgodność poglądów i postaw. Posiada dużą świadomość wartości własnego wykształcenia. Na pytanie „czy system edukacyjny z czasów Pani, Pana młodości formował ludzi o silniejszym charakterze niż dzisiejszy?” — 91,2 % respondentów odpowiedziało „tak” (a w tym aż 57,9 % — „zdecydowanie tak”).

Na pytanie czy ów dawny system wydał ludzi „lepiej przygotowanych do życia?” — 86,2 % twierdzi że „tak” (w tym 48,2 % — „zdecydowanie tak”). Siedemdziesiąt procent jest przekonanych, iż dawny system czynił ludzi bardziej szczęśliwymi w ogólnym znaczeniu. Ale tylko 30,4 % jest o tym zdecydowanie przekonanych, a aż 21,9 % nie ma na ten temat zdania.

Oczywiście można podejrzewać, iż te oceny wiążą się z naturalną ludzką skłonnością do idealizowania czasów młodości. Ale inne badania historyczne potwierdzają słuszność tych odczuć moich respondentów.

Na pytanie — czemu przypisują te negatywne strony wspól-

czesnego systemu edukacyjnego, z odpowiedzi podzielonych na osiem grup najwięcej jest tych, które mówią o *permissiveness* lub braku dyscypliny (26,4 %). Na drugim miejscu jest podkreślanie upadku jakości szkolnictwa (13,9 %); na trzecim — materializm (12,2 %), na czwartym — upadek moralny (10,9 %). Pozostałe procenty przypadają na tych, którzy znajdują rozmaite inne przyczyny (16,8 %), oraz tych, którzy nie odpowiedzieli lub widzą przewagę współczesnego systemu edukacyjnego nad dawnym (19,5 %).

Jeśli w systemie wartości „klasycznego” inteligenta polskiego na pierwszym miejscu stały ideały walki o niepodległość, patriotyzmu, honoru, odwagi wojskowej i cywilnej, i nieobojętności na dobro innych, to można twierdzić, iż inteligencja na wygnaniu dochowuje tym ideałom wierności.

Świadomie stawiałem w kwestionariuszu pytania „podstępne” (w związku z czym często były źle odczytane, a u niektórych respondentów budziły gniewne oburzenie). Tak na przykład kiedy prosiłem o ustosunkowanie się do twierdzenia: „W obecnych stosunkach międzynarodowych niezawisłość państwowa nie jest konieczna dla narodowego rozwoju”, 70,9 % nie uznało takiego twierdzenia za słuszne. 72,9 % natomiast godzi się z twierdzeniem że „patriotyzm jest jednym z najbardziej wzniosłych uczuć ludzkich, a prawdziwy patriota szanuje prawa innych narodów”. 96,2 % uważa, że idea honoru nie umarła i „powinna obowiązywać nawet w transakcjach handlowych”. A że „odwaga jest cnotą wieczną i szczególnie potrzebną słabszym narodom w epoce totalitaryzmu i supermocarstw” — uznaje 96,2 %. Wreszcie 91,1 % godzi się ze zdaniem, iż „obojętność na dobro innych jest postawą sprzeczną z moralnością”.

Jeśli wyniki tych badań potraktujemy z całym pożądanym w nauce sceptycyzmem i będziemy pamiętać, iż większość odpowiedzi na pytania badające system wartości respondentów ma charakter subiektywny, oraz przyjmiemy (choć byłoby to bezpodstawne), że respondenci stanowią grupę osób wyjątkowych, choć przypadkiem wylosowanych, to i tak musielibyśmy przyznać, że na 1.100 osób 303 czyli 27,5 % z takimi postawami, za którymi stoją nie tylko ich słowa ale cała biografia — to grupa wysoce interesująca na tle innych społeczności.

O czym mówią przedstawione dane statystyczne i ich częściowe analizy.

1. Inteligencja emigracji wojennej i bezpośrednio powojennej składała i jeszcze składa się z doborowego materiału ludzkiego: dobrze wykształconego, ofiarnego i wyjątkowo doświadczonego. Z osób, które pozostały wierne ideałom kultury narodu, który

przez przeszło sto lat walczył o odbudowanie własnej niepodległości.

2. Najstarsi przeżyli trzy wielkie momenty narodowej historii: a) odbudowanie państwa — 1918, b) zniszczenie jego bytu na polskiej ziemi — 1939 i c) odmowę uznania legalnego rządu polskiego przez sojuszników po pięciu latach jakże szczodrej, polskiej ofiary krwi i całego polskiego wkładu do zwycięstwa aliantów, wkładu bez którego świat dzisiejszy wyglądałby zgoła inaczej. Młodszy przeżyli dwa ostatnie wstrząsy i w olbrzymiej większości sześć lat walki i poświęcenia dla uratowania Najjaśniejszej.

3. Inteligencja emigracyjna doświadczyła masowych przesunięć w ramach tego co socjologowie nazywają „ruchliwością społeczną”. Po wojnie, na obcych ładach przeważnie zaczęli życie od początku. Było to „naturalne” dla młodych, którzy jeszcze nie zdążyli wejść w życie przed wojną. Było smutnym zbiorowym doświadczeniem dla starszych. Ale prężność moralna, wykształcenie, znajomość języków obcych i duże doświadczenie życiowe umożliwiło im w stosunkowo dużym odsetku powrót do statusu społecznego porównywalnego z tym jaki posiadali w Polsce Niepodległej.

4. Kraje osiedlenia nie doceniły tej masy emigrantów, którzy nie kwapili się do pracy w kopalniach i fabrykach. Myślano o nich niechętnie jako o *displaced persons*, którzy są dodatkowym obciążeniem dla rynku pracy. Klimat polityczny późnych lat 1940-tych nie sprzyjał wykorzystaniu wiedzy i tego unikalnego doświadczenia, które w życie społeczeństw zachodnich wniosła emigracyjna inteligencja polska.

5. Pomimo tego wielkiego błędu Zachodu, który przez długie lata traktował emigrantów polskich jako niewygodnych przybłędów i nie potrafił wykorzystać ich wiedzy i doświadczenia, wkład tej najbardziej uderzonej przez los części inteligencji polskiej do kultury, nauki i techniki krajów ich osiedlenia okazuje się pokąźny. Tylko 25,1 % respondentów stwierdza, iż ani oni sami ani ich dzieci nie dały żadnego wkładu. 74,9 % przyznaje się do większego lub mniejszego wkładu. W tym wkład swój do nauki odnotowuje 7,6 %; poprzez prace w szkolnictwie i publikacje w tym zakresie — 4,3 %; wkład do techniki — 6,9 %; do sztuki — 1,3 %; a wkład do literatury i dziennikarstwa aż 9,2 %, chociaż w ogromnej większości była to literatura emigracyjna czyli tworzona w języku ojczystym.

Aby w pełni przedstawić unikalność inteligencji polskiej potrzebne są nam dalsze badania porównawcze z warstwą ludzi o tym samym poziomie wykształcenia ale wyrosłych w innych kulturach.

Tymczasem możemy się tylko zadumać nad losem narodu, którego tacy właśnie obywatele, jakich ukazują nam dane statystyczne, zmuszeni są od blisko dwóch wieków opuszczać własny kraj i dawać wkład swej energii i wiedzy narodom szczęśliwszym.

Aleksander GELLA

Studenci polscy kontynuują naukę w Wielkiej Brytanii

Wkrótce po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce doszły do środowiska akademickiego w Londynie wiadomości, że na terenie Wielkiej Brytanii znajdują się studenci polscy, którzy albo obawiają się represji po powrocie do kraju, albo nie chcą wracać tam teraz, chociaż nie wykluczają powrotu po jakimś czasie. Początkowo nie było jednak wiadomo, ilu jest tych studentów oraz czy i ewentualnie jak można im pomóc w kontynuowaniu nauki na brytyjskich uczelniach. 27 stycznia 1982 odbyło się w Londyńskiej Szkole Ekonomii i Nauk Politycznych (LSE) zebranie, którego celem było znalezienie odpowiedzi na te właśnie pytania. W zebraniu uczestniczyli: prof. Peter Wiles (przewodniczący, LSE), dr Włodzimierz Brus (Oxford), dr Stanisław Gomułka (LSE), dr Anthony Polonsky (LSE), dr Norman Davies (Londyn) oraz dr Stefan Markowski (Londyn). W spotkaniu brał również udział jeden z zainteresowanych studentów, który w oparciu o informacje z wcześniej odbytego zebrania samych studentów ocenił grupę potrzebującą naszej pomocy na około 50 do 100 osób. Niemal nikt spośród tej grupy nie zamierzał ubiegać się o status uchodźcy politycznego. Wobec tego musieli oni być traktowani przez brytyjskie uniwersytety jako obcokrajowcy. Taka kwalifikacja oznaczała pełną opłatę za naukę, wynoszącą w tym roku od 5 do 8 tysięcy dolarów rocznie w zależności od typu studiów, wobec 1/6 tej sumy w przypadku studentów brytyjskich. Do tej sumy doliczyć trzeba około 4 do 5 tysięcy dolarów rocznie potrzebnych na opłacenie mieszkania, wyżywienie, zakup książek i inne wydatki tego typu. Natychmiast zdaliśmy sobie sprawę, że sumy jakie mogą być potrzebne są bardzo poważne, bo rzędu pół miliona dolarów rocznie przez okres dwóch do trzech lat. Uzyskanie miliona dolarów wydawało się nam ponad siły małej grupy akademickiej, tym bardziej iż obawa przed stworzeniem prawnego precedensu musiała wykluczyć pomoc materialną ze strony rządu, co zresztą później potwierdził odpowiedni minister. Tym niemniej, kierując się bardziej poczuciem obowiązku niż rozsądkiem, postanowiliśmy stworzyć fundusz stypendialny. Peter Wiles zaproponował nazwę: *Polish Students Appeal Fund* (PSAF). W tym momencie nie było jeszcze jasne co robić dalej. Wiedzieliśmy niewiele więcej ponad to, że musimy się zarejestrować jako organizacja charytatywna, bo to nam powinno ułatwić zbieranie pieniędzy. Liczyliśmy też, że przyciągniemy do PSAF znane osobistości jako powierników (*trustees*).

Pracownicy naukowci grupy inicjującej PSAF okazali się jednak dyle-

tantami w sprawach administracyjno-prawnych. Straciliśmy dużo czasu na ułożenie odpowiedniego regulaminu i znalezienie właściwych powierników Funduszu. Dopiero (bezpłatna) pomoc mecenasa S. Farrena przyniosła nam szybko pierwszy sukces, rejestrację PSAF. Rejestracji dokonali pierwsi powiernicy: prof. Peter Wiles, Lord Henley oraz ksiądz Kukla, duszpasterz akademicki w Londynie.

Ale sukces z rejestracją przyszedł tak późno (14 czerwca 1982), że bez podjęcia jakiegś nowej i radykalnej inicjatywy groziła nam i studentom strata roku akademickiego 1982/83. Rozumieli to też studenci. Spotykaliśmy się z nimi zbiorowo (w maju Fundusz reprezentowali Peter Wiles, Jolanta Szczaniecka, Jerzy Kuleczycki i autor) oraz indywidualnie. Doradzaliśmy im składanie podań i nawiązywanie kontaktów z uczelniami bez szczegółowego wyjaśniania sposobu finansowania studiów. Równocześnie przygotowaliśmy list-apel do wszystkich wyższych uczelni w Wielkiej Brytanii. List ten podpisał Lord James, były pierwszy rektor uniwersytetu w York i z tej racji dobrze znany wśród grona rektorów w całym kraju. List wystaliśmy 2 lipca do około 120-tu uniwersytetów, politechnik i innych szkół wyższych. Prosiłiśmy w nim każdego adresata o zaoferowanie jednego bezpłatnego miejsca dla polskiego studenta, któremu zagraża niedokończenie studiów na skutek wprowadzenia w Polsce stanu wojennego. Równocześnie zobowiązaliśmy się do selekcji studentów o odpowiednim poziomie akademickim.

Pomimo wyjątkowo trudnej sytuacji finansowej szkół wyższych, spowodowanej poważnym zmniejszeniem funduszy rządowych, do 1 października napłynęło od rektorów około 65 odpowiedzi pozytywnych. Wszystkie odpowiedzi, nawet negatywne, były serdeczne i pełne zrozumienia dla podjętej przez nas inicjatywy. Szereg rektorów nawiązało do ostatniej wojny oraz wkładu Polaków do nauki i kultury brytyjskiej. W niektórych listach wyrażano nadzieję, że polski absolwent będzie mógł powrócić do Polski i służyć tam uzyskaną wiedzą. Szczególnie ciepłe listy przysły z Szkocji i Walii. Jeden uniwersytet walijski, w Cardiff, zaoferował dwa bezpłatne miejsca. Kilka uniwersytetów zaoferowało również częściowe, a uniwersytet szkocki w St Andrews pełne pokrycie kosztów utrzymania.

W okresie lata przeprowadziliśmy indywidualne rozmowy z około setką studentów, radząc im w wyborze uczelni i szczegółowego kierunku studiów, ocenając wartość akademicką i dokonując wstępnej selekcji kandydatów. Pracą tą zajmowali się dr A. Folkierski (fizyk, Imperial College), dr A. Polonsky (historyk, LSE) oraz autor (ekonomista, LSE). Te trzy osoby kontaktowały następnie wyselekcjonowanych kandydatów z odpowiednimi uczelniami. Ten proces umieszczania studentów trwał do połowy października. Proponowane przez nas osoby były następnie przez uczelnie zapraszane na rozmowy, w wyniku których decydowano czy i na który rok studiów mogą być przyjęte. W sumie była to bodaj najbardziej pracowita i odpowiedzialna część działalności PSAF, wymagająca dużo zrozumienia i pomocy setek ludzi z zainteresowanych uniwersytetów, a także bezinteresownej pomocy naszych sekretarek i wyrozumiałości naszych *college'ów*; te ostatnie przejęły koszty korespondencji i telefonów.

Studia w Wielkiej Brytanii są dwustopniowe, trzy lata (czasem cztery) na stopień pierwszy, BSc lub BA, oraz dalszy rok (czasem dwa) na stopień drugi, MSc lub MA. Tylko najlepsi absolwenci stopnia pierwszego, mniej więcej co czwarty, uzyskują prawo do dalszych studiów. Wykładów z danego przedmiotu, jak i samych przedmiotów, jest z reguły mniej niż w Polsce, ale są one bardziej intensywne i wymagają dużo większego czytania studenta w światowej literaturze naukowej w danej dziedzinie. Rozmowy ze studentami polskimi, prowadzone głównie przez same uniwersytety, ujawniły ostro te i inne różnice w organizacji i treści studiów. W rezultacie studenci po trzech, a nawet czterech latach studiów w Polsce zostali przyjęci najczęściej na pierwszy lub drugi rok studiów pierwszego stopnia. Tym więk-

szym sukcesem było przyjęcie czterech osób na stopień drugi, czyli studia magisterskie, oraz dwóch osób na studia doktoranckie. Pod względem kierunku studiów nasza czterdziestka reprezentuje sobą bogatą różnorodność. Mamy więc fizyka, kilku elektroników, kilku inżynierów innych specjalności, kilku komputerowców, dwoje specjalistów żywienia zwierząt, zoologa, biochemiczkę i chemiczkę, archeologa, kilku psychologów, teologa, kilku ekonomistów, dwoje historyków sztuki, kilku anglistów, kilku historyków i politologów, dwóch prawników.

We wrześniu PSAF zwrócił się do około 130 adresatów, przede wszystkim organizacji charytatywnych popierających edukację, jak również banków, z prośbą o pomoc pieniężną. Drugi taki apel wyszedł w listopadzie. Sukces tych dwóch apeli jest jednak, jak dotąd, raczej umiarkowany. W sumie do Nowego Roku wpłynęło około 20 tysięcy dolarów. Na szczęście nie są to jedyne fundusze z jakich korzystają nasi studenci. PSAF pośredniczył bowiem w uzyskaniu pieniędzy dla poszczególnych studentów od różnych organizacji i osób. Ponadto czworo studentów działało z powodzeniem na własną rękę, uzyskując stypendia od kilku angielskich i polskich fundacji. Wobec bardzo skromnych środków pozostających w dyspozycji PSAF większość studentów próbuje łączyć naukę z pracą podczas *weekend'ów* i wakacji. Od Nowego Roku mamy zamiar zwracać się także do lokalnych kół Stowarzyszenia Polskich Kombatanów (SPK), szczególnie tych działających w miastach uniwersyteckich, z prośbą o swego rodzaju adoptowanie studentów w trudnej sytuacji materialnej. Sądząc z bardzo ciepłego przyjęcia tej idei przez kierownictwo SPK w Londynie, powinniśmy wkrótce odczuć wsparcie tej wpływowej organizacji polskiej w Wielkiej Brytanii. Jeśli dodać, że w szczególnie trudnych sytuacjach można jeszcze liczyć na pomoc ze strony polskich parafii katolickich i innych organizacji społecznych, to teraz, po roku działalności PSAF, można już mieć uzasadnioną nadzieję, chociaż jeszcze nie pewność, iż brak środków do życia nie zmusi żadnego z przyjętych pod naszą opiekę polskich studentów do rezygnacji z ukończenia studiów w Wielkiej Brytanii.

W tym roku akademickim mamy dalszą grupę kilkunastu a może nawet kilkudziesięciu studentów, którzy zabiegają o naszą pomoc w rozpoczęciu studiów w październiku 1983. Wydaje się, że uniwersytety byłyby skłonne przyjąć niektórych z tych studentów bez opłat za same studia, pod warunkiem, że zobowiązemy się do pokrycia w pełni kosztów utrzymania. W ten sposób zarysowuje się szansa dalszej pomocy środowisku polskich studentów. Od każdego z nas zależy, czy będziemy mogli ją wykorzystać.

Stanisław GOMUŁKA

Post Scriptum. Pełna lista powierników PSAF jest następująca: prof. Peter Wiles, przewodniczący, Sir Bernard Braine, MP, Vladimir Bukovski, Jerzy Giedroyc, Lord Henley, Lord James, Książd Tadeusz Kukla, dr Anthony Polonsky, Norman St. John-Stewas, MP, Henry Threlfall, Richard Wainwright, MP, Biskup Szczepan Wesoły.

Do zarządu PSAF wchodzi: dr M. Branch, dr W. Brus, dr J. Ciechanowski, dr I. N. R. Davies, dr A. Folkierski, R. Gabrielczyk, dr S. Gomułka, J. Kulczycki, dr S. Markowski, dr A. Polonsky, zastępca przewodniczącego, J. Szczaniecka, dr J. J. Tomiak, prof. P. Wiles, przewodniczący. Sekretarką PSAF jest pani Ewa Lipniacka.

Czeki wystawione na PSAF można przysyłać do: *Barclays Bank Ltd., 190, Tottenham Court Rd., London W1, Deposit A/C No. 61370251*, a także na adres: *c/o Professor P. Wiles, London School of Economics, London WC2A 2AE.*

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Minęło pierwszych czterdziestu dni rządów Andropowa. Można już ocenić pierwsze kroki nowego generalnego sekretarza i zobaczyć, co zostało z nadziei wywołanych zmianą warty na Kremlu. Jak już bywało w okresach „wielkich nadziei” (1924, 1953, 1964), Zachód nakreślił kolejnemu przywódcy program działań, złożony z kilku oczywistych punktów: w polityce wewnętrznej miał zrobić kilka „humanitarnych gestów” mających podbudować jego autorytet (zezwolić na powrót Sacharowa do Moskwy, zwolnić Szczarańskiego, Orłowa i innych znanych na Zachodzie więźniów, ogłosić dużą amnestię) po czym rozpocząć strukturalne reformy ekonomiczne celem „wyprowadzenia kraju z kryzysu”. W polityce zagranicznej miał wyprowadzić wojska z Afganistanu, unormować sytuację w Polsce na bazie rozsądnego kompromisu, ułożyć się z Zachodem w sprawie rakiet SS-20 i Pershingów, czyli krótko mówiąc wrócić do „odprężenia”.

Ten znakomity program miał tylko jedną wadę, nieuleczalną brak zrozumienia dla istoty ustroju i państwa sowieckiego. Jurij Andropow przystąpił zatem do realizacji własnego programu, który ogłosił na listopadowym plenum KC KPZS (1982). Od tego do plenum czas liczy się znowu od zera.

Ważnych zmian personalnych dokonano jak dotychczas w dwu dziedzinach — w organach represji i w propagandzie. Witalij Fiodorczyk, zastępca Andropowa na stanowisku szefa KGB, został mianowany ministrem spraw wewnętrznych. Szefem KGB jest od 17 grudnia Wiktor Czebrikow, pracownik „organów” od 1967 roku, tj. odjął je Andropow, a od 1982 zastępca szefa. Nowym dyrektorem wydziału propagandy natomiast mianowany został Borys Stukalin, zamujący się kontrolą wydawnictw.

Pierwsze posunięcia nowego generalnego sekretarza, pierwsze ustawy, dyrektywy i hasła propagandowe nie pozostawiają najmniejszych wątpliwości: pora zacząć się bać. Ludzie sowieccy

nigdy bać się nie przestali, ale był czas, kiedy wydawało im się, że mogą się bać mniej.

Pierwszy krok Andropowa polega na włączeniu mechanizmu strachu w świadomości człowieka sowieckiego. Kluczowe słowo pierwszych trzech miesięcy nowej ery to dyscyplina. Gazety, radio i telewizja dzień w dzień powtarzają: trzeba wzmóc walkę o wszechstronne zwiększenie dyscypliny pracy w przemyśle i rolnictwie! Andropow nie ukrywał na listopadowym plenum, że „należy z większym zdecydowaniem walczyć z różnymi naruszeniami dyscypliny”. 25 stycznia odbyło się wszechzwiązkowe spotkanie kierowniczych kadr organów spraw wewnętrznych, w którym uczestniczyli przedstawiciele organów bezpieczeństwa i KC KPZS. Na zebraniu tym „zdefiniowano konkretne środki mające zlikwidować niedociągnięcia w działaniu organów spraw wewnętrznych”.

„Konkretne środki” wyrażają się w zwiększonej kontroli obywateli. We wszystkich miastach wyległy na ulice patrole milicyjne, które sprawdzają dokumenty obywateli przechadzających się za dnia, siedzących w kinie, kąpiących się w łaźni. Ludziom tym zadają jedno pytanie: dlaczego to nie pracujecie, tylko stoicie w kolejce do sklepu, myjecie się w łaźni, siedzicie u fryzjera albo w kinie? Partia jednak postanowiła nie ograniczyć się do patroli, lecz zwrócić się o pomoc do narodu: należy mianowicie pisać donosy na tych, którzy naruszają dyscyplinę, źle pracują, biegają w czasie pracy za swoimi sprawami. Apel ten wzbudził, jak pisze *Literaturnaja Gazeta* (nr 1 z 5 lutego 1983) „ogromne zainteresowanie”: donosy popłynęły szerokim strumieniem.

„Konkretne środki” znalazły wyraz w dekreście rządu RSFSR (*Sowietskaja Rossija* z 19 stycznia 1983) o powołaniu do życia „ośrodków reedukacji”, do których kierowani będą „pasożyci”, czyli alkoholicy, narkomani i inne „elementy antysocjalistyczne”. RSFSR, Rosyjska Republika Sowiecka, „pierwsza wśród równych”, daje przykład pozostałym republikom, które niewątpliwie pójdą w jej ślady.

Stworzenie „ośrodków reedukacji” stanowi ważny element nowej polityki strachu. Jej pierwsze owoce to areszty w najróżniejszych kręgach ludności, wśród wierzących, wśród uczonych... Chodzi oczywiście o zlikwidowanie jakichkolwiek przejawów niekontrolowanej myśli i dowiedzenie wszechmocy organów. Temu celowi służą na przykład powtarzające się rewizje u pisarza Georgija Władimowa, przewodniczącego rosyjskiej sekcji Amnesty International. W imię tych samych celów wezwano w Moskwie do Prokuratury historyka Roja Miedwiediewa i uprzedzono go, że jeśli nie zaprzestanie „wrogiej działalności” (tzn. ogłaszania za granicą wyników swoich badań historycznych), zostanie pociągnięty do odpowiedzialności karnej. Wiceprokurator Oleg Soroka objaśnił mu, że „fakt, że przez dwadzieścia lat Was nie wzywali dowodzi naszej ogromnej cierpliwości. Ale nadchodzi jej kres. W 1983 cierpliwość może się wyczerpać”.

Ostrzeżenie Miedwiediewa jest szczególnie znaczące, bo ten dysydencki historyk jeszcze w 1975 roku uważał że właśnie Andropow (pośród ówczesnych wodzów) „lepiej rozumie problemy inteligencji” (*Observer*, 15 czerwca 1975). Można powiedzieć, że Miedwiediew się pomylił. Zresztą sam Jurij Władimirowicz nie ukrywa swych zamiarów, wołając na uroczystym posiedzeniu z okazji 60-tej rocznicy rewolucji październikowej: „Nie gadajcie nam o humanizmie”.

Puszczeniu w ruch maszyny strachu towarzyszy naturalnie totalny nacisk na cały kraj. 2 stycznia *Prawda* poświęciła niemal całą czwartą stronicę na opowiadanie Juliana Siemionowa „Powrót”. *Prawda* dość rzadko ucieka się do beletrystyki, a już nigdy nie robi tego z miłości do sztuki. Julian Siemionow twórczość swą poświęcił opiewaniu organów CzK-KGB. Serial nakręcony według jego powieści „Siedemnaście mgnień wiosny” stał się najpopularniejszym filmem, jaki kiedykolwiek pokazano w sowieckiej telewizji. Bohaterem filmu jest sowiecki as wywiadu Isajew, któremu udaje się dostać do najbliższego otoczenia Himmlera pod nazwiskiem Schtirnitz. Schtirnitz jest doskonałym przedstawicielem sowieckich organów, wiernym uczniem ich twórcy, Dzierżyńskiego. Opowiadanie „Powrót” dotyczy powrotu Schtirnitza do Niemiec ze Szwajcarii, gdzie odbierał polecenia z Centrali. Symboliczne znaczenie opowiadania zakodowane jest w imionach ludzi, których Schtirnitz wspomina w drodze do hitlerowskiego Berlina. Są to wszystko czekaści leninowskiego chowu, bohaterowie rewolucji, świetlane postacie, zamordowane przez Stalina w okresie czystek. Jednak Stalina nigdzie się nie osądza: zaszła omyłka.

Sens opowiadania jest taki: wracają stare czasy, era ręki twardej, ale sprawiedliwej. Pierwszy zrozumiał to I sekretarz KC PZPR Jaruzelski, składając w czasie wizyty w Moskwie kwiaty na grobie Dzierżyńskiego. Zrozumieli to też oczywiście obywatele sowieccy. Pierwszy dowcip o Andropowie brzmi tak oto: „Jurij Władimirowicz, jesteście więc wodzem. A czy naród za Wami pójdzie?” — zapytują Andropowa w Biurze Politycznym. — „Pójdzie, pójdzie — odpowiada Andropow. — Jak nie pójdzie za mną, to pójdzie za Breżniewem”.

Skorzarzenia z okresem stalinowskim są konieczne dla wywołania odruchu strachu, ale także dla uspokojenia. Stalin zostawił swoim następcom nadzwyczajne dziedzictwo: próg represji ustawił tak wysoko, skala terroru była tak niesłychana, że wszystkim poniżej tego progu wydaje się terrorem z ludzką twarzą.

Kiedy obywatele sowieccy otworzyli *Prawdę* 1 lutego 1983, co starszym spośród nich przypominały się dobre stalinowskie czasy. Na pierwszej stronie błyszczał tytuł następujący: dużymi literami SPOTKANIE J. W. ANDROPOWA a pod spodem mniejszymi „z moskiewskimi budowniczymi z fabryki obrabiarek”. Pierwszy sekretarz KC KPZS przyszedł do moskiewskiej fabryki pogadać z proletariatem. Pochodził po halach, zadał robotnikom kilka pytań, a podczas przerwy obiadowej wygłosił krótką

moję. Rozmowa *genseka* z proletariuszami przebiegała prosto, po ludzku: ile zarabiacie, jakiej pomocy technicznej udzielacie przedsiębiorstwom państw socjalistycznych, jakie macie problemy? Problem zaś w tym, że młodzi nie chcą być robotnikami. Ciekawe dlaczego, skoro „tokarz A. S. Korolew zarabia 250 rubli”. Przedsiębiorstwo „Moskiewska Fabryka Obrabiarek im. Ordżonikidze” pomaga „krajom członkom RWPG”: „dostarcza im towaru”. Przez „dostarczanie towaru” należy rozumieć sprzedaż. Dlaczego nazywa się to „pomocą”, pozostaje tajemnicą sowieckiego języka.

Po krótkiej przechadzce po halach fabrycznych Andropow podczas przerwy obiadowej wyłożył robotnikom swój program. Sprowadza się on do jednego słowa: dyscyplina! W czasie niedługiego przemówienia Andropow powtórzył to słowo dziesięć razy. Dyscyplina, wyjaśnił I sekretarz — to jedyne panaceum na wszystkie choroby. Centralny Urząd Statystyczny, przypominał, „stwierdził, że tracimy miliony osobo-godzin wskutek wychodzenia z zakładu, przerw na papierosa, absencji, a w dodatku jeszcze ten i ów obija się w pracy”. Dokładna wysokość strat w 1982 roku wynosi 125 miliardów godzin, czyli równoważność rocznej pracy sześćdziesięciu milionów ludzi.

Trudno sobie wyobrazić lepszy dowód na wyższość gospodarki socjalistycznej nad kapitalistyczną: żadne państwo kapitalistyczne by tego nie wytrzymało. A sowiecka gospodarka wytrzymuje. Jej problemy są tak dziwaczne, że wszelkie próby ich racjonalnego wyjaśnienia dają efekty wręcz humorystyczne. Wystarczy dotknąć tych problemów, a już człowiek ma wrażenie, że zwariował. Doskonałym przykładem takiego kolejnego ataku obłądu może być najnowszy raport CIA. Po licznych raportach minionych lat, z których wynikało, że gospodarkę sowiecką toczy katastrofalny kryzys, to samo CIA dowodzi w grudniu 1982 roku na 400 stronicach, że gospodarka sowiecka kwitnie. „Niezależnie od chronicznych problemów Związek Sowiecki rozwija się równomiernie, a poziom życia w ostatnich 30 latach wzrósł”. Najlepsze w tym wywodzie jest to, że oparty on jest na tych samych danych, jakimi dysponowali autorzy poprzednich raportów. Jedyny Alain Besançon zrozumiał, że sowiecka gospodarka nie ma niczego wspólnego z ekonomią w tradycyjnym rozumieniu tego słowa. Ale jego „Anatomia widma” nie została przeczytana.

Dyskusję, jaka toczy się ostatnio na łamach prasy sowieckiej można uznać za ilustrację „problemów” sowieckiej „gospodarki”. Jak wiadomo, Związek Sowiecki odczuwa w ostatnich latach trudności z chlebem. Przywódcy sowieccy znaleźli na to sposób: oszczędzać chleb. Chleb wypieka się w Związku Sowieckim w formie dużych bochenków. Ponieważ zgodnie z oficjalnymi normami „należy zwiększyć procent wody w cieście” *Izwestia* z 21 stycznia 1983), chleb bardzo szybko czernieje i staje się nie do jedzenia. Można go tylko wyrzucić. Według oficjalnych statystyk co roku wyrzuca się 7-8 mln ton chleba

(*Literaturnaja Gazeta* nr 2, 1983). Logiczne byłoby proste wyjście: piec chleb „małowymiarowy”, czyli mniejsze bochenki. Tu jednak zaczynają działać mechanizmy sowieckiej ekonomii: fabryka oszczędzająca mąkę i produkująca mniej chleba przestaje wykonywać plan! Wobec tego pozostaje tylko jeden sposób na rozwiązanie kwestii chleba: wprowadzenie kartek. Wtedy każdy będzie zjadał cały chleb, jaki dostał, choćby był suchy jak wiór.

W fabryce obrabiarek wystąpili oprócz Andropowa dyrektor zakładu, przewodniczy pracy, sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej i I sekretarz moskiewskiej organizacji partyjnej. O autentycznej gospodarce powiedziała kilka słów jedynie kierowniczka wykańczalni T. Komarowa. Andropow zainteresował się, czy moskiewskie obrabiarki wytrzymują konkurencję z innymi i dlaczego robotnicy nie chcą pracować. T. Komarowa odpowiedziała mu. Na jej oddziale, tam gdzie obrabiarki się wykańcza i maluje, pracują same kobiety: „mężczyźni przychodzą i odchodzą. Wydaje im się, że u nas jest bardzo ciężko, praca szkodliwa, więc uciekają”. Kobiety pracują na oddziale szkodliwym dla zdrowia, posługują się „nie dość dobrymi materiałami lakierniczymi”, wskutek czego obrabiarki trzeba pokrywać farbą po kilka razy, żeby sowiecki lak nie odpadał, a szlifierki którymi się posługują „wagę dwa kilogramy i przy pracy tak wibrują, że człowiekiem całym trzęsie”.

Jurij Andropow wyjaśnił, że zwiększenie dyscypliny zlikwiduje te bolączki, po czym dorzucił: „Chciałbym, żeby towarzysze właściwie zrozumieli: kwestia zwiększenia dyscypliny dotyczy nie tylko robotników, inżynierów i techników. Dotyczy ona wszystkich, poczynając od ministrów”.

Oto główna zasada stalinowskiego terroru: wszyscy są winni! Poza, oczywiście, pierwszym sekretarzem.

Uprowadziwszy robotników, że żyć będą lepiej tylko wtedy, jeśli będą lepiej pracować, Andropow przypomniał im, że „sytuacja się zaognia, niebezpieczeństwo wojny wzrasta”. Dlatego w żadnym wypadku nie mogą liczyć na wzrost stopy życiowej.

O ile przycichły nieco pienia pod adresem Andropowa-reformatora i Andropowa-liberała, o tyle coraz głośniej brzmią pochwały Andropowa-dyplomaty. Chwali się zręcznością jego posunięć, przebiegłości koncepcji. Cel strategii, twierdził Clausewitz, to wygrać wojnę bez bitwy. Nie ulega kwestii, że ten kto odniesie takie zwycięstwo może pretendować do miana wielkiego dowódcy, nawet jeśli przeciwnik przystąpił do walki z góry gotów do porażki.

Prasę zachodnią zalewa potok cyfr: liczby rakiet, głowic, SS-20 i SS-5, Pershingów i Cruise'ów doskonale kamuflują sens i charakter bitwy dyplomatycznej, nad którą dowództwo generał Andropow przejął z rąk marszałka Breżniewa. Charakter bitwy ilustruje fakt, że Związek Sowiecki we wszystkich spornych kwestiach dopiął swego: SS-20 już stoją, armia sowiecka znajduje się w Afganistanie, normalizacja w Polsce będzie wytyczonym torem. Zachód prosi Związek Sowiecki, aby zrobił krok

do tyłu, obiecując mu sowitą zapłatę. A sowiecka dyplomacja ze swych dominujących wyżyn pogardliwie przygląda się wrogowi, kłębującemu się w dolinach.

Dyplomacja zachodnia niezłomnie liczyła — popierana w tym przez ekspertów od sowietologii — że Związek Sowiecki ustąpi pod naciskiem kryzysu, beznadziejnej wojny w Afganistanie i niepokoju w Polsce. Po raporcie CIA upadły nadzieje na katastrofę gospodarczą w ZSSR. Wojna w Afganistanie może trwać tak jak wojna o Kaukaz — 30 lat. Tym bardziej, że dla narodu sowieckiego (z wyjątkiem rodzin poległych) wojna ta nie istnieje. Prasa sowiecka przedstawia wydarzenia w Afganistanie jako walkę rewolucyjnego narodu z bandami amerykańsko-izraelskich najemników. „Ziemia afgańska kipi gniewem i wzburzeniem”, donosi korespondent własny *Izwestii* z Kabulu (8 stycznia 1983). Ma na myśli gniew i wzburzenie „robotników i chłopów, przedstawicieli duchowieństwa i ludowej inteligencji, kupców i rzemieślników, urzędników państwowych i żołnierzy armii afgańskiej” wobec „bezpośredniej ingerencji amerykańskiego imperializmu w wewnętrzne sprawy Afganistanu”. Polska przestała być dla Moskwy przedmiotem poważnych zmartwień.

Sowieckiej dyplomacji pozostaje tylko stać nieruchomo na szczytach i czekać, pozorując niekiedy jakiś ruch. Czekać nie przyjdzie jej długo. W styczniu kluczowym słowem polityki amerykańskiej w kwestii rakiet w Europie stało się: *flexibility!* Amerykańscy dyplomaci i sam prezydent zaczęli mówić, że kompromis jest konieczny. Przywódca socjaldemokracji niemieckiej zażądał od USA po wizycie w ZSSR „konstruktywnych kontrproponycji”, czyli kompromisu. Główny doradca delegacji socjaldemokratów niemieckich Egon Bahr w wywiadzie udzielonym w Moskwie nazwał propozycje Andropowa „bezw warunkowo pozytywnymi”. Do ustępstw (giętkości, kompromisu) gotowi są też przedstawiciele rządzącej partii RFN. Nawet Franz-Joseph Strauss oświadczył, że „opcja zero” zaproponowana przez Stany Zjednoczone to „absurd”. Zaczynając pertraktacje zachodnia strona z góry uprzedza, że gotowa jest pójść na ustępstwa. Trudno się dziwić, że agencja TASS nie znalazła niczego „pozytywnego” w wystąpieniu Reagana przed Kongresem i oświadczyła, że „nie wyciągnął wniosków z lekcji”.

Lekcja jest oczywista. W styczniu 1983 minęło dziesięć lat od zakończenia dyplomatycznej rozgrywki między Stanami Zjednoczonymi a Wietnamską Republiką Ludową. Był to wzór pertraktacji, w toku których jedna strona gra w otwarte karty, z góry oświadczając, że gotowa jest do kompromisu, a druga żąda coraz więcej i więcej. Egon Bahr spierał się w swym moskiewskim wywiadzie z niemieckim ministrem obrony, uważającym, że bez amerykańskich rakiet średniego zasięgu RFN staje bezbronna, jeśli utrzymanych zostanie 150 sowieckich SS-20. Wynikałoby z tego, dowodzi Egon Bahr, „że już dziś jesteśmy bezbronni, a tego przecież nikt nie może na serio twierdzić”. Oczywiście, trudno twierdzić, że RFN jest bezbronna. Ale też

trudno zaprzeczyć, że Moskwa stała się ważnym czynnikiem decydującym o wynikach wyborów w Bonn. To pierwsza wygrana w bitwie. Druga to pragnienie kompromisu, którego konieczność uzasadnia się dobrymi zamiarami kolejnych pierwszych sekretarzy. Amerykański film telewizyjny pt. „Trzecia wojna światowa” twierdzi, że wojnę mogą rozpętać „jastrzębie” wśród wojskowych, ale tylko po trupie pierwszego sekretarza: muszą zabić tego największego obrońcę pokoju. W sowieckim filmie pt. „Incident w kwadracie 36-80” wśród Amerykanów nie ma ani jednego przyzwoitego człowieka, sami obłąkani fanatycy gotowi unicestwić kulę ziemską. Jedynie spokojni, opanowani, kulturalni i kochający ludzkość generałowie i admirałowie sowieccy pozwalają światu przeżyć.

Ludzka potrzeba samooszukiwania nie ma granic. W stosunku do Związku Sowieckiego przyjmuje ona surrealistyczne formy. Na międzynarodowym spotkaniu, zorganizowanym w listopadzie ubiegłego roku w pobliżu Bonn rozważano, czy Związek Sowiecki używa więźniów przy budowie gazociągu Syberia - Europa Zachodnia, czy nie używa. Niektórzy obecni na spotkaniu dziennikarze zachodni, zmuszeni w obliczu faktów przyznać, że niewykluczona jest praca niewolnicza przy tej budowie, nie chcąc jednak potępić ustroju, który ją stosuje, znaleźli wyjście. Dowodzili mianowicie, że w Urengoi istnieją specjalne szyby przeznaczone właśnie dla Europy, z których będzie płynął „czysty gaz”, ponieważ do prac przy tych wierceniach więźniów z rozkazu Moskwy nie dopuszczano.

Pierwsze trzy miesiące ery Andropowa pokazały to, co w polityce sowieckich przywódców najważniejsze: wojna trwa. Pierwsze posunięcie to umocnienie tyłów. I demontaż tyłów przeciwnika. Sowieckie gazety, bez końca powtarzające jedno i te same tytuły-hasła, coraz częściej w ostatnich miesiącach używają tytułu „Oczyszczające wiatry rewolucji”. Wiatry te — sądząc po zapewnieniach sowieckich propagandzistów — wieją po całej kuli ziemskiej: w Namibii i Salwadorze, w Jemenie i Angoli, w Etiopii i Nikaragui.

Trwa wojna, zaczęta w 1917 roku. Ważnym jej epizodem była wojna z Niemcami w latach 1941-1945. W trzydziestą rocznicę dojścia Hitlera do władzy prasa sowiecka przedstawia to zdarzenie jako manewr amerykańskich imperialistów, wymierzony przeciw pierwszej na świecie republice socjalistycznej. Głównym zadaniem sowieckiego wywiadowcy Schtirlixa było informowanie Centrali o stosunkach między Himmlerem a Allanem Dullesem. W efekcie, jak pisze stary agent Kominternu, ekspert od spraw niemieckich Ernst Henri: „Rok 1983 nie bardzo się różni od 1933. Ale teraz wszystko dzieje się pod nadzorem NATO i Pentagonu” (*Literaturnaja Gazeta* nr 3, 1983). Wojna trwa. Wynik jej nie ulega wątpliwości. Prawo historii wydało wyrok: kapitalistyczny świat jest skazany. Świat realnego socjalizmu, któremu przyświeca „historyczny optymizm”, musi zwyciężyć.

„Historyczny optymizm” tłumaczy też to, co dowcip sowiecki określa jako sześć paradoksów życia w ZSSR albo innymi słowy sześć cech dojrzałego socjalizmu: Bezrobocia nie ma, ale nikt nie pracuje. Nikt nie pracuje, ale produkcja wzrasta. Produkcja wzrasta, ale w sklepach pustki. W sklepach pustki, ale nikt nie umiera z głodu. Nikt nie umiera z głodu, ale wszyscy są niezadowoleni. Wszyscy są niezadowoleni, ale wszyscy głoszą za.

Adam KRUCZEK

8 lutego 1983

Kronika czeska i słowacka

Dominującym wydarzeniem ubiegłego roku był konflikt między Kościołem katolickim a władzami komunistycznymi. 8 marca Watykańska Kongregacja do Spraw Kleru wydała dekret zabraniający udziału i działalności księży w reżymowej organizacji księży na rzecz pokoju „Pacem in terris”. Zakaz ten był wynikiem wieloletnich protestów czeskich i słowackich katolików przeciw wcześniejszej polityce Watykanu, kierującej się zasadą, że sprawa nominacji biskupów jest celem nadrzędnym w pertraktacjach z rządami komunistycznymi. Wiadomość o dekreście nie ukazała się w prasie oficjalnej, która natomiast rozpętała historyczną kampanię propagandową przeciwko Papieżowi i Watykanowi. Jedyne ukazujące się oficjalnie tygodnik katolicki *Katolické Noviny* opublikował 25 maja list organizacji „Pacem in terris”, zapewniający Papieża o swej lojalności i sugerujący, że idzie o jakieś nieporozumienie. Prymas czeski, 83-letni kardynał Tomašek odpowiedział listem w podziemnym miesięczniku katolickim *Informace o Cirkvi*, pisząc, że nie można zarzucać Watykanowi nieznajomości sytuacji Kościoła w Czechosłowacji, bowiem chodzi tu o inicjatywę samego Papieża, „naszego krakowskiego sąsiada”. Nieugięta postawa czeskiego Prymasa znalazła również wyraz w jego korespondencji z *Katolické Noviny*, ujawnionej na łamach *Informace*, w której Prymas oskarżył redaktora naczelnego Hochmana o kontynuację polityki „Pacem in terris” i podawanie zniekształconych informacji o Kościele w świecie. Listem z 1 listopada kardynał Tomašek odebrał tygodnikowi kościelne *imprimatur* i odwołał kościelnego asystenta pisma. ■ W maju 1982 ukazał się (poza cenzurą) pierwszy numer słowackiego miesięcznika *Náboženstvo a súčnosť* (Religia i Współczesność). Po ukazaniu się 3-go numeru policja przeprowadziła 6 sierpnia rewizję w mieszkaniu Heleny Goudovej pod pretekstem poszukiwania pornografii i szlachetnych kamieni. Skonfiskowano szereg wydawnictw o treści religijnej łącznie z 6 egzemplarzami wymienionego pisma, a 13 sierpnia Goudova została aresztowana. ■ Również w Bratysławie aresztowany został 26-letni František Norajevsky, który w ciągu ostatnich lat, mimo kolejnych odmów, składał podania o przyjęcie do seminarium duchownego, nie chcąc zgodzić się na stawianą — jako warunek przyjęcia — współpracę z bezpieką. 24 stycznia Norajevsky stanął przed sądem oskarżony o rozpowszechnianie nielegalnej literatury religijnej. ■ 24 września 1982 aresztowano w Ostrawie 50-letniego Jaromira Šavrolę,

członka Karty 77. Był on już poprzednio skazany na 2,5 roku więzienia, m.in. za przewożenie książek z Polski. Šavrola jest ciężko chorym inwalidą i jego żona, Dolores, wystosowała szereg listów protestacyjnych do władz czechosłowackich i do kanclerza Austrii Kreisky'ego. ■ Sąd apelacyjny zatwierdził 27 września 1982 wyroki na 4-osobową grupę młodzieżowego „undergroundu” muzycznego z Ivanem Jirousem na czele, który jako „recydysta” (skazany po raz 4-ty) otrzymał najwyższy wyrok 3,5 roku więzienia). Dowodem oskarżenia było 5 numerów wydawanego przez tę grupę pisma *Vokno*, które według prokuratora zachwalało zakazane zespoły muzyczne i propagowało używanie narkotyków. ■ 16 i 17 listopada 1982 Gustav Husak przebywał w Austrii z oficjalną wizytą, mającą na celu odprężenie stosunków między obu krajami i szukanie kredytów dla kulejącej gospodarki. Emigracja czeska urządziła demonstrację na placu św. Stefana i zorganizowała dużą kampanię (listy i ogłoszenia) w prasie austriackiej. Kanclerz Kreisky i prezydent Kirschlager interweniowali w sprawie więzionych w Czechosłowacji. Husak skrócił swoją wizytę i nie zgodził się na udział w konferencji prasowej. ■ Pisarz Pavel Kohout, którego władze pozbawiły 3 lata temu obywatelstwa czeskiego, wykorzystał fakt wizyty Husaka w Austrii i polecał bez wizy do Pragi. Nie wypuszczono go poza teren lotniska, ale udało mu się odbyć półgodzinną rozmowę z córką. ■ Pomimo iż pod naciskiem bezpieki i z powodu wymuszanej emigracji ruch Karty 77 znacznie osłabł w ub. roku, wydano jednak (pod redakcją energicznego filozofa katolickiego Radima Palousa) 38 dokumentów na temat praworządności, sprawozdań sądowych i protestów, wśród których znajdują się dwa dotyczące stanu wojennego w Polsce i drugiej rocznicy powstania „Solidarności”. ■ W ankiecie „Najlepsza książka roku 1982” przeprowadzanej każdego roku przez rozgłośnie czeską RWE, pierwsze miejsce zdobył tom esejów zmarłego w Czechosłowacji w czerwcu 1982 historyka Zdenka Kalisty, „Twarz baroku”. Ten najwybitniejszy, lecz całkowicie zakazany od lat 50-tych historyk czeski skończył swoją ostatnią książkę w roku 1980, będąc już całkowicie niewidomy. Książka, ostatnia z 50-ciu jakie napisał, wydana została przez nowopowstałe w Monachium wydawnictwo „Arkyř”, specjalizujące się w dziełach z zakresu filozofii i kultury.

Alexander TOMSKY

Kronika litewska

JEDENASTA ROCZNICA „KRONIKI KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO NA LITWIE”

Jedenaście lat temu, 19 marca 1972, ukazał się pierwszy numer *Kroniki Kościoła Katolickiego na Litwie*; dokładnie w 10-tą rocznicę tego ważnego wydarzenia w życiu religijnym i narodowym Litwy, 19 marca 1982, ukazał się jej numer 51-szy. Fakt ukazywania się regularnie (5 numerów rocznie) przez okres 11 lat tego pierwszego litewskiego „samizdatu” jest nadzwyczajnym osiągnięciem, tym bardziej niezwykłym, jeśli pomyślimy w jakich warunkach przychodzi tego dokonywać. Już 5 lipca 1972 KGB wszczęło akcję przeciwko *Kronice*, prowadzoną po dziś dzień. Dotychczas 14 osób przypłaciło wieloletnimi wyrokami swoją działalność związaną z wydawaniem i rozpowszechnianiem *Kroniki*. Areszty nie doprowadziły jednak

do zaprzestania publikacji. Znamy nazwiska aresztowanych i skazanych, nie znamy jednak szerokiego grona dzielnych ludzi, którzy zbierają fakty i dane, piszą artykuły, przepisują, powielają i rozpowszechniają egzemplarze *Kroniki*.

Kronika stanowiła przykład i impuls dla rozwoju niezależnego ruchu czasopiśmienniczego w Litwie, gdzie w chwili obecnej ukazuje się co najmniej 14 tytułów, większość z nich kładzie większy nacisk na sprawy narodowe aniżeli religijne.

Cele i założenia programowe *Kroniki* nie zostały przedstawione w żadnym artykule redakcyjnym, można jednak wnioskować o nich na podstawie spraw i tematów poruszanych stale na łamach pisma. Zasadniczy cel jest zarazem skromny i szeroki; określa go sam tytuł publikacji. Prowadząc systematyczną kronikę wydarzeń w życiu Kościoła w Litwie, redaktorzy pisma chcą jednocześnie wpływać na kształtowanie się postaw katolików litewskich, chcą przyczyniać się do poprawy ich położenia, zachęcając do większej jedności i solidarności kler i wierzących, apelując do ich odwagi cywilnej i wzywając do walki o własne prawa, zagwarantowane teoretycznie przepisami ustaw i konstytucji.

Pośród mnogości spraw, którym poświęcano uwagę na przestrzeni wszystkich lat istnienia pisma, kilka wybija się na plan pierwszy i skupia najwięcej uwagi i miejsca.

Kronika stale i uparcie dopominała się o powrót na stolicę biskupie dwóch biskupów, V. Sladkevičiusa i J. Stepanovičiusa, przebywających od ponad 20 lat na wygnaniu w wiejskich parafiach. Jeśli idzie o obsadę wakujących biskupstw, uważano, że lepiej, aby pozostawały nieobsadzone, aniżeli miałyby być zajęte przez posłusznych komunistycznym władzom nominatów.

Przedmiotem ciągłej troski pisma są sprawy seminarium duchownego w Kownie, w którym obowiązuje *numerus clausus*. W latach 1968-72 zmarło 83 księży, podczas gdy wyświęcono tylko 27 nowych. Ponad połowa wszystkich kapłanów w Litwie liczyła w roku 1979 więcej niż 60 lat życia. Władze ingerują w sprawy wewnętrzne seminarium, a KGB żąda usunięcia niewygodnych lub przyjmowania wygodnych dla siebie kandydatów.

Najszerzej traktowane i najobszerniej udokumentowane są dwie dziedziny: prześladowania religii i wierzących uczniów w szkołach litewskich i procesy tzw. dysydentów, szczególnie, choć nie wyłącznie, wierzących. *Kronika* poświęca też sporo miejsca śledzeniu i omawianiu sytuacji katolików w innych republikach ZSSR.

T. K.

Kronika niemiecka

Dostawy towarów rynkowych z NRD do Polski będą w br. większe o ok. 300 mln marek niż w roku ubiegłym. ■ W ambasadzie NRD w Warszawie udekorowano odznaczeniem *Ligi Przyjaźni między Narodami* Tadeusza Derlatkę (*Polskie Radio i TV*) i Daniela Lulińskiego (*Trybuna Ludu*) za „wybitne zasługi na polu rozwijania i pogłębiania stosunków między PRL i RFN”. ■ W 1982 roku *Polski Czerwony Krzyż* otrzymał od różnych organizacji z RFN 4 mln kg leków. Pewien aptekarz z Niemiec

Zachodnich przekazał Polsce w testamencie całą swoją aptekę. ■ Zgodnie z kontraktem podpisanym z zachodniونيemieckim koncernem *Thyssen*, polski *Budimex* będzie przez 8 lat prowadził serwis w irackich rafineriach o wartości 2 mln dolarów rocznie. Prowadzone są rozmowy z koncernami *Krupp* i *Manesmann* w sprawie wspólnej budowy obiektów przemysłowych w Libii i Iraku. ■ Wolfgang Seifert, ekspert d/s wschodnich z Kilonii, w analizie opublikowanej na łamach miesięcznika *Deutschland-Archiv* obliczył, że NRD jest zadłużona w krajach zachodnich na ok. 10-13 mld dolarów — nie licząc zadłużenia w RFN (ok. 3,4 mld marek), wynikającego ze specyficznych form handlu wewnątrz-niemieckiego. ■ Nowym szefem wywiadu zachodniونيemieckiego został 63-letni Eberhard Blum, który od 1947 roku był osobistym sekretarzem gen. Gehlena. Później został szefem personalnym w centrali *BND* w Pullach k/Monachium. ■ Znosi się, że od końca marca br. wznowione zostaną loty na trasie Warszawa-Kolonia-Warszawa. ■ Polska firma *Skórinx* z siedzibą w Düsseldorfie sprzedała w 1982 roku w RFN obuwie za 14 mln marek! ■ Nowy adres *Wysokiego Komisarza ONZ* w RFN: *Der Hohe Flüchtlingskommissar der Vereinten Nationen*: Rheinallee 51, D-53000 Bonn 2. Doradcą prawnym przy *Wysokim Komisarzu* jest dr Gottfried Köfner, który zajmuje się poradnictwem prawnym cudzoziemców, uchodźców i azylantów. ■ We wschodniobierlińskim tygodniku *Horizont* ukazała się następna seria artykułów Eugeniusza Guza (*PAP*) pt. *Polen im Visier der Diversanten (Polska na celowniku dywersantów)*. Karkołomne kłamstwa i zwykłe fałszerstwa Guza odnośnie działalności KSS „*KOR*”, *Solidarności* i przy ocenie korespondencji zachodniونيemieckich dziennikarzy dystansują publicystyczne wyczyny pułkowników z *Żołnierza Wolności*. ■ *Międzynarodowe Towarzystwo Obrony Praw Człowieka (IGFM)* z siedzibą we Frankfurcie n/Menem zawiadomiło o założeniu *Funduszu Aleksandra Brücknera*, który ma służyć niesieniu „pomocy niezależnej nauce i kulturze oraz obronie Praw Człowieka w Polsce”. ■ Przy wyjazdach z Polski do NRD obowiązuje wykupienie 25 marek na osobę dziennie; nie można jednak zakupić jednorazowo mniej niż 150 marek, a maksymalna roczna wymiana nie może przekroczyć sumy 550 marek. Należy przypomnieć, że indywidualne wyjazdy do „bratniej” NRD możliwe są tylko na zaproszenia. Udział w wycieczkach zbiorowych możliwy jest raz na dwa lata. Do NRD wyjechało w ub. roku z *Orbisem* zaledwie 3 tys. osób. ■ *Konsulat PRL* w Kolonii wydał w ub. roku przeszło 100 tys. wiz do Polski. ■ Mirosław Chojceki, wydawca wychodzącego w Paryżu miesięcznika *Kontakt*, był honorowym gościem zachodniobierlińskiej partii *Alternative Liste (AL)*; z Chojcekim przybył z Paryża Dominique Freyer, przedstawiciel lewicowej *PSU*. *AL* grupuje skrajnych lewaków, którzy poprzez wiece organizowane, rzekomo na rzecz *Solidarności*, załatwiają na nich swoje partykularne interesy. ■ Redagowany przez *Grupę Roboczą Solidarności* w Berlinie Zachodnim miesięcznik *Przekazy* informuje, że w domu dla uchodźców przy Winklerstrasse, prowadzonym przez *Niemiecki Czerwony Krzyż*, policja interweniowała w grudniu ub. roku aż trzykrotnie. Zniszczeniu miała ulec część mebli oddana do dyspozycji mieszkańców. Według niepotwierdzonych danych część „prześladowanych politycznie” otrzymała już w *Misji Wojskowej PRL* paszporty konsularne i odbywa regularne podróże do Polski. ■ W 1982 roku przybyło do RFN 29.400 przesiedleńców z Polski. Londyński *Dziennik Polski* nie potrafi po dzień dzisiejszy załatwić dystrybucji swojego pisma poprzez cieszące się wielką frekwencją kioski prasy międzynarodowej, znajdujące się na większych dworcach w RFN. Tysiące przesiedleńców jest skazanych na lekturę *Trybuny Ludu* lub wychodzących w RFN proryżymowych pisemek. ■ *Międzynarodowa Służba Informacyjna* przy ambasadzie USA w Bonn wydała okazałą publikację, poświęconą wydarzeniom w Polsce — *Polen. Licht*

und Dunkelheit (Polska. Światło i zmrok). ■ Paczki prywatnych nadawców z RFN do Polski w 1982 roku: 8,5 mln; 3,5 mln po zniesieniu opłat w okresie 1.11.-31.12.1982. Wysłano o 6,5 mln paczek więcej niż w 1981 roku. Opłaty tranzytowe (NRD) i docelowe (PRL) kosztowały podatnika niemieckiego 90 mln marek; 50 mln więcej od przewidywanej sumy. ■ Na kongresie niemieckiej sekcji organizacji Pax Christi w Osnabrück odbyło się uroczyste pożegnanie dotychczasowego generalnego sekretarza Reinholda Lehmana, który po 13 latach ofiarnej działalności w Pax Christi odszedł do pracy w katolickim wydawnictwie Herder Verlag we Fryburgu. W latach 1981-82 Reinhold Lehmann zorganizował zakrojoną na szeroką skalę pomoc paczkową dla rodzin internowanych. Na kongresie w Osnabrück przemawiał w imieniu świeckich środowisk katolickich i zespołu Tygodnika Powszechnego, Władysław Bartoszewski, zwracając uwagę na wielkie zasługi Pax Christi w Niemczech Zachodnich i jej sekretarza generalnego Lehmana na rzecz pojednania z Polską i pomocy dla ludzi w naszym kraju; Lehmann był inicjatorem i współorganizatorem seminariów oświęcimskich Pax Christi i Znaku, odbytych sześciokrotnie przy poparciu ks. kard. Wojtyły w 1972-1977. ■ W Document Center w zachodniobermberskiej dzielnicy Zehlendorf znajduje się kartoteka personalna 11 milionów kart członkowskich NSDAP, pół miliona dokumentów SA i lista konfidentów Gestapo. Według obliczeń żyje jeszcze ok. 60 % zarejestrowanych w archiwum osób. Od 1952 roku Document Center znajduje się pod kontrolą State Department. Dostęp do dokumentów jest bardzo utrudniony. ■ Książka i Wiedza wydała Heinza Heitzera — NRD. Zarys historyczny. Tł. z niem. E. Janik. Autor sporo uwagi poświęca stosunkom NRD-PRL. ■ Od dwóch lat istnieje w Kolonii organizacja charytatywna Polenhilfe von Mensch zu Mensch (D-5000 Köln 41, Maarweg 31); udostępniła ona kolończykom ponad 5 tys. adresów polskich rodzin, znajdujących się w trudnych warunkach materialnych. Organizacja wysłała ostatnio do Zakładu Dzieci Ociemniałych w Laskach transport specjalnych okularów. ■ Na osobiste zaproszenie b. przewodniczącego frakcji SPD w Bundestagu Herberta Wehnera przebywał w grudniu ub. roku w RFN Andrzej Micewski, znany pisarz i publicysta, doradca Prymasa Polski. Micewski spotkał się z czołową niemieckich socjaldemokratów, niektórymi politykami chadeckimi i odbył rozmowy z przedstawicielami Konferencji Biskupów Niemieckich. Polski działacz katolicki odmówił udzielenia jakichkolwiek informacji na temat odbytych rozmów. ■ Wychodzące w Monachium České Slovo (nr 1/1983) opublikowało całą kolumnę w języku polskim, autorów czeskich i polskich, poświęconą działalności Solidarności. ■ Według oficjalnej statystyki w Berlinie Zachodnim zamieszkuje 7.527 Polaków. ■ W Deutsches Theater w Getyndze rozpoczął już pracę reżyserską Adam Hanuszkiewicz. Wraz ze scenografami Xymeną Zaniewską i Mariuszem Chwedeckim przygotowuje on tam spektakl Wesela Figara Beaumarchais. ■ Frankfurter Allgemeine Zeitung opublikowała fragmenty Dziennika Tadeusza Mazowieckiego, pisanego podczas pobytu w obozie w Jaworzu (Pomorze). Dziennik ogłoszony został w kraju w podziemnym wydawnictwie Krąg. ■ Nr 3-4/1982 kwartalnika Osteuropa Recht jest w całości poświęcony sprawom polskim. Znane czasopismo prawnicze jest redagowane w Instytucie Prawa Wschodniego w Kolonii przez dr Dietricha Frenzke i dr Alexandra Uschakowa. ■ Polski film pt. Listopad 1981 roku we Wrocławiu nagrodzony został podczas Dni Filmu w Bambergu. ■ Na Bazarze Różyczego obuwniczy kurs marki waha się na poziomie 220-240 zł, ale jest przelicznik korzystniejszy: paczuszka proszku do pieczenia kosztująca w RFN 6 fenigów sprzedawana jest za 20 zł. W tej relacji kurs marki sięgnął 330 zł. Trwa pościg marki za dolarem. ■ Stanisław Stępień pisze na Uniwersytecie w Mannheim pracę doktorską na temat historii Polaków

zamieszkałych w powojennych Niemczech. St. Stępień rozsyła anonimową ankietę do osób, które w czasie drugiej wojny światowej zostały deportowane do Niemiec oraz do grupy byłych Displaced Persons. Zawsze uczynna redakcja mannheimskich Ostatnich Wiadomości prosi o nawiązanie kontaktu ze Stanisławem Stępiem: D-68000 Mannheim 1, Neckarpromenade 15/220. ■ Dr Jan A. Szponder zrzekł się prezesury Stowarzyszenia Katolików Polskich w Niemczech, ponieważ jego starania o „uzyskanie aprobacji, współdziałania i czynnego poparcia duszpasterzy polskich na całym terenie RFN nie dały prawie żadnych rezultatów”. Dr Szponder pisze dalej w swoim biuletynie Znak Czasu (nr 11/1982): „Nie jest możliwa sensowna robota laikatu w sytuacji, gdy jest ona negowana przez znakomitą większość księży”. ■ Dokumentację reakcji prasy PRL-owskiej na zmianę rządu w Bonn przynosi naukowe pismo Osteuropa (nr 2/1983), w opracowaniu i tłumaczeniu Doroty Leszczyńskiej i Reinholda Vettera. Dokumentacja została poprzedzona obszernym wstępem. ■ Sąd Wojskowy w Warszawie skazał obywatela RFN Lecha Jana Szamotulskiego na karę 4 lat więzienia. Zarzut: „zbieranie i przekazywanie wywiadom wiadomości dotyczących ważnych dziedzin życia społeczno-politycznego i gospodarczego Polski oraz obywateli PRL, w tym zatrudnionych na terytorium RFN”. Prasa krajowa nie wspominała o kilku istotnych szczegółach: Szamotulski (mgr praw) zajmował kierownicze stanowisko we frankfurckiej filii banku PeKaO i był z-cą prezesa w Zarządzie Klubu Inteligencji Polskiej, który powstał w Düsseldorfie w 1981 roku z inicjatywy ambasady PRL w Kolonii. Szamotulski był powszechnie lubiany i cieszył się dobrą opinią. ■ Nowym ambasadorem RFN w Polsce został Hans Röding, b. ambasador w Brazylii, a ostatnio szef centralnego wydziału w bońskim Auswärtiges Amt. ■ W ramach łączenia rodzin przybył do RFN Bronisław Ostapczuk, b. podsekretarz stanu w Urzędzie Rady Ministrów. Zaraz po wojnie O. był funkcjonariuszem Komisji do Walki z Nadużyciami i UB. Od grudnia 1956 do czerwca 1969 był przewodniczącym WRN we Wrocławiu. Na tym stanowisku wstawił się m.in. wojną podjazdową przeciwko Kurii Biskupiej. Ciekawy w tym kontekście jest fakt jego wystąpienia w Sejmie w grudniu 1965 roku w sprawie głośnego Listu Polskich Biskupów do Episkopatu Niemiec. Studiował prawo na Uniwersytecie Wrocławskim; od 1971 roku tytuł docenta (Nowa Kultura z 5.5.1963: zaraz po wojnie skończył „roczną szkołę prawniczą, która wypuszczała groźnych ludowych. (...) W roku 1950 został zastępcą prokuratora wojewódzkiego na Dolnym Śląsku”. ■ Lech Wałęsa udzielił wywiadu zachodnioniemieckiemu tygodnikowi Bunte: „Cenimy wysoko Niemców szczególnie za to, że wiele nam pomagają. Pomagają nam najwięcej. Proszę powiedzieć swoim rodakom, że my, Polacy, tego nie zapomnimy. Polacy i Niemcy wiedzą dobrze, co znaczy cierpienie. My, Polacy, w swoim cierpieniu teraz stanowimy jednak jeden naród. Wy, Niemcy, jesteście narodem podzielonym i to jest straszne”. W związku z tą wypowiedzią prasa reżymowa rozpętała na nowo gwałtowną kampanię przeciwko Wałęsie. Sam Wałęsa próbował niepotrzebnie dementować swoją wypowiedź. ■ Z okazji 10-lecia powstania proreżymowego Towarzystwa Niemiecko-Polskiego w Kilonii wydana została specjalna broszura, w której znajdziemy m.in. tekst referatu Teresy Pusylewitsch (pracownik naukowy Uniwersytetu w Kilonii). W skrócie wywody p. Pusylewitsch można streścić następująco: Jałta określiła miejsce Polski w Europie; jakiegokolwiek próby podważenia obecnego status quo są skazane na niepowodzenie; ogłoszenie stanu wojennego uratowało Polskę przed katastrofą; gen. Jaruzelski działał w przekonaniu, że tylko Polacy mogą decydować o swoim losie; ma rację polski Kościół, apelując do wszystkich zainteresowanych o zachowanie rozwagi... ■ Minister spraw wewnętrznych RFN Friedrich Zimmermann (CSU) powiedział na zebraniu wysiedleńców w Monachium, że póki

chrześcijańska demokracja jest u władzy, do rokowań ze Wschodem włączane będą także sprawy obejmujące obszary na wschód od Odry i Nysy; Bonn obstałe przy tezie o „prawnym istnieniu Rzeszy Niemieckiej w jej granicach z grudnia 1937 roku”. Tego rodzaju wypowiedzi grożą poważnym uszczupleniem kapitału dobrej woli, który Republika Federalna Niemiec mozolnie uskładała sobie w oczach Polaków w kraju i za granicą, szczególnie w ostatnich latach ogromną, bezinteresowną akcją pomocy materialnej Polsce.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika kulturalna

O Hilarym — próba syntezy

Obrazy Hilarego, wystawiane publicznie, widziałem trzy razy tylko. W warszawskim Arsenale w pięćdziesiątym piątym roku, około dwadzieścia lat później w Galerii Kieslich w Monachium i tego lata w Paryżu, w Galerii Lambert. Ta ostatnia, mini-retrospektywa — choć z pustymi miejscami, bo okres waszyngtoński w ogóle nie został pokazany, monachijski częściowo tylko, a krajowa twórczość malarza jest rozproszona, albo nawet przepadła — była pierwszą wystawą pośmiertną.

Więc może jest pewnym zuchwalstwem z mojej strony pisać o dorobku Hilarego teraz, kiedy — stanowiąc coś zamkniętego — domaga się uogólnienia. Bo wprawdzie między owymi trzema wystawami z jego obrazami stykałem się dość często (właśnie stykałem, w kontaktach tych było coś fizycznego niemal, biologicznego w przeżyciu) u przyjaciół, albo w pracowni, oglądałem je też w reprodukcjach prasowych lub na fotografiach, to jednak przyznaję, nigdy nie doświadczyłem wrażenia obejmowania okiem całości, odwrotnie, kiedy o malarstwie tym myślę, wyłania się ku mnie zawsze, jakby z mroku, fragmentami tylko. I nawet jeśli fragmenty tworzyły wyraźne ciągi tematyczne (pisałem o tym kiedyś), nie przestawały być dla mnie fragmentami dość nieraz od siebie oderwanymi, dla których niełatwo przychodziło mi znaleźć wspólny mianownik, poza w każdym z nich jednak uderzającą nieposkromioną fantazją malarza i siłą koloru jego płócien.

Dawno temu, w okresie przedpaździernikowego Arsenału, kiedy jeszcze w Warszawie mówiliśmy o figuratywności i abstrakcji jako o rodzajach osobnych, wydawało się wielu, że Hilary jest przedstawicielem tego pierwszego. Jakież uproszczenie! Sam napisałem przed laty coś w tym duchu, a poza tym, że jego początki należy umieszczać w ekspresjonizmie. Znowu uproszczenie! Hilary był ekspresjonistą z temperamentu, jego postawa wobec

KSIAŻKA NIEZBĘDNA W KAŻDEJ BIBLIOTECIE PRYWATNEJ I PUBLICZNEJ

Powiadamiam o ukazaniu się źródłowej pracy z dziedziny biografii, genealogii, heraldyki i historii pt.:

„HISTORIA

rodziny Szygowskich, herbu Trzaska — koneksje Szlachty Mazowieckiej od 1439 roku na podstawie relacji sądowych, oblat, zapisów, nadań królewskich, etc. ANNALES Familiae Szygowski de Armis Trzaska Sive Propinquitates Nobilitatis Masoviae in Polonia quas acta iudicialia et tabularia, edicta, etc. ab anno 1439 demonstrant”.

Książka liczy 464 stron druku (8×10 1/2 cali - 10 1/2×27 cm.), zawiera odpisy autentycznych dokumentów w języku łacińskim z tłumaczeniem ich na polski — szkic historyczny w języku polskim i angielskim, oparty o te dokumenty — tablice genealogiczne — indeksy nazwisk (ok. 800) i miejscowości. (Prawdziwy skarbiec nazwisk szlachty mazowieckiej).

Materiały zebrał i opracował Juliusz Szygowski. Książka została wykonana przez Oficynę Poetów i Malarzy w Londynie.

Cena egzemplarza — \$ 32,00 (£ 15.00) wraz z przesyłką pocztową. Do nabycia u:

**Dr. Juliusza Szygowskiego,
139, Custer Avenue, Evanston, IL 60202, USA.**

Także do nabycia u autora: „Tak się zaczynało” — wspomnienia lwowskie (młodość przed 1914 rokiem, Legiony itd.). Str. 240. Cena: \$ 12,00

o r a z

„Powstanie Polskie w roku 1863 i Stany Zjednoczone”, broszura. Cena: \$ 2,00.

natury, wobec świata była postawą ekspresjonisty (i pozostała taką do końca życia), nie był natomiast nigdy ekspresjonistą w „ściśłym”, malarzkim znaczeniu tego słowa, w żadnym z okresów swej twórczości, w żadnej z wypróbowywanych i stosowanych technik. Z kolei niedawno w związku z jego wystawą pośmiertną jedna z recenzentek paryskich napisała, że początków Hilarego należy szukać w unizmie. A to już chyba nie tyle uproszczenie, co błędna ścieżka wyprowadzana z powiązań grupy śląskiej, z którą startował, z założeniami teoretycznymi Strzemińskiego. Tylko że powiązania te miały charakter politycznej manifestacji, sprzeciwu wobec panującego wtedy socrealizmu, niewiele więcej; były poszukiwaniem jak gdyby odtrutki i zapewne zapładniały myślowo, nie sądzę jednak, żeby zaważyły w sposób ważny na jego palecie. Żadna z jego ówczesnych abstrakcji, nawet jeśli tak ją sam traktował i nazywał, abstrakcją w istocie nie była, prędzej zapowiedzią tego widzenia fantastycznego, które po latach obrodziło płótnami na styku z klasycznym Maxem Ernstem. Zresztą prowadząc w ten szczególnie sposób śledztwo, znaleźć można by w jego płótnach z drugiej połowy lat pięćdziesiątych i pierwszej lat sześćdziesiątych także elementy konstruktywizmu, wpływy kolorystów, mocne zachłyśnięcie się późnym kubizmem, wcale nie słabsze Siqueirosem, eksperymenty w kompozycjach neorealizacyjnych i ślady silnego wrażenia, jakie nań wywarło zetknięcie się z ludową sztuką meksykańską... A przecież nie o różne „izmy” chodzi, ani o głośne (dla nas, jeszcze dość wtedy odciętych w Kraju od sztuki światowej) współczesne nazwiska, w rzeczywistości zaś już historyczne — tego rodzaju analiza do niczego chyba nie prowadzi. Tym bardziej, że wpływowi meksykańskiej ludowości przeciwstawić można u Hilarego pochylenie się ku naszej sztuce góralskiej, widoczne nie tylko w seriach „Świątków”, ale i w nawiązaniu do ikonografii bizantyjskiej swoście przetworzonej przez malarzy unickich świątynek w Bieszczadach. Deformacjom zaś rodem jakoby z późnego Picassa — „ruskie baby” à la zabawki dziecięce czy papierowe wycinanki, serie stylizowanych aktów w rodzaju Venus z Willendorfu, fetyszów zmysłowej radości, skondensowanego erotyzmu, tajemnicy nigdy nie zaspokojonego pożądania. A przy tym zapominać nie należy nigdy nie wygasającego wątku sakralnego, który nie rozwijał się równolegle, ale był wtopiony w każdy z tematycznych „ciągów”, bo znaleźć go można nie tylko tam, gdzie dosłownie rzuca się w oczy — w „Madonnach” i „Chrystusach”, ale zarówno w niektórych aktach (rozpiętych jak na krzyżu), w „babach” czy w fantastyce księżycowych pejzaży (zakomponowanych nieraz w układzie krzyża, a nadto w formie witrażowej), jak i w poszczególnych elementach tych pejzaży, chociażby papierowych latawcach, kojarzących się często tak z utraconym rajem dzieciństwa, jak i z aniołami.

Myślę, patrząc teraz na całość (a swoje wrażenia z wystawy paryskiej podparłem dodatkowo obejrzeniem kilkudziesięciu płócien z braku miejsca nie wystawionych i setki przynajmniej dia-

pozytywów z reprodukcjami obrazów nie do obejrzenia w oryginale, bo rozproszonych lub sprzedanych), że dostrzec można bez trudu, jak jego malarstwo ukazuje konsekwentną linię rozwojową, niezależnie od stosowanych technik, często krańcowych — dla przykładu chociażby: pop-artowych (zresztą przed pop-artem) w początku lat sześćdziesiątych, gładkich zaś, szerokich powierzchni w fantastycznych pejzażach, jakby ze starych Włochów, tylko o wiele drapieżniejszych w kolorze, z lat siedemdziesiątych. Tę konsekwencję widzę w powolnym (od początku lat sześćdziesiątych) budowaniu własnego świata z wyobraźni, który doprowadza go w pobliże nadrealistów. A świat ten tworzy swoisty, zamknięty układ kosmogoniczny, w którym nawarstwiają się elementy od minerałów, ożywionych form pierwotnych, jak fosylie, skorupiaki, muszle, odcisnięte w minerałach rośliny, praważki i prazwierzęta, symbole płodności natury, dalej korzenie i rośliny, do umownie potraktowanego człowieka, do pejzaży księżycowych wreszcie, z których człowiek odszedł i została po nim jakieś dziwne, skomplikowane przedmioty jedynie, gdzie jeszcze w powietrzu krąży latawiec-anioł, inny zaś, już upadły, leży na ziemi, a w górze, lub w tle, wśród mgławicochmur unosi się nieodmiennie tajemnicze ale zwycięskie słońce, początek nowego biologicznego stworzenia. Mit stworzenia i wędrówki świata ku śmierci, która jest znowu początkiem. Wirująca mgławica, z której wszystko się wyłania i w której wszystko na powrót ginie, aby znowu kiedyś się odrodzić. Astrobiologiczny skrót widziany oczami wyobraźni w tej jednej szczególnej chwili na granicy jawy jeszcze i już snu, kiedy zacierają się realne granice i ostre kontury między przedmiotami a czasem. Kiedy wkroczenie na pomost między jawą i snem pozwala widzieć rzeczywistość wewnętrzną i zewnętrzną jednocześnie, poznanie fizyczne miesza się z rozumowym, między światem materialnym i duchowym dokonuje się fuzja, a świadomość eksploduje „prawy wspomnieniami” zakodowanymi w genach i pozwala je przetwarzać w nowe układy przestrzenne i układy rzeczy. Układy, z których artysta buduje symbole narodzin, ruchu, wzrostu, zmiany, rozpadu, zniszczenia, nowych narodzin. Pogodzony z immanentnym okrucieństwem natury, determinizmem jej biologicznego cyklu, stale jednak zadający sobie pytanie o sens tego wszystkiego, usiłujący zajrzeć poza granicę, która oddziela światło od otchłani ciemności, popychany nieustającym metafizycznym niepokojem i świeżą, jakby dziecięcą ciekawością o to, co po drugiej, zasłoniętej dla oka stronie.

Można by jeszcze zwrócić uwagę na jego techniki mieszane: obok nieraz z naturalistyczną precyzją potraktowanej fantastycznej roślinności widzimy metodą pozorowanego kolażu wykonane chmury, czy niektóre przedmioty, choć nie w postaci przyklejonych szmatek albo papieru, ale namalowanych. Można by iść dalej i mówić też o odrębności technik w różnych okresach tak znacznej, że wydawało się to już niemal innym malarstwem — w ostatnich latach życia natura w jego obrazach, chmury, słońca,

nawet człowiek, powstawały z namalowanego zmiętego papieru. Gdyby jednak próbować wyliczyć stałe elementy, które nieodmiennie znajdujemy w każdym z okresów, ułożyłaby się z nich długa lista: fauna i flora rozmieszczane w niepokojących przestrzeniach, zafascynowanie drzewem, a szczególnie korzeniami, podniesionymi jak gdyby do rangi bóstwa, jak również do rangi bóstwa podniesione słońca, które czasem są tylko kołem, lub kulą, różne symbole religijne, a wreszcie przenikający wszystko erotyzm, od figuralnych symboli płodności poprzez rozbuchaną, wybujałą biologię samej fantastycznej natury do erotyzmu ukrytego w abstraktach, ni to zbitkach zmiętego papieru, ni to chmurach. Elementy te wzbogacają się wciąż o nowe warianty, z upływającymi latami inaczej są traktowane, świadczą, że ewolucja techniki, przeróżne eksperymenty z materiałem to jedno, a świat wyobraźni malarza to drugie, i ten świat zdawał się być ukształtowany już w końcu lat pięćdziesiątych, poszerzany zaś był tylko później o dodatkowe znaki zapytania. Myślę, że ten świat jawił mu się jako coś niepokojącego, tajemniczego, nieraz nawet groźnego, na pewno zaś pełnego nieokiełznanых namiętności, ukrytych znaczeń i niedomówień. Jako świat smutny, ponieważ nie do ogarnięcia, ale — tu refleksja w zestawieniu z innym malarstwem, oglądanym w tym samym czasie w Paryżu, obrazami Janka Lebensteina — nigdy nie, jak u tamtego, okrutny. Hilary był naturą głęboko refleksyjną, lecz niech nikogo nie mylą tak częste u niego symbole zagłady i śmierci, w gruncie rzeczy płótna jego są pełną namiętności afirmacją życia i tolerancji świata, jakim jest.

Wiele pisano, zwłaszcza po śmierci artysty, o klimacie koszmarów nocnych w jego malarstwie, o pesymizmie, o nostalgii. Z nostalgią zgoda. Na koszmary i pesymizm — nie. Chyba, że słowo „koszmar” traktujemy zamiennie ze słowem „widzenie senne”. Zdaje mi się jednak, że nikt poza Józefem Czapskim nie zwrócił uwagi na humor wielu płócien Hilarego. A przecież wystarczy obejrzyć ostatnie martwe natury, zwłaszcza zaś cykl zaskakujących swą trafnością uogólnień, wymyślonych portretów „Milionerek z Palm Beach”, żeby uświadomić sobie, z jaką siłą i ten element przewijał się przez jego twórczość. Humor liryczny, humor pobłażliwy, humor nieraz gryzący, ale zawsze humor — a więc otwartość wobec życia, nie pesymizm. Nihilizm i bluźniercze formy sztuki były mu obce, nigdy też nie wierzył w śmierć Boga. W chaosie szukał harmonii, w swym głodzie absolutu był blisko metafizyki chrześcijańskiej. Ale równocześnie w swym zgrzytliwym traktowaniu koloru, w swych „wstrząsach” wzrokowych, jak zauważał Józef Czapski, był także krytykiem wielu aspektów współczesnej cywilizacji.

Włodzimierz ODOJEWSKI

Magdalena Abakanowicz

Piszą o niej z najwyższą rewerencją. *International Herald Tribune*, omawiając pokaz jej prac na Weneckim Biennale w 1980 roku, zalicza ją do najwybitniejszych współczesnych rzeźbiarzy. Po tryumfach europejskich (niemal wszystkie kraje Europy zachodniej i środkowej) po Brazylii i Australii, nadszedł czas, kiedy Stany Zjednoczone będą się mogły zapoznać ze sztuką Magdaleny Abakanowicz.

Wystawa objazdowa, która w dalszych etapach odwiedzi Montreal, Portland, Dallas i Los Angeles, a jeszcze potem wyruszy do Japonii, zaczęła się w Chicago. Wielka, z dwóch części składająca się retrospektywa prac polskiej artystki, wykonanych w ciągu ubiegłych dwudziestu lat, została otwarta 6 listopada w Muzeum Sztuki Współczesnej (Museum of Contemporary Art) i równocześnie w gmachu Biblioteki Publicznej (Chicago Public Library Cultural Center) i trwała do 2 stycznia 1983 roku. Rozplanowanie przestrzeni i rozmieszczenie eksponatów odbyło się pod osobistym nadzorem artystki, bo tylko wówczas może ona osiągnąć kompozycję całości — *total environment*, jak to się tu nazywa.

Frekwencja w ciągu tych dwóch miesięcy pobiła wszelkie rekordy, podobnie jak subwencja, którą na urządzenie wystawy wyasygnował rząd amerykański za pośrednictwem organizacji „The National Endowment for the Arts” przewyższyła znacznie przyznawane w takich wypadkach kwoty. (Jednym z patronów wystawy był również „Illinois Arts Council”). — Specjalny autobus kursował co godzinę między jednym gmachem a drugim, z latarni na Michigan avenue zwieszały się proporce z nazwiskiem artystki. Prasa i radio poświęciły jej mnóstwo recenzji, odbywały się odczyty na temat jej twórczości i także jej własne, na terenie wystawy pokazywano cały czas wywiad z Magdaleną Abakanowicz nagrany na taśmę magnetowidową. Wydano także piękny, bogato ilustrowany album z obszernym tekstem i bibliografią.

Nie znajduję właściwego określenia dla sztuki Magdaleny Abakanowicz. Nie jest to ani tkanina, ani rzeźba w ścisłym tego słowa znaczeniu, a jednocześnie jest i jedną i drugą, wywodząc się właśnie z tych dwóch dyscyplin. Przy tym to, co tkane z naturalnego, nieprzetworzonego surowca, z włókien kokosu i konopi, sznura i liny — ma swoistą, różnorodną fakturę, nawarstwioną supłami i splotami jak kłace czy korzenie drzewa. Kolor tkanin, na pozór jednolicie czarny, ma przecież całą gamę odcieni. Wystarczy odrobina czerwieni lub brązu, żeby zaczęła wibrować.

Około 30 monumentalnych przestrzennych konstrukcji zwanych od jej nazwiska Abakanami wypełnia ogromną salę Chicagowskiej Biblioteki Publicznej. Plafon kopuły został obniżony i sieć metalowych przewodów tak na nim rozpięta, żeby eksponaty mogły się z nich zwieszać nie dotykając podłogi. Kilka-naście z nich, jeden przy drugim, w dwóch rzędach, tworzy czarny las rytmicznych powtarzających się form. Przechodząc przez szpaler tych jakby wydrążonych miękkich pni obcuje się z tajemnicą.

Są formy okrągłe jak rozpięte namioty, jest płomiennie czerwona tarcza z wystającym dziobem — jak wyrwyjący się z niej krzyk. I inna, leżąca płasko na podłodze, w której otwarte wargi spływa zawieszony u góry czerwony sznur. Dziwne hieratyczne szaty o ludzkich konturach pełnią straż w przeciwnym kącie sali jak para legendarnych olbrzymów.

EMBRIOLOGIA i **ALTERACJE** wypełniają dwa piętra sal wystawowych Muzeum Sztuki Współczesnej. Więc najpierw o *embriologii*. Są to okrągłe formy z miękkiej materii — w sumie około ośmiuset. Wypchane wory — wielkie, średnie i całkiem małe — spiętrzone, zbite w gromadę, rozrzucone, wreszcie rozsypane. Górskie głązy? A może niegdyś żyjące stwory z wygasłej epoki? Kokony o tajemniczym wnętrzu czy jaja z załączkiem życia?

Alteracje — to studium człowieka. Zamyślenie nad jego losem, jego miejscem w świecie. — Białe ściany, szara podłoga. Na tej podłodze siedzi w pięciu szeregach osiemdziesiąt ludzkich torsów, odwróconych do nas plecami. Z daleka wyglądają jakby ulepiani z gliny. Są to jednak odlewy z gipsu, modelowane nasączoną klejem jutą. Bezimienny ludzki tłum, bez twarzy, bo bez głów. Gdy zejść ich od przodu — są jak puste skorupy, wyschłe muszle, z których wypłynęło życie. Na co patrzymy? Obóz internowanych, obóz przymusowej pracy? Kim są ci ludzie, zapomnieni, skazani, przygarbieni od dźwigania własnego losu? W sali panuje cisza. Nikt nie śmie głośno mówić w obliczu ludzkiej niedoli.

Zaden z wystawionych tu na innym miejscu obiektów pokazany pojedynczo nie zadziałałby na widza sam przez się — intensywność uzyskuje się przez powtórzenie. Dwanaście kłód drzewa, obłupanych siekierą, która obnaża ich wnętrza aż do kości. Jak Magda to robi, że te drzewa stają się ludzkie, że bolą zadawane im ciosy, a ich okaleczenie nas okalecza?

Na podłodze stoi szesnaście głów ponadnaturalnej wielkości, obciążonych jutowym płótnem. Jedne są nienaruszone, równo i gładko zeszyte, inne zranione, nadpęknięte, ukazujące coraz to więcej rozdartych wnętrza — aż do momentu, kiedy z rozłupanej czaszki wyłania się bezładna płatanina lin, sznura i włókna, na których widok ogarnia groza.

Osiemnaście postaci bez głów siedzi rzędem pod ścianą na stołkach z żelaznych prętów. Kolana lekko rozsunięte, stopy nie

dotykają ziemi. Modelacja ta sama co „pleców” — szare workowe płótno na gipsowym podłożu, zdjętym z modela. I znów: kim są ci tak cierpliwie czekający na wyrok, czy na życie które przechodzi obok, tak jak my w tej chwili?

Są jeszcze na tej wystawie *Pejzaże*, i te wiszą na ścianie. Z daleka wyglądają jak płaskorzeźby z drzewa lub odlewy z brązu. Są to jednak pejzaże ludzkiego ciała, modelowane jak poprzednio opisane figury z workowej juty. Są także eliptyczne formy — w przeciwieństwie do *embriologii* twarde, zbudowane z pęków gałęzi brzoźowych mocno obciążonych drutem. Środek innej sali wypełnia gigantyczna drewniana szpula, z której rozwija się na całą długość sali szorstka czarna lina. Duże węglowe rysunki należą do cyklu *studium ciała* i nie mają oddzielnych tytułów.

W sumie retrospektywa Magdaleny Abakanowicz jest osiągnięciem artystycznym niezwyklej wagi, imponującym odwagą, pomysłowością i siłą wyrazu. Przyglądam się ludziom opuszczającym gmach muzeum i widzę w ich twarzach ślad intensywnego przeżycia. Chyba o to właśnie chodziło najbardziej artystce, a jeśli tak, osiągnęła triumf swojej sztuki.

Felicja KRANCOWA

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en l'Île — 75004 Paris

Métro: Pont Marie.

Tél.: 326-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE • KSIAŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI • PRZEKŁADY Z JEZYKA
POLSKIEGO NA FRANCUSKI.

Katalogi bezpłatne wysyłamy na każde żądanie.

LESŁAW JUREWICZ

ZBRODNIA CZY POCZĄTEK WOJNY DOMOWEJ

Głównym tematem książki jest próba odpowiedzi na pytanie, czy rozstrzelanie 26 żołnierzy PPR-owskiej Gwardii Ludowej przez oddział Narodowych Sił Zbrojnych w dniu 5 sierpnia 1943 roku było zbrodnią, czy początkiem obronnej wojny domowej z komunizmem w Polsce.

Walka prowadzona była na płaszczyźnie politycznej (jawnej i podziemnej) oraz zbrojnej. W latach 1944-1956 wzięło w niej udział ponad trzy miliony patriotów. Ponad milion aresztowano. Około miliona wysiedlono.

Po stronie zwącej się ludową padło ponad 22.000 ludzi. Patriotci stracili około 8.000 w zabitych.

PZPR-owska wojskowa dyktatura w kraju musi zrozumieć, że:

1. Pomimo ogromnej przewagi w ludziach, uzbrojeniu i sprzęcie PPR i interwencja sowiecka wojny z Podziemiem nie wygrały.
2. Odmowa kompromisu doprowadzi do wybuchu rozpacz w postaci nowego Podziemia i podjęcia zawieszzonej walki zbrojnej.

ZBRODNIA CZY POCZĄTEK WOJNY DOMOWEJ

jest do nabycia u autora pod adresem:

528 West 111-th Street, New York, N.Y. 10025, USA.

Cena egzemplarza wraz z przesyłką — 12 dolarów.

Książka zawiera bogatą dokumentację i oryginalne mapy Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego z lat 1947 oraz 1948.

Ci, co odeszli

Grażyna Kuroń

Grażyna Kuroń umarła 23 listopada w Łodzi, w klinice doktora Marka Edelmana, w pięć miesięcy po wyjściu z obozu internowanych kobiet w DarłóWKu. Jej mąż Jacek był przy niej, wypuszczony z więzienia na Rakowieckiej z przepustką na parę dni — władze zechciały być wspaniałomyślne. Obecny był też ich jedyny syn Maciek, zwolniony z internowania.

Dla nas, tych wszystkich którzy Grażynę osobiście znali, jej śmierć jest wstrząsająca i niezrozumiała, trudna do przyjęcia. Być żoną Jacka Kuronia znaczyło żyć w szamotaninie działań i policyjnych represji, z godziny na godzinę, w zupełnej niepewności jutra; znaczyło budować życie osobiste w sytuacji, gdzie na życie osobiste nie mogło być czasu, ani miejsca. A jednak obecność Grażyny czyniła z tej nienaturalnej egzystencji życie niezachwianie normalne. Bo Grażyna nie przyjęła nigdy roli męczennicy, ofiary systemu, zawodowej dysydentki lub zawodowej „matki Polki”. Była uparcie, nieustępliwie normalna.

Jest ohydne, że i ją umęczono, że padła w końcu ofiarą wojny reżymu z narodem. Poryw złości na sprawców wzmaga impuls mówienia o Grażynie, by przekazać choć trochę z własnych wspomnień o niej do pamięci zbiorowej. Jednocześnie jej los zastawia pułapki na wyobraźnię. Bo łatwo ją teraz wnieść na ołtarze męczeństwa, kanonizować i odrealnić.

Była smukłą, długonoga i ładna, inteligentna, zdolna i mądra. Często się uśmiechała, rzadko śmiała się głośno. Umiiała słuchać, wpatrując się w mówiących dużymi, niebieskimi, szeroko rozwartymi oczami. Kiedy ją poznałem jedenaście lat temu, jej mąż wyszedł właśnie z więzienia po odsiedzeniu drugiego już wyroku. Gajka była już doświadczoną żoną Jacka Kuronia, swój los dobrze już rozpoznała. Dziesięć lat wcześniej z małym Maciem w pieluchach rozpoczynała obiecującą karierę naukową jako asystent na Uniwersytecie Warszawskim. Nie minął rok i wyrzucono ją z posady, bo rozpoczynała się właśnie pierwsza

sprawa Kuronia. Przyjęła pracę w poradni zdrowia psychicznego na Grochowie, na przeciwległym krańcu miasta. Stała się, już na stałe, żywicielem rodziny, bo Jacek na Uniwersytet miał nie wrócić i w okresach wolności pracy zarobkowej nie znajdował. Grażyna była świetnym psychologiem dziecięcym i mimo szukanosza w swej poradni do stanowiska wicedyrektora.

Tak się składało, że w domu Kuroniów bywałem wtedy, kiedy był tam Jacek. Nie widziałem tam nigdy Grażyny samej. Wiem, że ten dom pozostawał otwarty, kiedy Jacek siedział w więzieniu. Lecz kiedy mąż Grażyny — człowiek-burza — wychodził na wolność, mieszkanie Kuroniów stawało się okiem cyklonu. Nie było w Polsce drugiego miejsca równie inwigilowanego przez policję, stale obserwowanego i podsłuchiwanego, z wieczną perspektywą rewizji i aresztu. I właśnie to mieszkanie na Żoliborzu, ten parter na Krasińskiego, przy placu Komuny Paryskiej, był oazą normalności, miejscem gdzie ludzie się czuli bezpiecznie i dobrze. Policja wysłuchiwała nie tylko rozmów politycznych, zebrani KOR'u, wykładów i dyskusji „Latającego Uniwersytetu”, ale i różnych plotek, roztrząsania praktycznych problemów, żalów i osobistych zwierzeń.

Dla rozrastającego się w latach siedemdziesiątych środowiska „opozycji” dom Kuroniów był magnesem o sile przyciągania niekoniecznie politycznej. Wiadomo było, że w tym domu znajduje się zawsze kąt dla czasowo bezdomnego, zrozumienie i pociecha dla skrzywdzonego kochanka, mądra rada dla stojącego na rozdrożu dróg życiowych. Znany jest niepomamowanie aktywny temperament i umysł Jacka Kuronia; mniej są znane pokłady zwykłej ludzkiej dobroci i uczynności, jakie w nim istnieją. Niemniej postacią ważniejszą w tej poza-politycznej działalności Kuroniów była niewątpliwie Grażyna. Mimo pracy zawodowej, obowiązków gospodyni szeroko otwartego domu, towarzyszenia Jackowi w jego poczynaniach, Grażyna znajdowała czas dla każdego, kto kontaktu z nią potrzebował. Znała wszystkich ludzi środowiska „opozycji”, żyła jego życiem, ale nie tonęła w nim z głową. Nie stawała się zależna, jak niektórzy, od specyficznie intymnej atmosfery środowiska, w której ludzie współżyją psychicznie obnażeni. Autorytet Grażyny w jakimś stopniu wynikał z tego, że chociaż łatwo wchodziła w osobisty kontakt, choć wydzielala ciepło, zachowywała zawsze w stosunku do otoczenia pewien dystans, naturalną trzeźwość reakcji, broniła swojej autonomii.

Nie była wcale echem swojego męża, anonimową żoną czołowego działacza. Nie miała własnych ambicji publicznego działania. W jej sytuacji życiowej nie było na to miejsca. Ale kto ją znał, znał trzeźwą niezależność jej spojrzenia, nawet na poczynania Jacka. A w chwilach ciężkiej próby, kiedy mąż i jego towarzysze szli pod klucz, Grażyna przejmowała odpowiedzialność za ich sprawę i wiedziała, co należy robić. Kiedy w maju 1977 roku grupa członków KOR'u z Jackiem Kuroniem została aresztowana w drodze do Krakowa na demonstrację w sprawie Pyja-

sa — młodego działacza opozycji, według wszelkich poszlak zamordowanego przez policję — nie kto inny tylko Grażyna kontynuowała normalną działalność informacyjną KOR'u, wydawała komunikaty i oświadczenia. A kiedy w sierpniu 1980 roku Jacek i inni korowcy znów poszli do aresztu, Grażyna rozumiała, gdzie się zadecydują ich losy i losy Kraju. Przekradła się do Gdańska. Kończąc fazę strajku oglądała w stoczni Lenina na własne oczy.

Była jednak przede wszystkim żoną i partnerką Jacka Kuronia. To było jej szczęście i jej klęska. Głównie klęska, powiedzą niektórzy, ci co widzą życie Grażyny jako próbę wicia gniazda na czynnym wulkanie, próbę uchwycenia równowagi w wirującym leju działalności napędzanym przez Jacka. Raczej szczęście, myślę ja, bo sobie wyobrażam, że Grażyna i Jacek znakomicie się dobrali. Ich miłość normowała szaleństwo, oswajała niepokoję, lecz niepokojami się też żywiła. Stopień zagrożenia, wieczna groźba rozłąki przetapiały się w intensywność ich związku. Byli sobie niezbędni.

Bolesław SULIK

Pierwsza pozycja w nowej serii „POLONII”:
NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Tadeusz Żenczykowski
DRAMATYCZNY ROK 1945
Szkice Historyczne

Do nabycia w księgarniach polskich lub bezpośrednio
u wydawcy:

Polonia Book Fund Ltd.,
8 Queen Anne's Gardens, Chiswick, London, W4 1TU
Cena £ 5.50 (lub równowartość) plus przesyłka

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 363 — STEFAN KISIELEWSKI

PODRÓŻ W CZASIE

Powieść o współczesnej Polsce. Wątek kryminalny
na tle działalności UB

Str. 136.

F. 40,00.



TOM 365 — JÓZEF KUŚMIEREK

STAN POLSKI

Ocena sytuacji Polski przez wybitnego
i kontrowersyjnego publicystę

Str. 80.

F. 30,00.



TOM 366 — GRAŻYNA POMIAN

POLSKA "SOLIDARNOŚCI"

Lata 1980-1981 w Polsce w oczach prasy krajowej

Str. 464.

F. 120,00.



TOM 368 — SŁAWOMIR MROZEK

VATZLAV AMBASADOR

Dwie sztuki sceniczne znanego dramaturga
i pisarza

Str. 128.

F. 40,00.

Polemiki

Listy do Redaktora "Kultury"

Polska, styczeń 1983.

Przeczytałem interesujące wywody p. Herlinga-Grudzińskiego na temat ostatnich wydarzeń w Polsce i na świecie z dziwnymi można by rzec uczuciami. Z jednej strony to dobrze, że pasje i rozterki gnębiące nas, żyjących w uciemiężonym kraju, znajdują odbicie w emigracyjnej literaturze czy publicystyce, z drugiej jednak, skoro możliwości pisania są tak bardzo ograniczone (oczywiście myślę o nas w kraju), każdy sąd opublikowany za granicą (zwłaszcza taki, który ma szanse rozpowszechnienia w kraju, to zaś dotyczy „Dzienników” Herlinga-Grudzińskiego, czytanych w Radio Wolna Europa), winien liczyć się z konsekwencjami i z tym, że może on zaważyć na nastrojach, które przecież nie są obojętne dla przyszłości. Wiadomo, że nie jeden tylko Herling-Grudziński negatywnie ocenia postawę Prymasa w jego negocjacjach z Jaruzelskim. Nawet wśród znajomych księży słyszałem głosy potępiające jego ugodowość lub nawet stawiające mu zarzut braku politycznego rozeznania, kiedy swoje zdanie (przez wielu zupełnie pozbawiane prywatności i utożsamiane z opinią Kościoła, którego mądrości czy pozytywnych związków z narodowymi tradycjami nikt po naszej stronie barykady nie odważa się w tej chwili kwestionować) przeciwstawiał autorytetowi Solidarności, nawołującej do podjęcia walki, czy spontanicznym zrywom zdesperowanych ludzi, do białości rozpalonych gniewem i oburzeniem kierowanym przeciwko WRON-ie, ZOMO, SB, milicji, partii i innym przybudówkom, czy może raczej filarom naszej

rzeczywistości. Należy jednak zdawać sobie sprawę, że są to opinie kursujące w niewielkim raczej kręgu osób i poza środowisko takie czy inne (najczęściej inteligencje) nie wychodzące.

Któż zresztą zdoła dzisiaj orzec i dać dostatecznie prawidłową ocenę skutków, które wywołały chociażby ostatnie nawoływania do spokoju przed 10 listopada? Że krew się mogła polać, a nie polała, że Wałęsa już nie jest w Bieszczadach? Są to z pewnością skutki pozytywne, choć dwuznaczne, wszyscy bowiem zdajemy sobie sprawę z tego, że apel Prymasa właśnie w tym momencie można odczytywać jako przeciwstawienie autorytetu Kościoła autorytetowi Solidarności. Po nieudanym strajku listopadowym nikt nie jest dzisiaj w stanie przewidzieć, czy na następne wezwanie TTK, nawet gdyby sygnował je sam Wałęsa, a Episkopat z góry zapowiadał niepodjęcie działań mediacyjnych, ludzie odpowiedzą strajkiem lub manifestacją? Czy wolno nam wobec tego stawiać publicznie pytanie, co jest więcej warte, równające się rezygnacji uspokojenie wywalczone z udziałem Prymasa, czy autorytet podziemnej Solidarności próbującej w słusznej intencji obronienia przynajmniej części sierpniowych zdobywczy zorganizować szerszą akcję, zaznaczyć swe istnienie, pokazać władzom, że jeszcze nie są górą, że tak łatwo nie da się nas złamać i że przyjdzie im może zapłacić za zbrodnie? Czy wolno stawiać takie pytanie? Albo raczej: czy takie pytanie ma w ogóle sens? Przyznam, że nie jestem w stanie na żadne z nich dać odpowiedzi nawet mnie samego zadowalającej.

Jakże chciałoby się zobaczyć oprawców na szubienicy! Człowiek w tej dziwacznej wojnie staje się lepszy i gorszy zarazem. Łzy same cisną się do oczu na każdą nową wieść o aresztowaniach, masakrowaniu bliskich i znajomych — zresztą to już nawet nie ma znaczenia, bliscy stają się nam wszyscy bici i maltretowani. Nie żał czasu strawionego w poczekalniach kolegów podczas akcji wykupywania skazanych, nie żał pieniędzy wyrzucanych w błoto, czyli na grzywny, bez wahania oddajemy kartki rodzinom zwolnionych z pracy, internowanych lub skazanych, opodatkowujemy się dobrowolnie, byle tylko nasz fundusz był w każdej chwili do dyspozycji, byle tylko można było zawsze znaleźć pieniądze na zapłacenie grzywny, na opłacenie obrony, na pomoc dla potrzebujących. Gromadzimy dokumentację zbrodni, czasem wypadnie przepisać matrycę gazetki, przekazać ulotki, pisma, książki. Zbieramy się na potajemnych zebraniach, dyskutujemy. Takie jest to nasze wojenne życie. Robimy to, na co nas stać, nie zastanawiając się, czy to mało, czy wiele. Jeśli dodać do tego godziny bezsilnej wściekłości, wypełnić można całe życie, a jeszcze jest praca, dom, zakupy, choroby, takie zwy-

czajne, codzienne sprawy, których nawet w wirze wielkich wydarzeń nie da się uniknąć.

Patrząc na efekty tego szamotania i wysiłków nieraz ręce opadają, tak są nikłe, zaś nasze działania czasem wręcz niepotrzebne i szkodliwe. Wykupionego w kolegium Jacka w kilka dni później milicja zwinęła podczas rewizji u znajomych. Miał przy sobie ulotki, nawet niewiele, nie pomogły jednak tłumaczenia, że znalazł je na ulicy. Czeką go proces, wyrok (zapewne około trzech lat), wyrzucenie ze studiów, a gdybyśmy go nie wykupili (matki nie byłoby stać na to), odsiedziałby swoje trzy miesiące i nigdy nie miałby w ręku tamtych ulotek. Można oczywiście twierdzić, że to skrajny przypadek, że gdyby nie Jacek, to wpadłby ktoś inny. To prawda. SB tak nasiliła swoje działania, że zaczynamy w piętkę gonić, ograniczając coraz bardziej krąg ludzi, którym ufa się bez reszty, w każdej sprawie. Zupełnie spontanicznie budzić się w nas zaczyna duch konspiracyjny, o wielu sprawach nie mówimy poza gronem zainteresowanych, czy raczej poza zainteresowanym, bez świadków. Przestaje nas już śmieszyć pan (bardzo zresztą mądry i rozsądny), w czasie rozmowy przykrywający telefon poduszką. Pewnie niedługo my również zaczniemy korzystać z poduszkowej asekuracji. Wracając jednak do sprawy Jacka: jeśli nie on, to może jednak nikt inny? Jeszcze jedno pytanie bez odpowiedzi. K. opowiadał, że podczas przesłuchania po wpadce drukarni (on był czysty, więc wszystkiego mógł się wypierać i w końcu dali mu spokój) pokazywali mu zdjęcia świadczące o tym, że nawet on, mało znacząca płotka, był śledzony przez przeszło trzy miesiące dzień po dniu. Opłaciło się esbekom. Pewnie po jakiejś takiej mało ważnej nitce doszli do kłębka i zdołali wziąć znaczną część góry w dwóch podejściach.

Znowu cisną się pytania: jak długo jeszcze ludzie zdolni są wytrwać w działaniu? czy nie czas kończyć tę nierówną walkę z wiatrakami? do czego właściwie chcemy doprowadzić, przecież coraz jaśniej zdajemy sobie sprawę z tego, że sierpień nie może się powtórzyć. Oni są silni, my coraz słabsi, a może raczej coraz bardziej samotni w naszych działaniach, które powoli stają się zupełnie anonimowe. Nie wiadomo skąd przychodzą polecenia (zresztą mało jest takich, którzy pytają). Wypełniamy je, kontaktujemy się z kim należy, przekazujemy informacje nie wiedząc, czy nie naciągamy zerwanego już ogniwa, czy to co robimy jest jeszcze uczestnictwem w sprawie, czy już w prowokacji.

Łatwiejsze są działania podwórkowe. Tu znają się wszyscy. Pogrudniowe miesiące sprzyjały nawiązaniu nici sympatii, nawet więcej, rodzinnej wprost solidarności pomiędzy ludźmi dotychczas zupełnie sobie obcymi. Nastąpiło przy tym pełne ujednolicenie

nikt się jednak nie przyzna — nawet najbardziej zaprzęgniętym — do jej wydrukowania. To już jest inny świat. Świat, w którym gubią się podziały, w którym prawie wszystko jest czarne, bo niewidoczne, w którym brakuje tej — jakże wygodnej, bo czytelnej — podwórkowej dychotomii. Chciałoby się ją jednak stosować również i tutaj, teraz bowiem, kiedy dyskusja coraz częściej staje się rozmową z samym sobą, lub z nieobecnym, nie ma czasu ani sposobu na kroki pośrednie, na uzgadnianie stanowisk, kompromisy czy przekonywanie. Kiedy staję na ulicy wobec legitymującego mnie uzbrojonego patrolu, nie mam wątpliwości, że to właśnie są moi wrogowie, skąd jednak mogę wiedzieć, czy ich mimo wszystko nie ogarniają czasem wątpliwości. Przecież tylu ludzi zmuszono kartą powołania do wciągnięcia munduru. Nie każdy jest zdolny do zaryzykowania wolności czy nawet zdrowia po to, by do końca pozostać wiernym swoim przekonaniom. Robotnicy w grudniu bez wahania podpisywali deklaracje lojalności zwane kwitami i wracali na strajk. Czy wolno mi mieć im za złe, że tak właśnie postępowali? czy wolno mi potępić mundurowego z poboru, nie z własnej woli? Przecież sam z nadzieją słuchałem opowieści studentów, że podczas któregoś z kolei pacyfikowania akademików była grupa zomowców, którzy nie bili. Może istotnie nie chcieli bić, a może tylko odczuwali zmęczenie po poprzedniej intensywnej akcji? Któż to może wiedzieć? Co wybrać, wątpliwości czy nadzieję?

Trudno zgodzić się z poglądem, że stan wojenny przeciął wszelkie możliwości dyskusowania. Czarne, białe. Na ulicy tak, tam nie mam wątpliwości, oni zresztą pewnie również nie, ale później, zwłaszcza nocą, człowiek myślący musi podjąć dyskusję z samym sobą, z sobą nienawidzącym i nienawidzonym. Czy ktoś nawołujący mnie do odłożenia kamienia lub nadstawienia uzbrojenemu przeciwnikowi karku a nie pięści w rzeczywistości mnie rozbraja, czyni z bojownika ofiarę? W godzinach bezsilnej wściekłości wyobraźnia podsuwa jakże okrutne sceny tortur zadawanych ciemieżcom, z jakąż lubością babrze się w rozwalonych brzuchach, dymiących jelitach, deptanych na miazgę głowach mundurowych i tajniaków. Jak jednak mogłoby być w rzeczywistości? Czy czasem nie rzygałbym na sam widok przeciwnika robiącego w portki ze strachu? Psychoza tłumy, podniecenie, zapal bitewny. Być może takie okoliczności pozwoliłyby również i mnie pozbyć się wątpliwości i wstrętu, czy jednak aż do tego stopnia, że mógłbym uczestniczyć w szlachetnym bestialstwie nabijania Azji na pal? A jeśli tak, to co potem? Z czasem przyszyłoby zapomnienie, zapewne jednak trzeba byłoby płacić albo zbydlęceniem, podobnie jak ofiary mojej imaginacji i nienawiści, albo dusić się obrzydzeniem kierowanym do samego siebie, boć przecież ofiary

nie ma już za co nienawidzić. Może więc jednak lepszym dla mnie rozwiązaniem byłoby ugięcie karku? Czy tylko dla mnie? Nie wiem, nie jestem pewien. A może w tym tkwi moja siła, że ani pleców nie pochylam, ani nie podnoszę kamienia, mogę spokojnie nienawidzić, ale i wstrętu do siebie nie czuję? Czy jednak wolno mi osądzać tych, którzy proponują jedno wyjście lub drugie, skoro sam jestem tak małoduszny, że godzę się na działanie w ukryciu? Że nawet postanowiłem nie podpisywać tego listu, tłumacząc to sobie względami bezpieczeństwa mojego i moich?

Dlaczego zatem nie zostawiam zapisków Herlinga-Grudzińskiego w spokoju? Sądzę jednak, że mimo wszystko nie powinienem, skoro każdy z nas ma prawo do własnego zdania, z tą tylko różnicą, że On (H.-G.) może je wyrażać publicznie i bez obawy, ja zaś takich możliwości nie mam, poza tym listem, który jak sądzę dotrze do Redakcji *Kultury* i do Autora „Dzienników pisanych nocą”. Zresztą z wielu powodów nie bardzo mam ochotę na podtrzymywanie takiej dyskusji na odległość, On na emigracji, ja w naszej rzeczywistości. Przyznaję, że w pierwszej chwili zgodziłbym się z jego zastrzeżeniami do osoby Prymasa, czy też raczej do jego kapitulankich działań. Ja też jestem w swoich marzeniach człowiekiem czynu, któremu marzy się powrót do przedgrudniowej swobody. W zupełności opowiadał się za manifestowaniem prawdy, za czynną walką z niesprawiedliwością i złem. Po przemyśleniu wydaje mi się jednak, że są to tylko mity dopasowane do moich bezsilnych marzeń, w praktyce bowiem częściej zdarza mi się schylać głowę i odwracać się plecami do przeciwnika niż nadstawiać pięści. Sądzę, że takich jak ja jest jednak wielu. Coraz częściej zdarza mi się wątpić w możliwość przebudowania naszego polskiego świata, wierzę jednak, że potrafimy utkać sieć solidarnej konspiracji czy zakonspirowanej solidarności, która może kiedyś na coś się przyda. Być może jest to jeszcze jeden, tym razem mój prywatny mit, ale pozbawianie się złudzeń może być równie zabójcze, jak pozbawienie ludzi wspólnoty, która jednak (czy może właśnie) po grudniu powstała. Wspólnoty podwórkowe ograniczają się do własnego bloku, moje rozeznanie sytuacji przestaje działać za rogiem ulicy. Jedynie w kościele, każdym, jestem członkiem naszej powszechnej zbiorowości. Tylko tu fakt, że wszędzie roi się od szpicli przestaje mieć jakiekolwiek znaczenie. Ubek, którzy przyszedł służbowo podsłuchiwać też śpiewa „Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie”.

Wydaje mi się, że wydawane na Zachodzie opisy naszej wojennej sytuacji już teraz zaczęły stosować metodę selektywnego

wyboru zdarzeń, które najlepiej kreowałyby obraz rzeczywistości zgodny z nieuświadamianymi nawet intencjami autora. Tak dzieje się z tradycją wojen światowych, tym samym prawidłowością zaczyna ulegać czy już uległa nasza wiedza o wojnie pogrudniowej. Nie, bynajmniej nie czynię z tego powodu zarzutu komukolwiek, sam równie chętnie dla podtrzymania się na duchu wyławiam perełki błyskotliwych wystąpień jakimi są manifestacje, strajki, bierny opór, druk, czy kolportaż w mętным i jakże brudnym bajorze codzienności. Można i tak. Materiału nie powinno zabraknąć, wiele jest bowiem w Polsce miast, wiele cmentarzy, na których palą się świeczki za tych co zginęli w Katyniu, za ofiary stanu wojennego. Wydaje mi się jednak, że w okresie od grudnia tak naprawdę liczy się tylko jedna data, 31 sierpnia 1982, bowiem wszystkie poprzednie manifestacje były w mniejszym lub większym stopniu spontaniczne, stanowiły świadectwo głębokiego przywiązania do idei związkowej, ale nie organizatorskiego działania konspiracyjnych władz Solidarności. Jedyna wcześniejsza ogólnopolska akcja minutowej przerwy w ruchu ulicznym nawet w Warszawie spaliła na panewce. Dlatego — moim zdaniem — należy uznać za akt dużej odwagi decyzję TKK o zorganizowaniu manifestacji sierpniowych. Efekty wszyscy znamy: ogromny zasięg i rozgłos spotęgowany nigdy na tak dużą skalę nie przygotowywaną kontrakcją władz, a przy tym mniejsza niż należało się spodziewać ilość manifestujących oraz powtórzona po raz już kolejny brutalność i bestialstwo milicji, której kordony, powstrzymując wielu ludzi od przyłączenia się do pochodów, równocześnie nadały manifestacjom jakże wysoką rangę, uświęcając je krwią ofiar. Zostały po sierpniu rany i obrażenia, lizane jeszcze w październiku w procesach tych (zwłaszcza młodych, prawie dzieci, na nich bowiem poszedł najsilniejszy atak), którzy jako zbyt mocno zmasakrowani nie mogli następnego dnia ukazać się publicznie przed kolegium, zaś dłuższe przetrzymywanie w areszcie wymagało albo internowania (zresztą większość z późniejszych oskarżonych przeszła przez ten etap, prokuratorzy bowiem nie byli w stanie przeprowadzić w ciągu 48 godzin tak dużej liczby nawet najkrótszych przesłuchań), albo postawienia w stan oskarżenia.

Pozostał po manifestacjach sierpniowych strach, ale utrwaliła się również (nawet wśród powszechnie znanych oportunistów) w społeczeństwie najgłębsza nienawiść do oprawców. To właśnie po sierpniu klawiszowa została ostatecznie wyłączona ze spraw podwórkowych. Nienawiść. Czy można ją jednak uznać za stan możliwy do zaakceptowania? Czy nawet ona mogłaby dzisiaj pobudzić nas, tak bardzo zmęczonych beznadziejną walką, do podjęcia kolejnej próby? Następnym etapem miał stać się listopado-

wy strajk, jednak tylko etapem, niewielu bowiem ludziom marzyło się już wówczas zwycięstwo. Zresztą jeśli zwycięstwo, to jakie? Na czym ono miało polegać? Na upadku Jaruzelskiego? Przyszedłby Olszowski lub jakaś równie wypróbowana persona. Na przejęciu władzy przez Solidarność? Wówczas chyba jednak wkroczyliby Rosjanie, a Zachód palcem by nie kiwnął. Zresztą kto wie, czy nie byłoby to rozwiązanie wiele lepsze od obecnego stanu, likwidowałoby bowiem automatycznie istniejący podział, wszystkich stawiając (i dzisiejszych białych i czarnych) w sytuacji poddanych okupantowi. A może przyjąć by się dało hipotetyczną tezę, że wystąpienie Prymasa nie było ciemem w podziemną Solidarność? Może nawet ją uratowało? Uratowało autorytet związku reprezentowanego jeszcze przez ludzi z nazwiskami, przez pisma czy manifestacje? Co byłoby, gdyby strajk się nie udał czy to z powodu brutalnej reakcji władz, czy całkiem po prostu z powodu zastraszenia zmęczonych ludzi? Przecież taką ewentualność również należałoby brać pod uwagę. Ludziom potrzebne są mity, najchętniej zaś przyjmowane są te, które zgodne są z marzeniami. Dzisiaj, kiedy strajk listopadowy został tak bardzo ograniczony do nielicznych wystąpień, możemy sobie marzyć o jego potędze i skuteczności, czy jednak musimy ten nowy mit karmić rzucając mu na pożarcie kontrowersyjnej osoby mediatora, stanowiącego jednak personifikację instytucji równie potrzebnej społeczeństwu, jak Solidarność?

Podział społeczeństwa na dobrych i złych jest chyba najtragiczniejszą spuścizną stanu wojennego. Stało się najgorsze z najgorszych, w mechaniczny często sposób odgradziliśmy się od siebie tak skutecznie, że nawet nasze dzieci dzielą się na podwórku na okupantów i okupowanych. Nienawiść zaszczipiona w tak młodym wieku przetrwa, jak każdy uraz wywołany gwałtem. Skoro jednak najczarniejszy pesymizm wydaje się najbliższym prawdy i pisana nam jest chyba taka rzeczywistość, jaką mamy, bowiem Zachodowi nie tak spieszo do podjęcia walki „za Gdańsk”, zaś z Wielkim Bratem sami sobie nie poradzimy, to może jednak należy liczyć się z koniecznością stworzenia — i to jak najszybciej — pozytywnego programu działań. Doskonale przy tym zdaje sobie sprawę, że jest to — być może — program niewolniczego ugięcia karku i schowania pazurów. W swym pesymizmie jedno jednak znajduję pocieszenie, że jak w każdym niewolnictwie nie tylko my bez pana, ale również i on nic nie zdoła zdziałać bez naszego przyzwolenia. Zadać też możemy się tylko wspólnie, chociaż w tym przypadku inicjatywa może należeć do którejkolwiek ze stron.

(Nazwisko znane Redakcji)

Rzym, 31 stycznia 1983.

Szanowny Panie Redaktorze,

Ponieważ dowiedziałem się, że zależy Panu na opiniach o wydrukowanym w numerze 1/2 tegorocznej *Kultury* artykule Tymoteusza Klempskiego „Widziane z bliska”, pragnę przekazać niektóre moje uwagi, pozostawiając sprawę ewentualnego druku tego listu decyzji Pana Redaktora.

1. Artykuł wydaje mi się bardzo cenny. Cenny, bo zawiera wiele słusznych myśli krytycznych a także dlatego, że jest w nim szereg twierdzeń, delikatnie mówiąc, wątpliwych, co w połączeniu z dość apodyktycznym tonem prowokuje do sprzeciwu, a więc tym samym do myślenia.

Za rzecz najcenniejszą pośród poruszonych w artykule spraw uważam sprawę ludzi skazanych lub oczekujących na proces z dekretu o stanie wojennym. Jest to sprawa, do której trzeba nieustannie wracać i w której Kościół ma niewątpliwie wiele do zrobienia.

2. Mam jednak zastrzeżenia i o nich nieco szerzej. Rażą mnie niespodziewane odejścia od poważnego języka rzeczowej krytyki czy narracji i pojawiające się wyrażenia pogardliwe, jakie zawsze osłabiają tego rodzaju teksty, oraz odstające od stylu całości „szpile”. Kilka przykładów: „szlamowatość” sejmu (str. 11), „caryca Leonida” (str. 11), „szlam partyjny” (str. 12), aluzja do prezencji arcybiskupa Glempa (str. 15), szpila pod adresem ks. Orszulika, który w tym artykule zjawia się jak Piłat w Credo, a do tego zjawienie się jego w tym miejscu artykułu pokazuje, jak słabo autor orientuje się w topografii ul. Miodowej, mówienie o zomowcach „gnojki” itp. Wydaje mi się, że posługiwanie się tego rodzaju żargonem ma w sobie coś z owych uśmieszków i żarcików, które autora (i nie tylko) tak bardzo irytują u hierarchów.

3. Po przeczytaniu brutalnej krytyki „okropnych homilii” księdza Prymasa czytelnik jest nieco zaskoczony, bowiem pozornie obiektywny ton artykułu (np. uznanie zasług Kościoła) pozwala się spodziewać, że poza uświadomieniem Prymasowi jego „poważnych wad” autor postara się wskazać temuż Prymasowi zalety, które powinien kultywować. Tu jednak dydaktyk Klempski zawodzi. Przedobrzeźnienie w postaci rady, by Prymas znalazł sobie kogoś do pisań kazań nasuwa pytanie, czy doprawdy krytyka musi być impertynencka?

4. Klempski w jednym z najważniejszych końcowych pouczeń opiera się na przesłance, której prawdziwości nie wykazał i obawiam się, że wykazać nie mógł, bowiem — sędzę — jest to przesłanka fałszywa. Chodzi mi o twierdzenie, że Kościół zawarł z PZPR tajne porozumienie, że monetą przetargową stała się wizyta Papieża w Polsce. Tymczasem kolejność następowania po sobie faktów i wydarzeń wcale nie musi oznaczać ich przyczynowego powiązania. „Twardy zarzut” Klempskiego staje się

znacznie miększy, kiedy odkrywamy, że to na czym się opiera jest tylko gołosłownym twierdzeniem.

Nie wiem, czy Episkopat zawierał tajne porozumienia czy ich nie zawierał, ale Tymoteusz Klempski mojej wiedzy w tym zakresie ani trochę nie rozszerzył.

5. Wniosek (pouczenie), że Kościół ma pertraktować o nasze dusze a nie o nasze ciała i to tylko z Panem Bogiem, uważam za sformułowanie jeśli efektowne, to w każdym razie mało precyzyjne. Jeżeli chodzi tu o odsunięcie Kościoła od wszystkiego co ma jakikolwiek związek z ciałem (czyli z życiem doczesnym), pomysł nie jest nowy. Jak realizacja tego pomysłu wyglądała w historii, wiadomo. Wiadomo także, że Kościół nigdy takich propozycji nie przyjmie. Gdyby np. arcybiskup Dąbrowski ludziom, którzy prosili o interwencje w sprawie chorych internowanych odpowiadał, że może jedynie pomodlić się, by dusze ich odniosły z cierpienia maksymalny pożytek, zostałby uznany słusznie za faryzeusza.

Sprawa jest niestety skomplikowana i nie da się moim zdaniem, bez ryzyka zafałszowania jej, zamknąć w jednym efektownym aforyzmie.

I jeszcze jedna wątpliwość: czy rzeczywiście Kościół tak zupełnie nie posiada żadnego mandatu ze strony społeczeństwa? Tłumy gromadzące się niezmiennie tam gdzie ma przemawiać Prymas, reakcje (negatywne) niemal histeryczne na każde potknięcie się Prymasa i cały szereg innych zjawisk społecznych świadczą o jakimś oczekiwaniu, znaczeniu, autorytecie. Jakim?... Co znaczą?... to już osobny temat.

Jako *post scriptum* chcę dodać, że moje księżowskie ucho z trudem wytrzymuje używanie słowa „Kościół” w znaczeniu, w jakim używa go pan Klempski i wielu innych. Oczywiście rozumiem o co chodzi i nie tu miejsce na obszerniejszy wykład o Kościele. Powiem tylko, że Kościół to nie papież, prymas, biskup, proboszcz, wikary, kuria — choćby była rzymska.

Łączę wyrazy szacunku i podziękowania za dzieło *Kultury*, z prowokującym artykułem „Widziane z bliska” jak najbardziej włącznie.

ks. Adam BONIECKI

Książki

Marek Nowakowski

Patrzyłem tylko. Powtarzam: patrzyłem. Ta
namietność patrzenia górowała nad innymi.

(Marek Nowakowski, „Książę Nocy”)

W drugim tomie *Miesiący Brandys* cytuję list Andrzeja Kijowskiego, pisany w okresie największych nadziei związanych z Solidarnością: „To już nie jest kraj ani Gogola, ani Kafki, ani Mrożka, lecz zupełnie nowych jakości moralnych i zupełnie nowych tematów. Już ani Marek Nowakowski do tego nie pasuje, ani Iredyński”.

Pomijam Iredyńskiego, bo nie bardzo wiem, do czego on — w tym szczególnie kontekście — pasuje. Co do Nowakowskiego, wydaje się, że długo będzie on jeszcze pasował do polskiej rzeczywistości, nawet gdyby historia przybrała inny zupełnie obrót od tego, jaki przybrała w nocy 13 grudnia 1981. Zmiany w psychice, w mentalności i moralności społecznej nigdy nie następują tak szybko i tak definitywnie — choć na pozór może to tak wyglądać — jak życzył sobie Kijowski. Nad Wisłą stał się cud, ale od cudu do codziennej przyzwoitości w międzyludzkich stosunkach droga jest bardzo daleka.

W przemówieniu zatytułowanym *Literatura a kryzys*¹, wygłoszonym na Kongresie Kultury Polskiej, Kijowski jeszcze surowiej ocenił literaturę: „Literatura nie spełniła w miesiącach kryzysu swej roli ideotwórczej, pozostawiła społeczeństwo w ideowym pustkowiu i jest odpowiedzialna za chaos jaki w głowach panuje. (...) Obok przemocy z zewnątrz jeszcze zamęt w głowach i wieprzowość życia powszedniego.

(...) Stan dzisiejszy w polskich obyczajach i polskiego myślenia przypomina czasy saskie. Literatura musi zdobyć się na

okrucieństwo takie, do jakiego zdolni byli pisarze, którzy wówczas postawili narodowi zwierciadło przed oczy i zdołali go tym wizerunkiem przerazić”.

Ale co poza ideami, co poza ciągle aktualnym programem naprawy Rzeczypospolitej pozostało z tej literatury? Nie bez powodu nazwiska, które Kijowski cytuje, to nazwiska publicystów i moralistów — nie pisarzy. Nie cała gorycz jest uzasadniona. Twórczość Nowakowskiego, a literatura polska byłaby uratowana nawet gdyby poza nim nie było innych pisarzy, jest owym zwierciadłem, owym przerażającym wizerunkiem, którego się Kijowski domaga. Od debiutu *Ten stary złodziej* (1958) do opowiadania *Jeden dzień w Europie*² Nowakowski zajmował się niemal wyłącznie „wieprzowością życia powszedniego”, a w swojej części twórczości także „zamętem w głowach”, narodowymi zadrami i wyniszczaniem ludzkiej substancji przez ustrój.

Nowakowski nigdy nie posługiwał się językiem ezopowym. Miał pełne prawo napisać w opowiadaniu *Jeden dzień w Europie*: „Obca łapa nigdy moim pisaniem nie sterowała”. Siła oskarżycielska opowiadań Seweryna Kwarca (pseudonim, którego Nowakowski od wielu lat używał w *Kulturze*) nie jest większa, rzadko nawet są to opowiadania bardziej dosłowne, niż siła oskarżycielska takich opowiadań jak *Wesele raz jeszcze!*, *Zdalenie w Miasteczku*, zbioru *Mizerykordia* (1971) czy *Gdzie jest droga na Walne?* (1974), po którym Nowakowski (choć zapewne były inne przyczyny) objęty został represjami cenzury. Tyle tytułem wstępu.

*Raport o stanie wojennym*³ pisany był na gorąco. Raporty nie bywają piękne. Trzeba je czytać lojalnie, tak jak je autor — jeden z najbardziej konsekwentnych, najuczciwszych, najbardziej pracowitych i odpowiedzialnych za słowo powojennych pisarzy — pomyślał. Mówiąc pracowity, mam na myśli ogromny trud pisarza-realisty, niełatwy w tym systemie, który Nowakowski faktycznie sobie zadał, aby poznać swoich Polaków.

Na nową książkę złożyło się czterdzieści krótszych i dłuższych scen z życia pod okupacją. W pierwszej, zatytułowanej *Stan wojny*, opowiada Nowakowski o spotkaniu starej kobiety z żołnierzem, pilnującym drogi do huty już otoczonej przez czołg. Kobieta widzi na śniegu krew, której jeszcze tam nie ma. Wieszczy, jak zapewne przed zarazą, głodem i wojną zawsze wieszczyły stare kobiety po wsiach:

„Młody żołnierz, wyraźnie zaskoczony, rozejrzał się wokół siebie. Śnieg tutaj skrzył się mroźną bielą. Nieskalanie biały śnieg. Wzdrygnął się. Mróz potęgował się. A te słowa starej były jeszcze bardziej lodowate. I tak wpatrywała się w niego uparcie”.

Efekt literacko-pedagogiczny zostaje osiągnięty. Starucha zarówno w czytelniku jak w żołnierzu otwiera tę samą pamięć:

2. *Zapis* nr 19, 1981.

3. Instytut Literacki, Paryż 1982, str. 99.

polski archetyp wojny, spustoszenia, rozlewu bratniej krwi. „Żołnierzyk” zostaje skonfrontowany z mitem Matki-Polki. Na trop starej matki, matki wszystkich żołnierzy, naprowadza sam Nowakowski: „Wlepiła w żołnierza oczy starej matki. Były to zarazem oczy jastrzębia, wyjedzone i przenikliwe”.

Nie wszystkie „raporty” mają równie symboliczną wymowę co pierwszy, czy równie pozytywną jak ów zatytułowany *2072 dni* (tyle dni trwała w Polsce okupacja niemiecka), w którym ojciec-opportunista prowokuje milicjantów, aby odciągnąć ich uwagę od syna-buntownika. Zamiarem Nowakowskiego — udanym i spełnionym — było pokazać reakcję poszczególnych ludzi i środowisk na zaskoczenie i przemoc. Opisać pierwsze dni okupacji, kiedy trwa jeszcze szok, ale już zaczyna się pod nią żyć.

Nowakowski niczym innym nie zajmował się w całej swojej twórczości. Pisał zawsze „raporty” o stanie społeczeństwa, robił „zapisy”, opowiadał o „układach zamkniętych”, w których paranoja na tle politycznym była tematem równie częstym, jak niemożność wydobycia się ze ślepej, naturze podporządkowanej obsesji, z choroby czy z kalectwa. *Raport o stanie wojennym* składa się ze scen ukazujących fizjonomię Polski i Polaków. Nowakowski opisuje ulice, domy, ludzi — fizyczny wygląd kraju tuż po 13 grudnia — starając się uwypuklić analogię z rokiem 1939. Nie mam do niego o to pretensji, bo nawet jeśli tendencyjna, trudno w Polsce o inne analogie. To co naprawdę zgrzyta w *Raporcie*, to jego literackość.

Nie wątpię, że jest to książka potrzebna polskiemu czytelnikowi. Być może równie potrzebna jak *Miesiące* Brandysa. Ale Brandys znalazł na relację z okresu sprzed stanu wojennego właściwszą dla siebie formę: opisowo-dywagacyjną. Żeby *Raport* był książką dobrą, także literacko, powinien mieć formę. Jak najmniej literacką. Formę osobistej, publicystycznej relacji, niekoniecznie tak intelektualno-intymnej jak relacja Brandysa. Nowakowski usiłuje być w *Raporcie* bezosobowym reporterem, nie rezygnując jednak z żadnej właściwości tylko jemu przynależnego, literackiego stylu.

Jest to książka-termometr. Tym termometrem mierzy pisarz zgodę ulicy i jej bunt. Niechęć i przystosowanie. Cynizm. Ale brak w niej niuansów, których w takiej sytuacji — mimo że krańcowa — zawsze jest najwięcej.

Czytelnik Nowakowskiego z łatwością rozpozna w *Raporcie* bohaterów jego opowiadań i nawet te tematy, które w jego prozie są rzadkie, prawie incydentalne, niemniej jednak występują z charakterystyczną stałością. Każdy typ ludzki, każda postawa zostały przez niego opisane wcześniej. Niektórym z bohaterów pisarz już wcześniej pozwalał mówić od siebie. Niewykluczone, że spisywał ich monologi. Mową swoich postaci posługiwał się Nowakowski niemal zawsze, używając w narracji i dialogach tego samego języka, wtapiając się w mentalność i status społeczny postaci. W ten język wsłuchiwał się latami, znał świetnie ludzi, którzy go używali. Sam go zapewne używał. Później zaczął swój

język stylizować w ten sposób, aby choć cudzy, był niezaprzeczalnie jego własnym, literackim językiem. Nie potrafię określić dokładnie, kiedy to się stało, być może w autobiograficznych *Robakach*⁴. W *Zdarzeniu w Miasteczku* (1972), a jeszcze wyraźniej w *Weselu raz jeszcze!* (1974) proces jest zakończony. Dziwaczna składnia — częsty brak orzeczenia, przerzucanie zaimek wskazujących i dzierżawczych na początek zdania, barokowe i młodopolskie zwroty wplecione w mowę potoczną, wulgarną — to zaledwie kilka cech stylu, wyraźnego w każdym zdaniu jak podpis.

W *Raporcie* Nowakowski stara się mówić od każdego, zamiast mówić o każdym. Jest to dobre prawo pisarza. Ale czytelnik współczesnej literatury nie ufa takiej fikcji. W opowiadaniu *Bufet* autor jest bufetową, zainteresowaną wyłącznie w dostawie kotletów. W opowiadaniu *Szczur* jest Kwiatkowskim, który nie podpisuje listy lojalności i zostaje przeniesiony do chlewni, gdzie zabija szczury, wyobrażając sobie, że to jego konformistyczny kierownik. W opowiadaniu *KPN* jest byłym pucybutem. Nie jest to nagminnie stosowana przez niego forma opowiadania, ale jest to forma, która go zawsze kusiła. I do której nigdy, poza pięknym opowiadaniem *Opowieść*⁵, którego narrator jest mu samemu duchowo, a więc i językowo bliski — nie miał szczęśliwej ręki.

Najlepsze są w *Raporcie* opowiadania pozbawione wyraźnej puenty, może po prostu dlatego, że najlepiej oddają oszołomienie ludzi. Tylko w nich udało się Nowakowskiemu uniknąć psychologicznych i sytuacyjnych uproszczeń. Powie ktoś, że są okresy, które wymagają od literatury uproszczeń, albo co najmniej je usprawiedliwiają. Nie ma takich okresów. Są tylko pisarze, którzy z uszczerbkiem dla siebie, z poczucia obowiązku lub pod presją środowiska dają temu mniemaniu wiarę. I są inni, którzy wykorzystują takie okresy i idą na łatwiznę, bo łatwizna zawsze leżała w naturze ich talentu. W naturze talentu Nowakowskiego leży nie łatwizna, lecz rozszczepienie. Konflikt między wiernością wobec rzeczywistości a ustawicznym poszukiwaniem formy. Sprzeczność, która podskórnie toczy jego prozę od autobiograficznych *Robaków*.

A jednak odnajdujemy w *Raporcie* ów ludowy ton, ton anonimowych opowieści, które są własnością ulicy i przez pisarza zostają tylko zebrane. O to także Nowakowskiemu chodziło. Niektóre opowieści to rozbudowane anegdoty. Inne to rozbudowane informacje od ludzi na temat ich powszedniego dnia wojny. Jest w *Raporcie* mowa i o tych, którzy w nowej sytuacji pozbywają się kompleksów, przestają się bać i udawać, czują się znowu wygrani. Myślę jednak, że jest ich za mało. Jak za mało jest tych, którzy nie zrozumieli, co się naprawdę stało. Miejscami, co trochę mnie razi, wyczuwa się w książce apologię

4. Pierwodruk w *Twórczości*, 1966.

5. W zbiorze *Gonitwa*, 1967.

młodzieńczej, chłopięcej krzepy. Nowakowski odmłodził, nie zgorzkniał w tej wojnie. Jest taki jak w tym wywiadzie telewizyjnym, w którym go widziałam: młody, na wszystko zdecydowany gniewny. Jakże odmienny od tego zgorzkniałego pisarza po czterdziestce, o którym opowiada w *Jednym dniu w Europie*, pełnego obrzydzenia do życia, pisania, socjalizmu i do samego siebie.

Jest w tych krótkich opowieściach, jak zawsze u tego pisarza, przeszłość jego Polaków, których losy i wszystkie ich możliwe warianty zna świetnie. Niektóre opowieści mówią nie o stanie wojennym, a o owej „wieprzowatości życia powszedniego”, o którą się Kijowski dopominał w literaturze. O tym niesamowitym polskim życiu z wódką za tysiąc złotych i dosłownym brudem bytowania. Nowakowski wbrew pozorom — bardzo silnym pozorom! — nie jest typem naturalisty, który z lubością grzebie się w brudach. Ale nie umie ich już nie dostrzec. Fizyczna opisywanej rzeczywistości była zawsze najdobitniejszą cechą jego literackiego talentu. Jak powiada angielski poeta, Gerald Manley Hopkins: *What you look hard at seems to look hard at you*. Czasem wydaje się, że zbyt wyostrożony, zbyt wyćwiczony zmysł obserwacji osłabia w Nowakowskim pisarza innych form, a chyba i innych środowisk.

„Zawsze byłem szpiegiem życia, czyli miałem otwarte...” — mówi o sobie bohater słuchowiska *Tadeusz Nawalany*⁶, przedstawiając się robotnikom. Nowakowski równie dobrze mógłby to powiedzieć o sobie. Sam utwór określa pisarz we wstępie jako „faktograficzny montaż syntetyzujący obserwacje z różnych zebranych Solidarności, a zarazem próbę stworzenia portretu działacza tego związku”. Słuchowisko podzielone jest na trzy części: *Jeżeli wejdą, to będę walczył*, *Noc* i *Daleka droga*.

Historia Nawalanego jest absolutnie wiarygodna, jest niestety także syntetyczna i słuchowisko jest złe. Czyta się je z zażenowaniem, które zawsze towarzyszy utworom, w których dokładnie wiadomo o co chodzi. Jego symbolika jest prymitywna nawet jak na Nowakowskiego, który lubuje się w prymitywnych i dosłownych symbolach. A może raczej należałoby powiedzieć: w symbolach konkretnych i prostych. Dlaczego realizm zawiódł tego doświadczonego realistę w tak decydującym momencie? Może dlatego, że realizm zawsze zawodzi, kiedy pisarz na bieżąco i w krótkiej formie stara się dokonać syntezy stanu społeczeństwa i jednocześnie za pomocą „typowego bohatera” i językiem „prostego ludu” daje wyraz swojej wierze w zwycięstwo słusznej sprawy. Typowy bohater nigdy nie jest typowy, język prostego ludu od dawna nie istnieje. W dodatku wszystko przyprawione uśmiechniętą krzepą w pierwszej części i wątpliwą aforystyką w części drugiej i trzeciej. Cóż z tego, że sytuacja polityczna została oceniona prawidłowo i że sam Nawalany przypomina powiatowego Wałęsę?

6. *Kultura* nr 1, 1982.

Jak to się stało, skoro Nowakowski zawsze posługiwał się tym językiem i tak często opisywał tych samych kryminalistów, z którymi po ogłoszeniu stanu wojennego działacz Solidarności znalazł się w jednej celi? Może najlepiej zilustruje to przykład formalnie — nie ideowo — odmienny.

Już po ukazaniu się *Raportu* i słuchowiska opublikował Nowakowski trzy epigramaty⁷, dalszy ciąg *Zapisków na gorąco*⁸. Owe trzy teksty o tytułach *Ludziom i nadzorcom*, *Więzień stanu* i *Scierwnik* mają zawartość manifestu, biblijne słownictwo, charakter proklamacji, apelu i rewolucyjnego plakatu. Tutaj, a nie w *Raporcie* i nie w słuchowisku o Nawalanym, nabierają wagi i życia wyświechtane zwroty: „Lud po staremu zaczął zginać grzbieć”; „Władza chwyciła naród w swe żelazne łapy i dusi”. Tu znalazł się świetny, parolinijkowy portret Wałęsy. Tu, nie w tamtych utworach, bo tutaj ich patos jest jawny i nie musi kulić się pod anegdotą i krzepką ludową mową. To nie tendencyjność a nietrafny wybór formy szkodzi literaturze. I sprawie.

Janina KATZ HEWETSON

7. *Kultura* nr 7/8, 1982.

8. *Kultura* nr 4, 1982. Ta część *Zapisków* weszła do *Raportu o stanie wojennym*.

Dobre kompendium

Pod tytułem „Biały orzeł, krzyż i czerwony sztandar”^{*} ukazała się niedawno w Zurychu książka Bogdana Osadcuka, obrazująca w istocie jedno: opór społeczeństwa polskiego przeciw sowietyzacji i różnorodne na to reakcje aparatu władzy. Mówi o tym już podtytuł: „Kronika kryzysów komunistycznego systemu władzy w latach 1956-1982 w Polsce”. Osadcuk jest politologiem na Wolnym Uniwersytecie w Berlinie Zachodnim oraz wieloletnim korespondentem i publicystą *Neue Zürcher Zeitung*, zajmującym się problematyką polską. Świeżo wydana książka to zbiór artykułów, zamieszczanych w tej gazecie. Układ jest chronologiczny, każdy artykuł opatrzone datą. Mamy więc do czynienia ze swoistą retrospektywą doświadczonego dziennikarza; każdy tekst stanowi punktualną analizę; komentarza, interpretującego historyczne już wydarzenia z perspektywy dzisiejszej nie ma — i to dobrze.

^{*} *Weisser Adler, Kreuz und rote Fahne — Chronik der Krisen des kommunistischen Herrschaftssystems in Polen 1956-1982*. Verlag Neue Zürcher Zeitung, Zürich 1982, str. 203 i 5 nlb.

Książka zawiera następujące elementy:

1. Jest kroniką, bardzo przejrzystą i dającą czytelnikowi, mimo nieuchronnej dorywczości (punktualizmu) poszczególnych publikacji, poczucie ciągłości i logiki rozwoju.

2. Jest analizą politologiczną, pokazującą przemiany personalne w aparacie władzy komunistycznej, wymuszane kolejnymi zrywami wolnościowymi społeczeństwa; relacje tych zmian personalnych do równoległych przemian tego rodzaju w Związku Radzieckim oraz do globalnej polityki ZSSR; tudzież, na zasadzie swobodnego kontrapunktu, autor upatruje również przyczyny tych zmian w małostkowych nieraz rozgrywkach wewnętrznych: w sumie więc otrzymujemy wielowarstwową informację.

3. Jest analiza politologiczną również i w innym sensie, a mianowicie taką, że ukazuje, iż niezależnie od wymuszanych zmian personalnych i układów wewnątrzpartyjnych stosunek komunistycznej zwierzchności do roszczeń narodu lub poszczególnych w nim ugrupowań nie istocie się nie zmienia. Zwierzchność nie wycofuje się z trzech pozycji — a jeśli to czyni, czyni to pozornie i kłamliwie — będących podwaliną ujarzmiania: z zasady centralizmu we wszelkich, również niepolitycznych dziedzinach życia, z nomenklatury oraz z monopolu informacyjnego. Artykuły, omawiające wydarzenia po Sierpniu 1980 i po 13 grudnia 1981 ukazują to wyraziście.

Bogdan Osadczuk jest dość osobliwym przypadkiem *amici Poloniae*: Ukrainiec, piszący z wielką sympatią o sprawach polskich — po niemiecku. Książka jego jest przykładem dobrej propagandy problematyki polskiej; powinna się znaleźć w ważniejszych bibliotekach niemieckiego obszaru językowego i powinna być czytana przez ludzi, interesujących się tą problematyką, przez dziennikarzy, studentów historii i politologii, a nawet i przez tych, co mają zamiar turystycznie Polskę zwiedzić. Jest to dobre kompendium dla wszystkich.

Witold WIRPSZA

Nadesłane nowości wydawnicze

MACKIEWICZ (Józef). *Zwycięstwo prowokacji*. Str. 235 i 5 nlb. (Wyd. Kontra, Londyn 1983).

MACKIEWICZ (Józef). *Kontra*. Str. 272. (Wyd. Nina Karsov, Londyn 1983).

MACKIEWICZ (Józef). *Miejmy nadzieję...* Str. 14. (Wyd. A. Poray Book Publ., Nowy Jork 1983).

SURDYKOWSKI (Jerzy). *Notatki gdańskie*. Str. 185 i 3 nlb. (Wyd.

„Aneks”, Londyn 1982).

ZENCZYKOWSKI (Tadeusz). *Dramatyczny rok 1945*. Str. 233 i 9 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1982 jako przedruk z pozacenzuralnego wydania „Głosu”, Warszawa 1981).

SZAWŁOWSKI (Ryszard). *Prawa człowieka a Polska*. Str. 212 i 4 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1982).

KORZENIEWSKI (Tadeusz). *W Polsce*. Powieść. Str. 81 i 7 nlb. (Wyd. Puls Publications, Londyn 1982).

MINKIEWICZ (Antoni). *Polscy Unrugowie*. Str. 36. (Wyd. nakładem Autora, Londyn 1982).

DRZEWIENIECKI (W. M.). *Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich i 3 Dywizja Strzelców Karpackich w literaturze i prasie. Bibliografia*. Str. 24. (Wyd. Polish Cultural Foundation, Buffalo N.Y. 1983).

POLANOWSKI (Tadeusz). *Polonez na linie. Wiersze i fraszki 1980-1982*. Str. 138 i 6 nlb. (Wyd. OPIM, Londyn 1982).

Ułani podolscy. *Dzieje pułku ułanów podolskich 1809-1947*. (Opracowanie zbiorowe). Str. 414 i 2 nlb. (Wyd. Koło 12 pułku ułanów podolskich, Londyn 1982).

MIREWICZ (Jerzy, ks., T.J.). *Obroncy Europy*. Str. 154 i 10 nlb. (Wyd. Księga Jezuici, Londyn 1983).

MAURER (Jadwiga). *Podróż na wybrzeże Dalmacji*. Str. 117 i 7 nlb. (Wyd. OPIM, Londyn 1982).

KOCZY (Leon). *Jan Brożek w Szkocji*. (Nadbitka z Symposiones I — 1978/1981, str. 109-141).

Katyni. *Akt sowieckiego ludobójstwa*. Str. 40. (Wyd. Komitet Koordynacyjny Polonii, New Britain Conn., USA, 1981).

STAROWIEYSKA - MORSTINO-WA (Zofia). *Patrzę i wspominam*. Str. 216 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1982, cena zł 120).

BRZEKOWSKI (Jan). *Międzywojenie*. 1. *Start*; 2. *Collegium Novum*. Str. 478 i 2 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1982, cena zł 130).

SMIEJA (Florian). *Wiersze*. Str. 98 i 2 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1982, cena zł 20).

Krytyka nr 7. Str. 274 i 2 nlb. (Przedruk z pozacenzuralnego wydania warszawskiego, nakładem „Aneksu”, Londyn 1982).

Miłujcie nieprzyjaciół Wasze. Miłość nieprzyjaciół w Polsce. W:

Nasza rodzina, numer specjalny 1983. Wybór tekstów o J. Salij, kolaże R. Cieśliewicz, posłowie o R. Cieśliewicz K. A. Jeleńskiego. Str. 196 i 2 nlb. (Wyd. Nasza rodzina, Paryż 1983).

Zeszyty naukowe nr 137 Akademii Ekonomicznej w Krakowie. *Prace z zakresu nauk politycznych*. Str. 178, Kraków 1981, cena zł 25). *Noc generałów*. Zbiór poezji wojennej 13. 12. 1981 - 13. 2. 1982. Str. 128. (Wyd. Jedność, Sztokholm 1982, jako 13 pozycje serii „Polski samizdat”. Publikacja ta jest wierną reprodukcją polskiego wydania podziemnego).

Pastorałki Tytusa Czyżewskiego z drzeworytami Tadeusza Makowskiego. (Wyd. Znak jako wierną reprodukcję wydania Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Książki, Paryż 1925).

KAŁUSKI (Marian), KRZEMIŃSKI (Józef). *PPS w walce o sprawę polską. 1892-1982*. Str. 19. (Wyd. PPS — sekcja Australia, Melbourne 1982).

KOWALIK (Jan). *Polska w Niemczech powojennych*. Str. 127 i 1 nlb. (Wyd. Polish-American Documentation Studio, San Jose Ca., USA, 1982).

Cahier Witkiewicz nr 4. S. I. Witkiewicz Witkacy. *Actes du colloque international „Witkiewicz” de Bruxelles, novembre 1981*. Rédaction et traduction: A. Van Crugten. Str. 235 i 5 nlb. (Wyd. L'Age d'Homme, Lozanna 1982).

NEKRITCH (Aleksandr). *Les peuples punis. La déportation et le sort des minorités soviétiques à la fin de la Seconde Guerre mondiale*. Przeł. z angielskiego D. Letellier i S. Niemetz. Str. 185 i 7 nlb. (Wyd. François Maspero w serii „Cahiers libres”, cena F. 68).

BADZIO (Y.). *Etat de siège ou une nation en péril. Lettre ouverte au Présidium du Soviet Suprême et au Comité Central du Parti Communiste de l'URSS*. Str. 105 i 3 nlb. Przedmowa L. Pluszcz. (Wyd. Représentation Extérieure du Groupe Ukrainien d'Helsinki, Paryż - Nowy Jork 1982).

- ROLLET (Henry). *Deux mythes des relations franco-polonaises entre les deux guerres*. (Nadbitka z *Revue d'Histoire diplomatique*, juillet-décembre 1982, nry 3-4, str. 225-248).
- MARCEWSKI (Jean). *L'effondrement polonais: la solution possible*. (Nadbitka z *Revue d'études comparatives Est-Ouest*, décembre 1982, vol. 13, nr 4, str. 5-34).
- BRUS (W.), KENDE (P.), MLYNAR (Z.). *Processus de „normalisation” en Europe Centrale soviétique*. Hongrie, Tchécoslovaquie, Pologne. *Projet de recherche „Les crises des systèmes de type soviétique”* dirigé par Zdenek Mlynar et le conseil scientifique. Etude nr 1. Str. 55. (Wyd. Index, Kolonia 1983).
- BIEGUN (Dov). *David's Castle. Davidgroddek: Saga in the Pripet Marshes*. Str. 16 i 8 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1982).
- CHECINSKI (Michael). *Poland. Communism, Nationalism, Anti-Semitism*. Przetłóżył (częściowo) T. Szafar. Str. 289 i 5 nlb. (Wyd. Kartz-Cohl Publ., Nowy Jork 1982).
- MORAWSKA (Ewa), HEYDENKORN (Benedykt), KOGLER (Rudolf). *Poles in Toronto. (In their own perception)*. Str. 237 i 3 nlb. Analiza ankiety z 1978 r. (Wyd. Kongres Polonii Kanadyjskiej, Toronto 1982).
- WOZNICKI (Andrew N.). *Journey to the Unknown. Catholic Doctrine on Ethnicity and Migration*. Str. 105 i 1 nlb. (Wyd. Golden Phoenix Press, San Francisco 1982).
- MANSELL (Gerard). *Let Truth be Told. 50 Years of BBC External Broadcasting*. Str. 300 i 4 nlb. (Wyd. Weidenfeld and Nicolson, Londyn 1982).
- BASARAB (John). *Pereiaslav 1654: A Historiographical Study*. Str. 322 i 4 nlb. (Wyd. Canadian Institute of Ukrainian Studies, University of Alberta, Edmonton 1982).
- KRAUZE (Andrzej). *A Year of Martial Law*. Rysunki i karykatury. Str. 48. (Wyd. nakładem Kontaktu jako suplement do nr. 7, Paryż 1983).
- PERSKY (Stan) i FLAM (Henry), wyd.: *The Solidarity Sourcebook*. Str. 262 i 10 nlb. (Wyd. New Star Books, Vancouver 1982).
- Harvard Ukrainian Studies* vol. VI nr 1, marzec 1982. Str. 118 i 2 nlb., wyd. Ukrainian Research Institute, Harvard University, Cambridge Mass., USA).
- DRZEWIENIECKI (Walter M.). *Poles in America: Yesterday and Today*. Str. 23 i 1 nlb. (Wyd. II, wyd. Polish Cultural Foundation, Buffalo N.Y., 1981).
- DRZEWIENIECKI (Walter M.). *The Polish Army on the Eve of World War II*. (Nadbitka z *Polish Review* vol. XXVI nr 3/1981, str. 54-64).
- ZIELIŃSKI (Leszek). *Thunder*. Wiersze. Str. 40 i 4 nlb. (Wyd. A. Poray Book Publ., Nowy Jork 1983).
- The Alfred Jurzykowski Foundation Awards*, 1982. Str. 19 i 1 nlb. (Wyd. Fundacja Jurzykowskiego, Nowy Jork 1982).
- LIPSCHER (Winfried). *Bundesrepublik Deutschland - Volksrepublik Polen. Kulturelle Zusammenarbeit*. Str. 288. (Wyd. Deutsches Polen-Institut, Darmstadt 1982).
- EKDAHL (Sven). *Die Schlacht bei Tannenberg 1410. Quellenkritische Untersuchungen. Band I: Einführung und Quellenlage*. Str. 378 i 2 nlb. (Wyd. Friedrich-Meinecke-Institut przy Freie Universität Berlin, seria „Historische Studien”, tom 8).
- Jahrbuch der Ukrainekunde* 1982. Str. 335 i 1 nlb. (Wyd. Arbeits- und Förderungsgemeinschaft der Ukrainischen Wissenschaften e. V., Monachium 1982).
- Annali della Fondazione Luigi Einaudi*, vol. XV 1981. Str. 508 i 12 nlb. (Wyd. Fondazione Luigi Einaudi, Turyn 1981).

- RAVN (Peter). *Polsk bibliografi 1850-1980. Bibliografi over polsk skon- og faglitteratur pa dansk, dansk faglitteratur om Polen samt oversat udenlandsk faglitteratur om Polen fra 1850-1980*. Str. 79 i 3 nlb. (Wyd. Bibliotekscentralen Förlag, Dania, 1982).
- SZYMBORSKA (Wisława). *Lots hustru og andre kvinder*. Wiersze. Na duński przetłóżyli Janina Katz i Inger Christensen. Ilustr. Lene Adler Petersen. Str. 107 i 5 nlb. (Wyd. Brondum, 1982).
- NOWAKOWSKI (Marek). *Polen: krigstillstand*. Na szwedzki przetłóżyli Lennart Ilke i Leif Andersson. Str. 166 i 2 nlb. (Wyd. Brombergs, Sztokholm 1982).
- KOLAKOWSKI (Leszek). *Samtal med Djävulen*. Na szwedzki przeł. Martin von Zweigbergk. Str. 192. (Wyd. Brombergs, Sztokholm 1982).
- BJENJKOVSKI (Zbignjev). *Paklovi i Arfeji. Eseji o zapadnoevropskoj literaturi XX veka*. Wybór, przekład i posłowie Petar Vujičić. Str. 263 i 9 nlb. (Wyd. Gradina, 1982).
- MIŁOŚ (Česlav). *Druga Evropa*. Tłum. Petar Vujičić. Str. 367 i 5 nlb. (Wyd. Dečje Novine, Gornji Milanovac 1982, cena: 250 din.).
- EFRON (Ariadna). *Pisma iz sсыłki Borisu Pasternaku (1948-1957)*. Str. 180 i 2 nlb. (Wyd. YMCA, Paryż 1982).
- HELLER (Michail), NIEKRICZ (Aleksandr). *Utopia u vlasti. Istoria Sowjetskogo Sojuza s 1917 goda do nasyh dnij*. T. I-II. T. I.: str. 381 i 3 nlb., t. II: str. 551 i 5 nlb. (Wyd. Overseas Publ. Interchange, Londyn 1982).
- HELLER (Michail). *Andriej Platonow w polskich szczastia*. Str. 404 i 4 nlb. (Wyd. YMCA, Paryż 1982).
- WARSAWSKIJ (W. S.). *Rodostownaja bolszewizma*. Str. 208 i 4 nlb. (Wyd. YMCA, Paryż 1982).
- BEGIN (Menachem). *W bietyje nocki*. Z hebrajskiego przeł. P. Złotnik. Str. 316 i 4 nlb. (Wyd. „Moskwa-Jerusalim”, Tel-Aviv 1982).
- MIŁOŚZ (Czesław). *Poeticzeskij traktat*. Przeł. na rosyjski Natalia Gorbaniewska. Str. 54 i 8 nlb. (Wyd. Ardis, 1982).
- FORUM. *Obszczestwiennno-politiczeskij żurnał*. Nr 1/1982. Str. 240. (Wyd. „Suczastnist”, Monachium).
- POBIHUSZCZYJ - REN (Ewhen, płk). *Mozajka moich spomyńiw*. Str. 239 i 3 nlb. (Wyd. nakładem Autora i Stowarzyszenia Kombatanów Ukrainskich w Wielkiej Brytanii, Monachium - Londyn 1982).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

1-1-83

W Ministerstwie Kultury i Sztuki PRL odbyła się uroczystość nadania odznaczeń państwowych grupie pisarzy, o czym donosiliśmy w „Wydarzeniach miesiąca” w numerze 1/424-2/425 *Kultury*. Jak się okazało, p. Maria Kuncewiczowa i Władysław Terlecki odmówili przyjęcia odznaczeń. Niemniej jednak ich nazwiska zostały podane przez prasę oficjalną. ■ Piotr Bednarz, który po aresztowaniu Władysława Frasińskiego był szefem „Solidarności” w regionie dolnośląskim, został skazany w trybie doraźnym na 4 lata więzienia. ■ Biskupem ordynariuszem łomżyńskim został ks. prałat Juliusz Paetz, pochodzący z Poznania. ■ Rozpoczęto budowę wielkiego portu promowego w Murkan na Rugii, który od 1986 roku pozwoli na uruchomienie „mostu” towarowego między NRD a Kłajpedą. 16 promów ma przewozić rocznie ponad 5 mln ton towarów, w tym około 3 mln ton ze Związku Sowieckiego. Odbywać się to będzie z pominięciem tranzytowego transportu kolejowego drogą lądową przez terytorium Polski. ■ Wytwórnia zabawek w Warszawie produkuje kajdanki, które można nabyć w kioskach Ruchu za 140 zł. ■ Na rynku PRL pojawiły się importowane z Zachodu mydła i proszki. Ministerstwo Handlu zastosowało jednak przy proszkach do prania przelicznik: 450 zł za jednego dolara, a przy mydłach — 700 zł za dolara. ■ Tak jak już donosiliśmy poprzednio, szereg niedokończonych inwestycji PRL przejmą kraje socjalistyczne. ZSSR jest gotowy do zakończenia 10 obiektów, Węgry — 15, Rumunia — 5, Bułgaria — 5, a Czechosłowacja — 7. Rada Ministrów PRL zaleciła dalsze negocjacje. ■ W Krakowie został rozwiązany klub twórców i działaczy kultury „Kuznica”. Jeszcze nie wiadomo, czy zostanie utrzymany miesięcznik klubu *Zdanie*. Jest to likwidacja ostatniej placówki, gdzie odbywały się nieskrępowane dyskusje.

5-1-83

Gustaw Holoubek został odwołany z funkcji dyrektora i kierownika artystycznego Teatru Dramatycznego w Warszawie.

10-1-83

W wydawnictwie „Rada Narodowa, Gospodarka, Administracja” ukazały się prognozy spożycia artykułów żywnościowych na jednego mieszkańca PRL do roku 1990, w skali rocznej:

w kilogramach	1980 r.	1982 r. 1985 r. 1990 r.		
		przewidywane		
Mięso i przetwory	74,0	57,0	58,0	66,0
Mleko i przetwory (bez masła) — w litrach	262	262	275	285
Jaja — w sztukach	223	210	22	225
Ryby i przetwory	8,1	5,6	5,6	5,6
Tłuszcze ogółem:	24,8	23,3	23,4	25,1
— masło	8,9	7,9	7,0	7,5
— tłuszcze zwierzęce	8,1	7,3	7,3	8,0
— tłuszcze roślinne	7,8	8,1	9,1	9,6
Przetwory zbożowe	127	130	17	125
Cukier i przetwory	41,4	39,2	19,8	40,8
Ziemniaki	158	160	10	160
Owoce i przetwory	37,7	40	45	50
Warzywa i przetwory	101	115	20	125

14-1-83

Rozstrzygnięty został konkurs na wspomnienia o KUL, zorganizowany w związku z 60-tą rocznicą śmierci założyciela i pierwszego rektora tej uczelni ks. Idziego Radziszewskiego. Laureatami 2-ch pierwszych nagród zostali dr Bogdan Królikowski, autor pracy pt.: „Przedziwny uniwersytet” oraz Janina Idziejewicz-Golebiowska za wspomnienia „Jak to było na KUL-u”.

15-1-83

W PRL drugi raz z rzędu ma miejsce rekordowa produkcja cukru — mianowicie 1.830.000 ton. Natomiast ilość słodyczy na rynku nie zostanie powiększona, za to nastąpi znaczna podwyżka cen wyrobów cukierniczych i czekoladowych. Nie przewiduje się wzrostu spożycia cukru, który w 1982 roku wynosił 39,2 kg na głowę mieszkańca. ■ Wyszło zarządzenie, iż obywatele polscy zatrudnieni w obcych placówkach dyplomatycznych, konsularnych oraz przez zagranicznych korespondentów muszą uzyskać zgodę władz na pełnienie tych funkcji. ■ W Warszawie obchodzone uroczystości 25-lecie tygodnika *Kraj Rad*, pisma poświęconego zbliżeniu Związku Sowieckiego z PRL-em. Nakład *Kraju Rad* wynosi 150 tys. egzemplarzy, numer kosztuje tylko 4 zł i jest to najtańszy tygodnik kolorowy ukazujący się w Polsce.

20-1-83

Zmarł w Krakowie ppłk Józef Herzog, legionista I Brygady. Ostatnio był przewodniczącym Komitetu Odbudowy Kopca Józefa Piłsudskiego na Sowińcu.

30-1-83

Zmarł w Warszawie w wieku 62 lat Mieczysław Kurzyński, współzałożyciel środowiska „Dziś i jutro” i Stowarzyszenia Pax, publicysta i redaktor tygodnika *Kierunki*. W 1953 roku, po zamknięciu *Tygodnika Powszechnego* i przejęciu go przez Pax, był redaktorem pisma o tej samej nazwie. Fałszywy *Tygodnik* ukazywał się przez trzy lata.

24-1-83

Zgodnie z umową polsko-sowiecką krakowskie przedsiębiorstwo Energo-pol-2 ma zbudować w ramach budowy rurociągu Ural-Europa Zachodnia przepompownię „Romny” na trasie Urengoj-Użgorod w okolicach Charkowa. Polska dostarcza również odpowiedni sprzęt, tj. koparki i spychacze.

31-1-83

W *Tygodniku Powszechnym* ukazała się w rubryce „Obraz tygodnia”, krótka informacja: Przed 30 laty jeden rolnik obsługiwał w Polsce 3,1 ha ziemi. Obecnie — 3,7 ha. W tym czasie rolnik austriacki zwiększył obsługiwany areał z około 4 ha do 12; rolnik z RFN z około 4 ha do 16 ha. Radio Warszawa I bardzo ostro zaatakowało ten komunikat, komentując: „Wy-daje się, że można tak pisać tylko wtedy, jeśli się chce, by Polska była na Zachodzie lub Zachód w Polsce”. I rzeczywiście! ■ Minister finansów Stanisław Nieckarz o wynikach roku 1982: nawis inflacyjny, jaki został nam w spadku po roku ubiegłym wynosi 500 miliardów zł. Zanotowaliśmy też rekord — dwukrotny spadek siły nabywczej pieniądza, czyli za to, co w 1981 roku kosztowało 50 zł, w zeszłym roku płaciliśmy 100 zł. Nie wzrosły nam przy tym zapasy w handlu. Wprawdzie po raz pierwszy uzyskaliśmy nadwyżkę 400 mln dol. w handlu zagranicznym, ale odbyło się to m.in. kosztem importu surowców i materiałów, który był niższy o 23 % — co musiało się z kolei odbić na zaopatrzeniu przedsiębiorstw. Równocześnie w ostatnich miesiącach minionego roku nastąpiła niespotykana lawina złotychkowych wypłat bez pokrycia, zarówno w towarach jak i w wydajności pracy.

1-2-83

Rząd PRL postanowił „przerwać wszelkie formy współpracy naukowej i kulturalnej z agencją informacyjną Stanów Zjednoczonych oraz ze wszelkimi innymi organizacjami rządowymi USA, prowadzącymi antypolską działalność”.

10-2-83

Na miejsce rozwiązanego stowarzyszenia „Klubu twórców i działaczy kultury Kuźnica” władze stworzyły ośrodek kultury „Krakowska Kuźnica”.

12-2-83

Jan Józef Lipski, jeden z 5-ciu przywódców KOR-u, został zwolniony ze szpitala i znajduje się w domu. W listopadzie ub. roku odroczone bezterminowo proces przeciwko Lipskiemu.

ZACHÓD — EMIGRACJA

29-12-82

Zmarł w Londynie w wieku 89 lat płk Roman Umiastowski. ■ Zmarł w Londynie w wieku 73 lat Wacław Zagórski, żołnierz A.K., pisarz, dziennikarz i wieloletni redaktor *Tygodnia Polskiego*.

1-1-83

W czasie obrad dyrekcji Kongresu Polonii Amerykańskiej dokonano wyboru nowych władz. Zarząd Główny składa się z prezesa — Alojzego Mazewskiego, prezesa Związku Narodowego Polskiego, wiceprezesów Kazimierza Łukomskiego oraz Heleny Zielińskiej, prezesa Związku Polek; sekretarką generała została Jadwiga Bielańska, dyrektorka Związku Sokolstwa Polskiego; skarbnikiem — Józef Drobot, prezes Zjednoczenia Polskiego.

11-1-83

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się wieczór Krzysztofa Zanussiego.

15-1-83

Nagrodę teatralną londyńskiego *Dziennika Polskiego* otrzymała Helena Kaut-Howson oraz pp. Edward Chudzyński i Jan Pęski, prowadzący kabaret literacki P.H.

17-1-83

W czerwcu br. odbędzie się w Paryżu III Walny Zjazd „Klubu Korab International”. Klub ten jest organizacją zrzeszającą Polaków inżynierów budowy okrętów oraz ekonomistów z transportu morskiego, którzy osiedlili się na stałe na Zachodzie. Siedzibą Klubu jest POSK w Londynie (238-240 King Street, London, W6 0RF, Wielka Brytania). ■ W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbyło się zebranie dyskusyjne Towarzystwa Historyczno-Literackiego z odczytem Mieczysława Jurkiewicza pt. „Droga do militarnego i gospodarczego ujarznienia Narodu”.

18-1-83

Zmarł w Londynie w wieku 84 lat Stanisław Kirkor, b. dyrektor Dept. Obrótu Pieniężnego w Ministerstwie Skarbu R.P., b. doradca finansowy w Libii a później w Etiopii (z ramienia ONZ). Z zamiłowania historyk, wydał szereg prac, głównie z epoki napoleońskiej.

20-1-83

Zmarła w Chicago Nina Oleńska, znakomita aktorka, znana od czasów Drugiego Korpusu jako „Ochotniczka Helenka”. ■ Zmarł we Francji w wieku 86 lat ks. Włodzimierz Cieński, kapłan Archidiecezji Lwowskiej, naczelnny kapelan Związku Walki Zbrojnej (ZWZ), więzień Łubianki, b. wikariusz generalny Drugiego Korpusu.

22-1-83

Droit de Réponse — jeden z najżywszych (a więc kontrowersyjnych) programów telewizji francuskiej, poświęcony tym razem sztuce — Michel Polac (jego redaktor) rozpoczął pokazując francuskie wydanie „Oka” Józefa Czap-skiego i oświadczył, że jest to najlepsza książka o malarstwie, jaką kiedykolwiek przeczytał: „Świadectwo miłości sztuki, mądre, oparte na doświadczeniu, napisane przy tym pięknym językiem”.

24-1-83

Polskie Towarzystwo Naukowe w Londynie zorganizowało wieczór dyskusyjny pt. „Jak intelektualisci na emigracji mogą pomóc Krajowi”. Dyskusję obszernie zajął prof. Tymon Terlecki, konkretyzując temat w projekcie Polskiej Unii Intelektualnej w Świecie. Przewodniczył prof. E. Szczepanik.

26-1-83

Zmarł w Rzymie w wieku 91 lat Jan Gawroński, pisarz i historyk. Przed wojną był posłem R.P. w Wiedniu.

29-1-83

Korespondent Polskiej Agencji Prasowej w USA, Stanisław Głabiński, został wydany ze Stanów Zjednoczonych na polecenie Departamentu Stanu. O działalności p. Głabińskiego pisał w swoim czasie w *Kulturze* Zdzisław Bau.

31-1-83

Austriacka nagroda państwa z dziedziny literatury europejskiej na rok 1982 została przyznana Tadeuszowi Różewiczowi za wybitne osiągnięcia twórcze oraz z uwagi na uniwersalny charakter jego piśmiennictwa.

1-2-83

American Relief Abroad rozsyła dwujęzyczne zawiadomienie: „Zawiadamiamy uprzejmie, że Państwowy Urząd Celny wydał zarządzenie zabraniające przesyłania w paczkach własnego opakowania: czasopism, gazet, pism, książek i ulotek drukowanych w Stanach Zjednoczonych, a także farby drukarskiej i czystego papieru. Nieprzestrzeganie niniejszego zarządzenia grozi pociągnięciem do odpowiedzialności odbiorcy paczek w Polsce”.

4-2-83

Zmarł w Londynie w wieku 90 lat gen. Tadeusz Machalski, wieloletni attaché wojskowy, autor kilku książek o charakterze wspomnieniowo-politycznym.

4-2-83

Zmarł w Warszawie w wieku lat 80 Julian Godlewski, stale zamieszkały w Szwajcarii. Przed wojną był sekretarzem. W. Jaroszewicza, Komisarza Rządu na m.st. Warszawę. W okresie powojennym stał się finansistą związanym z koncernem Thyssena. Była mecenasem na dużą skalę, fundował stypendia (m.in. ufundował dwie nagrody imienia swojej Matki), przyczynił się do odrodzenia Muzeum Polskiego w Rapperswilu, ofiarował Wawelowi i odbudowanemu Zamkowi Królewskiemu w Warszawie szereg bardzo cennych poloników.

10-2-83

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się odczyt ks. prof. Janusza Pasierba pt. „Obraz Jasnogórski — symbol kultu i kultury polskiej”. Ponadto w Centre du Dialogue na 25 lutego br. zapowiedziany jest odczyt Zbigniewa Rapackiego pt. „Normy polskiej racji stanu w świetle dawniejszych i bliższych doświadczeń”, a na 4 marca — wieczór autorski Julii Hartwig i Artura Międzyrzeckiego. Niezależnie od odczytów Centre du Dialogue oraz duszpasterstwo studentów polskich w Paryżu organizują w dniach 11-13 lutego br. trzydniowe rekolekcje.

14-2-83

Zmarł w Londynie w wieku lat 84 Mieczysław Chmielewski, adwokat, znany działacz społeczny i polityczny.

KRONIKA AUSTRIACKA

Sprawy gospodarcze: tegoroczna nadwyżka zboża w Austrii wyniosła 630.000 t, z czego 300.000 t pszenicy i 170.000 t zbóż pastewnych sprzedano krajom Europy Wschodniej. Również delegacja PRL prowadziła pertraktacje w sprawie zakupu w Austrii 117.000 t zbóż, transakcja ta nie doszła jednak do skutku ze względu na nieuzgodnienie ceny. ■ W 1983 roku PRL wyeksportuje do Austrii 1 mln t węgla i 200 do 250 tys. t koksu. ■ W porównaniu z rokiem 1981 eksport austriacki do Polski spadł o 30 %. Transakcje są obecnie regulowane w gotówce bądź też na zasadzie wymiany towarowej. ■ Delegacja Zjednoczonych Zakładów Przeróbki Stali Szlachetnej (VÖEST) z dyrektorem generalnym Apfalterem na czele prowadziła w Warszawie rozmowy na temat dalszej wymiany towarowej. Władze PRL zawarły z VÖEST trzyletni kontrakt na przewóz skandynawskiej rudy żelaza do Austrii. ■ Na początku grudnia w Austrii było 127.000 (4,5 %) zarejestrowanych bezrobotnych. W związku z pogarszającą się sytuacją gospodarczą aż 70 % ankietowanych Austriaków opowiedziało się za odesłaniem robotników cudzoziemskich. Przed czterema laty taki pogląd wyrażało 39 % ankietowanych. ■ Austriacki komitet pomocy Polakom ma się zająć integracją uchodźców, którzy chcą, bądź też są zmuszeni, pozostać w Austrii. Planuje się przekształcenie działającego we Wiedniu od grudnia 1981 centrum doraźnej pomocy w centrum integracyjne i zatrudnianie Polaków z azylem lub bez na prawach robotników cudzoziemskich na stanowiskach pracy nie cieszących się zainteresowaniem obywateli austriackich. Liczbę Polaków poszukujących pracy Komitet Pomocy Polakom ocenia na 4-6 tys. osób. Pod koniec grudnia w obozach uchodźców na terenie Austrii przebywało 8.375 uchodźców (4.354 Polaków). W 1982 roku wyemigrowało z Austrii ok. 20.000 Polaków, a wydatki na utrzymanie, kwatery i pomoc dla uchodźców wyniosły 1,5 mld szylingów. ■ Minister Spraw Wewnętrznych E. Lanc odpowiedział odmownie na wniosek partii opozycyjnej (ÖVP) domagający się zniesienia obowiązku posiadania wizy dla obywateli polskich, uzasadniając swoje stanowisko niejasną sytuacją polityczną panującą w Polsce. ■ Z dniem 20 stycznia 1983 Związek Polaków w Austrii zgłosił swoje oficjalne przystąpienie do Rady Koordynacyjnej Polskich Organizacji Niepodległościowych w Austrii. ■ Znana dziennikarka austriackiego radia i TV Barbara Coudenhove-Kalergi, która od lat specjalizuje się w sprawach polskich otrzymała zakaz wjazdu do PRL. Attaché prasowy ambasady PRL Ryszard Nosek uzasadnił tę restrykcję reakcją władz na całokształt działalności sprawozdawczej, która jakoby nie sprzyja pogłębieniu

przyjaźni między narodami. Ambasada Austrii w Warszawie próbowała złożyć oficjalny protest w polskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych, które odmówiło przyjęcia pisma. Telegramy protestacyjne dyrektora generalnego i rady redakcyjnej austriackiego radia i telewizji pozostały bez odpowiedzi. Sama Pani Coudenhove-Kalergi przypuszcza, że władze PRL chcą się pozbyć tych dziennikarzy zagranicznych, którzy dłużej już przebywają w Polsce, mają ponawiane kontakty i dobrze znają tamtejsze stosunki. Barbara Coudenhove-Kalergi otrzymała w 1981 roku nagrodę Rennera za całokształt swojej „polskiej” publicystyki. Nagroda ta jest przyznawana przez Związek dziennikarzy austriackich za wybitne osiągnięcia żurnalistyczne. Nie jest to pierwsza restrykcja w stosunku do dziennikarzy dostała odmowę wizy bądź też zostało wydalonych z Polski. ■ 31 stycznia odbyła się we Wiedniu konferencja prasowa Mieczysława Tarnowskiego, zastępcy przewodniczącego „Solidarności” w województwie wałbrzyskim, który w momencie ogłoszenia stanu wojennego przebywał z oficjalną delegacją związkowców w Szwajcarii. W minionym roku brał on udział w wielu akcjach pomocy Polsce organizowanych przez szwajcarskie związki zawodowe. Obecnie zdecydował się na powrót do Kraju, bynajmniej nie dlatego, że pochwała normalizację w jarmuzskim wydaniu, ale dlatego by tam, wśród robotników, którzy w wolnych wyborach powierzyli mu funkcję organizacyjną, działać na rzecz Solidarności. ■ Austriacki Czerwony Krzyż wysłał do Polski dobra wartości 22 mln szyl. ■ Organizacja Caritas wysłała tygodniowo dwa konwoje ciężarówek do Polski. W ciągu ostatnich dwóch lat przewiozły one 7.420 t żywności wartości 104 mln szyl. do siedmiu diecezji. Od stycznia uruchomiono nowy punkt zbiórki odzieży i obuwi (1010 Wiedeń, Tiefer Graben 23, godz. 8.00-18.00). Ponadto projektowana jest na wielką skalę pomoc rolnikom indywidualnym w postaci przesyłki maszyn rolniczych i ziarna siewnego. ■ Wiedeński SPK prowadzi już od paru miesięcy akcję wysyłania paczek rodzinom więzionych i prześladowanych.

REDACUJE ZESPÓŁ

KRONIKA KANADYJSKA

Pierwsza większa impreza publiczna zorganizowana przez kanadyjski oddział Komitetu Europejskich Narodów Ujarzmionych wspólnie z Biurem Informacyjnym „Solidarności” w Kanadzie odbyła się w Toronto 11 grudnia. W sali konferencyjnej Rady Miejskiej odbyła się sesja poświęcona problemom narodów i państw, które znajdują się w kleszczach systemu sowieckiego. ■ W Ottawie zmarł nagle 24 grudnia 1982 roku przeżywszy 78 lat znany i wysoko ceniony inżynier-mechanik ze specjalnością lotniczą Eryk Kosko. Był wybitnym naukowcem, ogłosił szereg prac specjalistycznych, był wykładowcą na kilku wyższych uczelniach i konsultantem. Pracę zawodową rozpoczął w Warszawie w Instytucie Badań Lotnictwa. Do Kanady przybył w 1941 roku, gdzie zatrudniony został w przemyśle lotniczym. W 1959 roku został zaangażowany do wydziału konstrukcji lotniczych National Research Council. Obok prac specjalistycznych napisał zarys dziejów Stowarzyszenia Techników Polskich w Kanadzie, zawierający imienny spis polskich inżynierów. ■ Dnia 14 stycznia br. zmarł w Ottawie w wieku lat 59 dr Tadeusz Krukowski, profesor literatury polskiej na Uniwersytecie Ottawskim, prezes Towarzystwa Przyjaciół KUL-u w Kanadzie. Należał do najmłodszych wiekiem żołnierzy Drugiego Korpusu, a po demobilizacji w Wielkiej Brytanii wyemigrował do Kanady. Brał czynny udział w życiu Polonii, opiekował się

polskimi studentami w Ottawie, a w ostatnich latach skupił się na akcjach na rzecz KUL-u. ■ W Toronto zmarł 21 stycznia br. w wieku lat 56 inżynier architekt Zygmunt Nowak, poeta, grafik i artysta-malarz. Projektował szereg nowoczesnych budynków szkolnych i domów mieszkalnych w Ottawie. W Toronto pracował nad projektem kościoła pod wezwaniem św. Maksymiliana Kolbego. ■ Kanadyjska rozgłośnia państwowa Canadian Broadcasting Corporation skróciła z dniem 13 grudnia ub.r. serwis w języku polskim, nadawany codziennie w ramach programu Radio Canada International. Wywołało to protest kilku profesorów Uniwersytetu Ottawskiego. CBC zdaje się wychodzić z założenia, że serwis rozszerzony przed rokiem po ogłoszeniu stanu wojennego stał się zbędny w obecnej sytuacji, szczególnie kiedy rząd nakazał oszczędności finansowe. ■ Centrala Kanadyjskich Związków Zawodowych, która zatrudniała p. Zygmunta Przetakiewicza, prezesa Biura Informacyjnego „Solidarności” w Kanadzie, zwolniła go z pracy w końcu grudnia 1982 roku. Pomoc dla „Solidarności” Centrala Związków Zawodowych będzie kierowała do Brukseli, gdzie mieści się główne biuro Federacji Związków Zawodowych. ■ Dr Bohdan Budurowicz, profesor wydziału slawistycznego University of Toronto, autor znanego dzieła historycznego o stosunkach polsko-sowieckich, wygłosił 10 lutego publiczną prelekcję pt. „Polska a problem ukraiński w latach 1918-1939”. Jego obiektywny referat wywołał żywą dyskusję. Prelegent wszechstronnie naświetlił problem, posługując się źródłowym materiałem, w tym doniesieniami prasy. ■ Uniwersytet Western Ontario w London rozpoczął serię sześciu wieczorowych prelekcji pod tytułem: *The Polish Spirit: the Pervasive Reality*. Prelekcje rozpoczęły się 8 lutego i trwać będą do 15 marca. Odbývają się we wtorki wieczorem. Niezależnie od prelekcji wyświetlony będzie film Andrzeja Wajdy „Popiół i diament”. ■ Wydziały socjologiczne 4-ch wyższych uczelni w Toronto zorganizowały seminarium, na którym referaty wygłosili zaproszeni z Polski profesorowie PAN-u: Edmund Wnuk-Lipiński i Edmund Mokrzycki. Seminarium odbyło się 28 stycznia na terenie Glendon College. Tytuły wykładów w języku angielskim: prof. Lipiński: „*Crisis and conflicts in Poland: Tentative sociological interpretation*”; prof. Mokrzycki: „*Sociology and society in Poland: A case study in the sociology of sociology*”. ■ W Edmonton zmarł 4 stycznia przeżywszy lat 84 płk Tadeusz Walkowski, czynny działacz społeczny Polonii Kanadyjskiej. Był jednym z organizatorów, a później prezesem okręgu Alberta Kongresu Polonii Kanadyjskiej i założycielem Credit Union. Opiekował się młodzieżą akademicką, Stowarzyszeniem Studentów, prowadził umiejętnie akcje propagandy kultury polskiej. ■ Polish-Canadian Action Group w Toronto zwołała na 20 lutego konferencję na temat „Stanowisko partii politycznych w sprawie wydarzeń w Polsce”, na którą zaproszeni zostali różni przedstawiciele stronnictw politycznych. Zebranie prowadził dr Jan Fedorowicz, historyk, syn imigrantów, przedstawiciel pokolenia urodzonego w Kanadzie. Jan Fedorowicz bierze czynny udział w akcjach na rzecz Solidarności. Tego samego 20 lutego odbędzie się identyczna konferencja w Montrealu, której przewodniczyć będzie Wilhelm Siemiński z Kongresu Polonii Kanadyjskiej.

Benedykt HEYDENKORN

KOMUNIKAT UNIwersytet POLonii Świata

Rada Koordynacyjna Polonii Wolnego Świata przy współpracy kierownictwa Domu Polskiego Jana Pawła II w Rzymie organizuje pierwszy semestr uniwersytetu letniego Polonii Świata, który odbędzie się w Domu Polskim Jana Pawła II, 1200 via Cassia, Roma, Italia.

Wykładowcami będą głównie naukowcy polscy i polskiego pochodzenia. Słuchaczami będą studenci pochodzenia polskiego z całego świata.

Ramowy Program

1. Przewodnie myśli pontyfikatu Jana Pawła II.
2. POLSKA: Klucze do historii. Kultura i język. Problemy współczesności.
3. Polonijna Wspólnota Światowa. (Polska w świecie).
 - a) Spotkania pokoleń i wymiana doświadczeń. Wkład w kulturę światową.
 - b) Organizacja Polonii Światowej.

Organizacja

- 50 godzin wykładów. Dyskusje okrągłego stołu oraz projekcje filmów. Zwiedzanie Rzymu. Wycieczki do Asyżu, Florencji itd.
- Językiem roboczym będzie język polski, językami pomocniczymi zaś francuski, angielski i włoski.

Zgłoszenia

- Przesyłać na adres:
Prof. Henri Adamczewski
Secrétariat de L'Université d'Été
Bibliothèque Polonaise
6 Quai d'Orléans
75004 PARIS, FRANCE.
- Zgłoszenia powyższe należy przysyłać poprzez polonijne organizacje centralne krajów zamieszkania (np. Kongres Polonii Amerykańskiej, Kongres Polonii Kanadyjskiej, Zjednoczenie Polskie Wielkiej Brytanii itp.).
- W przypadku braku organizacji centralnej należy wysłać zgłoszenie na adres komitetu organizacyjnego, jak wyżej.
- Termin zgłoszeń: do 31 maja 1983 roku.

Warunki przyjęcia

Słuchaczami semestru letniego Uniwersytetu Polonii Świata mogą być osoby pochodzenia polskiego obojga płci, aktywnie zaangażowane w pracach polonijnych, zgłoszone przez centralne organizacje polonijne danego kraju, a które odpowiadają następującym warunkom:

1. Kandydat (kandydatka) musi posiadać dostateczną znajomość języka polskiego umożliwiającą mu słuchanie i rozumienie wykładów w języku polskim.
2. Kandydat (kandydatka) musi być w wieku 21-32 lat, w zasadzie kończący wyższe studia (lub absolwent), względnie młody pracownik społeczny. Wyjątki są dopuszczalne za wyraźną zgodą komitetu organizacyjnego.
3. Koszt za całość kursu, włączając w to mieszkanie, utrzymanie i wycieczki wynosi \$ 300,00 US. Koszty przejazdu do Rzymu i z powrotem pokrywają uczestnicy względnie organizacje ich wysyłające. Organizacje nominujące (wysyłające) kandydatów na kurs powinny w zasadzie pokryć całość kosztów. Wszelkie wpłaty dokonywane być mają na adres komitetu organizacyjnego w Paryżu.

Humor krajowy

Szuka się kontaktu — a znajduje się wtyczkę.



Największe szczęście: życie w socjalizmie, a największy pech: to mieć to szczęście.

PYTANIA I ODPOWIEDZI:

- Jaka będzie nazwa nowych Związków Zawodowych?
- NSDAP (Niezależne, Samorządne, Demokratyczne, ale Partyjne).

- Mam sznur i sąsiada komunistę. Co robić?
- Cześć...

- Jaka jest różnica pomiędzy demokracją a demokracją socjalistyczną?
- Taka sama jak między krzesłem a krzesłem elektrycznym...



Generał Jaruzelski zaproszony do Moskwy na rozmowy wziął udział w wytwornym obiedzie. Najpierw podano przeróżne zakąski i wódkę, potem niezwykle smakowite danie które nosiło nazwę „Móźdzki małpie”, następnie, ryby, mięsa i desery, nie mówiąc o winach i szampanie. Generała specjalnie zainteresowały „móźdzki małpie”, toteż kiedy w niedługim czasie rosyjscy dygnitarze przyjechali do Warszawy z rewizytą postanowili ich również odpowiednio ugościć. Wszystko było proste z wyjątkiem „małpich móźdzków”. Po długich naradach generał wybrał potrawę, którą w „menu” nazwał po polsku: „móźdzki à la ZOMO”. Kiedy jednak goście zasiadli do uczty i zjedli przygotowane zakąski czekając na zapowiedziany delikates nastąpiła dziwna przerwa: „móźdzków à la ZOMO” nie podawano. Zdenerwowany generał kazał adiutantowi pobiec do kuchni i dowiedzieć się co się stało.

Po kilku minutach adiutant wrócił błąd jak płótno i szepnął generałowi na ucho: — Panie generale, nieszczęście, wymóździli już szesnastu a starczy tylko na pół porcji! Co robić?...

Zebrała Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

KSIAŻKA O KARDYNALE WYSZYŃSKIM

Ukazała się niedawno w Paryżu, w „Editions du Dialogue”, książka Andrzeja Micewskiego pt. „Kardynał Wyszyński. Prymas i mąż stanu”, książka niezwykle cenna choćby ze względu na zgromadzony w niej chronologicznie materiał dokumentarny: wypowiedzi Kardynała, jego listy pasterskie, dokumenty Episkopatu Polski. Lektura wcześniejszej książki Micewskiego, „Współgrzdzic czy nie kłamać? Pax i Znak w Polsce 1945-1976”, nastroczała — pod kątem informacji autora na temat konkretnych postaci, bądź jego powściągliwości w mówieniu o swych własnych życiowych zaangażowaniach — pewne trudności.

Znajduję na stronach 257-258, poświęconych milenijnym obchodom w 1966 roku, taką oto informację:

„Władze państwowe, bezsilne wobec spontanicznego udziału wiernych w uroczystościach kościelnych w całej Polsce, postanowiły jak zwykle sięgnąć do dywersji politycznej. Próbowano zjednać Watykan przeciw Prymasowi Polski, delegując do Rzymu tzw. „katolików usługowych”. Jak informowało 5 lipca Radio Wolna Europa, z ramienia Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego udali się do Rzymu starszy już i nieorientowany prof. Konrad Górski z Torunia i prof. M. Wojciechowska z Poznania. Ksiądz Prymas otrzymał wiadomość, że w Watykanie zgodzono się na rozmowę z jedną z przybyłych osób”.

Nie byłam entuzjastą owej podróży prof. Górskiego do Rzymu, podobnie zresztą jak wielu jego najbliższych przyjaciół i uczniów — uważam jednak, że obok przytoczonej informacji Micewskiego obojętnie przejść nie wolno. I to nie z powodu zawartych w niej nieścisłości, których można było uniknąć, gdyby autor, wszak historyk, sięgnął nie do wersji radiowego komunikatu, ale do źródeł krajowych, np. do listu otwartego Konrada Górskiego, napisanego tuż po powrocie z Rzymu do Polski. Przekonałby się wtedy, że przebieg podróży stał się w jakimś sensie aktem moralnej dywersji i niełajności wobec samego prof. Górskiego.

Zasadniczy sprzeciw wzbudza co innego: użycie w odniesieniu do jednej z najwybitniejszych osobistości w polskim katolicyzmie ostatniego półwiecza pogardliwego określenia „tzw. katolicy usługowi”, określenia, które — wiemy o tym wszyscy — ma jednoznaczną wymowę. To prawda, Micew-

ski określenia tego nie wymyślił, znalazł je w tekście Księdza Prymasa z 1966 roku, w którym mowa jest o „katolikach usługowych Paxu i innych, którzy kręcą się po krajach zachodnich, oczyszczając p. Gomułkę, oczerniając Prymasa, któremu przypisują odpowiedzialność za sytuację Kościoła w Polsce”. Tylko że w tekście Kardynała Wyszyńskiego określeniu temu nie towarzyszą konkretne nazwiska. Towarzyszy natomiast nazwa dobrze znana autorowi książki — Pax. I dlatego nie wolno mu było tego prymasowskiego określenia personalizować. To nie w duchu Kardynała i jego postawy wobec rzymskiej podróży prof. Górskiego. Z rozmowy z Prymasem w Laskach na temat owej podróży zapamiętałem rozgoryczenie i zawód, zdziwienie, że wybitny uczony dał się wyprowadzić w pole, zaś ani słowa niewiary w to, że działał on w dobrej wierze. Podobne przekonanie wyniosłem z rozmowy w Toruniu z prałatem Casarolim, ówczesnym sekretarzem Rady do Spraw Publicznych Kościoła, a więc rzymskim rozmówcą prof. Górskiego.

Jest jeszcze drugi, może ważniejszy powód naszego zaskoczenia podczas lektury książki Micewskiego. To wszak nie prof. Górski pełnił w latach pięćdziesiątych oficjalne funkcje sekretarza w Komisji Intelktualistów i Działaczy Katolickich przy Ogólnopolskim Komitecie Obrońców Pokoju czy w przymusowym zarządzie „Caritasu” pod przewodnictwem osławionego ks. Lempartego; nie on wchodził w skład Kierownictwa Ogólnego Paxu, które nadzorowało pracę wszystkich wydziałów tego stowarzyszenia; nie on wreszcie był członkiem grupy „Dziś i Jutro”, potępionej dekretem Kongregacji Świętego Oficjum... O tym, jaka była rola tych instytucji w ówczesnej polityce władz wobec osoby Prymasa, można się dowiedzieć ze wspomnianej książki Micewskiego o Paxie i Znak. W tym samym okresie zbiorowej próby prof. Konrad Górski należał do nielicznych tej klasy uczonych, których na lata odsunięto od zajęć uniwersyteckich i kontaktów z młodzieżą.

I choćby dlatego autor książki o Prymasie zobowiązany był do szczególnego trzymania się zasady pokory i ostrożności.

Stefan FRANKIEWICZ

Rzym, 15 listopada 1982

Dnia 21 stycznia 1983.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 1-2/1983 *Kultury* ukazał się esej Czesława Miłosza pt. „Dostojewski i Sartre”. Autor cytuje opinię D. H. Lawrence’a o Dostojewskim: „Zdumiewająca przenikliwość miesza się u niego z ohydą perwersją. Nic nie jest czyste. Jego dzika miłość do Jezusa miesza się z przewrotną i jadowitą nienawiścią do Jezusa. Jego moralna odraza do diabła miesza się z utajonym uwielbieniem diabła”. Po czym Miłosz zauważa, że sława Dostojewskiego rosła równoległe do sławy Freuda i że Freud oddziaływał w pewnym okresie na recepcję dzieła pisarza. Jest rzeczywiście interesujące, jak Freud oceniał Dostojewskiego moralnie (psychologiczne rozważania tracą już dzisiaj myśzką). We wzmiankowanej przez Miłosza rozprawie Freuda o ojcostwie czytamy mianowicie na wstępie: „Najłatwiej zaatakować Dostojewskiego-moralistę. Jeśli by się chciało go ocenić wysoko jako człowieka moralnego z uzasadnieniem, że ten tylko osiąga najwyższy stopień moralności, kto najgłębiej stoczył się w grzech, to wówczas omija się pewną wątpliwość. Moralny jest ten, kto reaguje już na wew-

nętrzną pokusę, nie ulegając jej. Kto na przemian grzeszy i wzbudza w sobie żal, aby potem stawiać wysokie moralne wymagania, naraża się na zarzut, że się wygodnie urządził. Nie sprostą bowiem istotnemu warunkowi moralności, czyli rezygnacji, gdyż moralna postawa życiowa jest praktyczną potrzebą człowieczeństwa. On natomiast przypomina barbarzyńców z czasów wędrowki ludów, którzy mordują i czynią za to pokutę, i wtedy pokuta staje się wręcz techniką, umożliwiającą mordowanie. Iwan Groźny zachowuje się nie inaczej; taka ugoda z moralnością jest charakterystyczną rosyjską cechą. Także i ostateczny wynik moralnych zmagani Dostojewskiego nie przysparza mu chwały. Po najgwałtowniejszych walkach, mających pojechać rozszczenia popędów jednostki z wymaganiami wspólnoty, wycofuje się na pozycję podległości wobec autorytetów świeckich i duchownych i oddaje cześć carowi i chrześcijańskiemu Bogu, popadając w małoduszny rosyjski nacjonalizm, do czego słabsze umysły dochodziły z mniejszym trudem. Tu oto jest słaby punkt wielkiej osobowości. Dostojewski zaniedbał tego, żeby stać się nauczycielem i wyzwolicielem człowieka i stowarzyszył się z jego oprawcami; przyszłość kulturalna ludzkości mało mu będzie miała do zawdzięczenia”. — W innym miejscu jeszcze Freud powiada z przekąsem, że nie bardzo przekonany jest o religijności Dostojewskiego; rzecz miała się raczej tak, że pisarz nieustannie wahał się między wiarą a ateizmem i nigdy w sobie tego nie rozstrzygnął.

Uznając skądinąd wielki artyzm Dostojewskiego, etykę jego ocenia Freud bardzo nisko. Ze może nas dzisiaj razić jego zrównanie cara z Bogiem, to inna sprawa — może naczytał się Nietzschego, a poza tym nie zapominajmy, że Freud był zdecydowanym ateistą na modny podówczas sposób. Piszę ten list dlatego, że zaintrygowała mnie zbieżność sądu Freuda z sądem D. H. Lawrence’a; a także i z niejaką satysfakcją, ponieważ od wczesnej młodości nie lubiłem Dostojewskiego: nudził mnie i irytował jednocześnie, a wiem, że to spontanicznie złośliwa modła odbioru.

Łączę miłe pozdrowienia

Witold WIRPSZA

Stanford, California, 4 stycznia 1983.

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł Sally Boss spotkał się z ostrą krytyką profesora Schenkera w jego liście do Redakcji. Jak profesor Schenker nie wiem, kim jest Sally Boss i nie podpisałbym się pod jej sposobem argumentacji i anonimowości. Uważam jednak, że wysunięty przez nią problem udziału kultury polskiej w wykształceniu Amerykanina nie może pozostać zamkniętym poprzez zwrócenie uwagi na pozytywną działalność Uniwersytetu Yale i Central Connecticut State College.

The Polish Institute of Arts and Sciences of America zorganizował sesję poświęconą stanowi i przyszłości nauki polskiej w amerykańskich uniwersytetach, która odbyła się w Waszyngtonie 15 października 1982 roku w związku z konferencją American Association for the Advancement of Slavic Studies. Paneliści zwrócili uwagę na konieczność zbadania sytuacji nauki polskiej, niestety konkretnej metodologii podejścia do problemu nie wypracowano. A trzeba zdać sobie sprawę, jak rzeczywiście wyglądają studia polonijne na wszystkich szczeblach nauczania w Ameryce, jacy polscy autorzy, literaci i historycy, artyści i muzycy są znani szerokiemu i akademickiemu społeczeństwu w USA. Z tymi danymi można podjąć dyskusję na tematy poruszane przez p. Boss i profesora Schenkera i podać recepty

poprawy, z którymi pochopnie spieszy się Sally Boss, lub spocząć na laurach optymizmu, jak to wydaje się czynić profesor Schenker. Być może jednak, że *virtus stat in medio*, choć osobiście, obracając się w środowisku Stanford-Hoover-University of California Berkeley nie mam podstaw do optymizmu.

Z wyrazami szacunku

Wojciech ZALEWSKI

Almada, Portugalia, 23 stycznia 1983.

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze za styczeń/luty br. *Kultury* p. J. P. Horzelski w artykule „Przygodne notatki o słowach” zastanawia się nad pochodzeniem słowa kobieta — nie znajdując jednak wytłumaczenia. Tymczasem mnie pochodzenie to wydaje się proste i oczywiste. Istnieje w łacinie słowo *cubo*, *cubui*, *cubitum* — 1. leżeć, spoczywać; a) leżeć w łóżku... (Słownik Łacińsko-Polski PWN, 1973, p. 134), mające do dziś zastosowanie w terminologii medycznej w postaci *decubitus* — odleżyna.

Kobieta — pamiętajmy że wymawiana nie tylko gwarowo, ale i potocznie kubita — to *mulier cubita* — w przeciwieństwie do *virgo intacta* — to osoba płci żeńskiej przy- lub podłożona (zależnie jak kto lubi). Znaczenie to znajduje potwierdzenie w powiedzeniu, że „w noc poślubną (w teorii — w praktyce raczej wcześniej) dziewczyna zmienia się w kobietę”.

Chyba sprawa, i pochodzenie z łaciny, są jasne. Oczywiście, że w tym znaczeniu określenie kobieta sprowadza osobę płci żeńskiej do jednostronnej roli partnerki w akcie płciowym. Ale — w gruncie rzeczy — tak było przez wieki, a nawet w tej roli kobieta potrafiła mieć wpływ na bieg historii — dowód dzieje od Pięknej Heleny do pani Simpson, a niewątpliwie i przedtem.

O ile wspomniany artykuł nie rozwiązał prostej — moim zdaniem — kwestii pochodzenia słowa kobieta, to jednak zawiera historyczną rewelację — której zasługę autor artykułu winien dzielić z korektorem *Kultury* — ujawniając, że Bona Sforza przybyła do Polski, by poślubić Zygmunta Wazę (str. 183). A ja dotąd myślałem, że królowa Bona była babką Zygmunta Wazy! I jak tu wierzyć prof. Dworzaczkowi i jego „Genealogii”?

Łączę wyrazy prawdziwego poważania i dłoń serdecznie ściskam

Adam ZIELIŃSKI

Już kilka osób zwróciło nam uwagę na błąd w artykule p. Horzelskiego. Obciąża on nie tylko Autora, ale i nas, którzy nie zwróciliśmy nań uwagi. Przepraszamy. Red.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadac będziemy tylko w niniejszej rubryce.

E. R. Sz., *Jerozolima*. — Nie zamieścimy. Nadesłany fragment w dużym stopniu pokrywa się z fragmentem Pani wspomnień, które już w swoim czasie drukowaliśmy.

G. R., *RFN*. — Wiersze są niestety bardzo słabe, natomiast szkoda, że pisząc pamiętnik nie pomyślał Pan o ogłoszonym przez nas Konkursie.

J. P., *Melbourne*. — Listu Pana nie zamieścimy. J. J. Lipski jest w Warszawie w więzieniu, w przededniu procesu. Nie jest to najlepszy moment do dyskusowania z nim, pomijając już fakt że dyskusja na temat jego artykułu była już zamknięta.

J. P., *RFN*. — Dlaczego nazywa Pan swój tekst „opowiadaniem”? Jest to artykuł, który nie wnosi do sprawy niczego nowego.

L. M. A., *Montreal*. — W artykule D. Morawskiego nie widzimy ani złośliwości, ani nieścisłości o „Opus Dei”.

M. A., *Montreal*. — Pana listu do Redakcji nie zamieścimy, gdyż połączając pod adresem autora nie są żadnym argumentem. List Pana przesłaliśmy autorowi.

P. D., *Argentyna*. — O zachwasczeniu języka polskiego piszemy bardzo często, ale nie należy przesadzać. Przyswajanie obcych słów jest zjawiskiem normalnym. O książce Dragomira nie nie wiemy. Pana cenzurki wystawione poszczególnych osobom, pisującym w *Kulturze*, przekazujemy zainteresowanym.

Z OSTATNIEJ CHWILI

Fundacja im. Gottfrieda von Herdera (Hamburg) przyznała jedną z tegorocznych nagród Władysławowi Bartoszewskiemu, sekretarzowi generalnemu polskiego PEN-Klubu. Nagrody Fundacji im. Herdera przyznawane są naukowcom i pisarzom z krajów bloku wschodniego. (Wysokość nagrody — 20.000 DM).

WYJAŚNIENIE

Kilku czytelników zwróciło nam uwagę, że tytuł notatki „Polak” prof. Adam Schaff w numerze styczniowym *Kultury* mógłby być interpretowany jako aluzja do jego pochodzenia. Ze zdumieniem i nie bez pewnej goryczy odkrywamy, że 36 lat istnienia i działalności *Kultury* nie dla wszystkich jest dostateczną rękojmnią jej postawy. Tytuł notatki jest po prostu aluzją do narzucanej obecnie w Kraju „pronowskiej” licytacji „polskości”, w której sprawcom, obrońcom i chwalcom wojny przeciw społeczeństwu polskiemu wystawia się dyplomy honorowe „wielkich Polaków”, „dobrych Polaków”, bądź zwyczajnie „Polaków”. Profesor Schaff należy do tej trzeciej kategorii, niżej od „dobrych Polaków” Rakowskiego, Dobraczyńskiego i Urbana, jeszcze niżej od „wielkiego Polaka” Jaruzelskiego. Po wystąpieniu w telewizji austriackiej (i po artykule w *Polityce*) zostanie, być może, awansowany generalskim rozkazem dziennym do drugiej kategorii.

REDAKTOR

SPROSTOWANIE

W nekrologu zawiadamiającym o śmierci śp. Jerzego Jana PIÓRKOWSKIEGO (*Kultura* grudzień 1982, Nr 12/423) mylnie podano Jego datę urodzenia, naturalnie urodził się on 24 lipca 1910 a nie „1940”. Tak samo w tekście winno było być porucznik W.P. a nie „b. porucznik”. Za te pomyłki serdecznie przepraszamy rodzinę Zmarłego.

REDAKCJA

Dr Władysław W. Socha, Upper Grandview, N.Y. (USA), po raz 6-ty — \$ 39,00	F. 265,50
Aleksandra Stachelska, Johannesburg (Afryka Płd.), po raz 10-y	F. 340,00
Antoni Strojny, Milford, CT (USA), po raz 2-gi — \$ 8,00 ..	F. 54,40
Irena Strutyńska, Knutange Nilvange (Francja), po raz 8-my ..	F. 100,00
A. Waroczewski, Etobicoke, Ont. (Kanada), po raz 19-ty — \$ c. 52,00	F. 285,00
Wilczyński, Brooklyn, N.Y. (USA), po raz 3-ci — \$ 10,00 ..	F. 68,00
J. Wiśniewski, Monachium (RFN) — \$ c. 20,00	F. 110,00
Dr Stefan Wowczak, Isernhagen (RFN) — zamiast kwiatów na grób Rodziców prof. dr. Jana i Janiny Wowczaków, zmarłych w Poznaniu w latach 1935 i 1946	F. 342,10
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja), po raz 38-my	F. 575,00
Anonimowo z Milton, MA (USA), po raz 6-ty — \$ 23,00	F. 156,50
Beziemiennie z Baden (Szwajcaria), po raz 6-ty — Fr.s. 100,00 ..	F. 335,00
Beziemiennie z Bazylei (Szwajcaria)	F. 160,00
Beziemiennie z El Paso, TX (USA) — \$ 10,00	F. 68,00
Beziemiennie z Messel (RFN), po raz 2-gi	F. 141,34
Beziemiennie z Mediolanu, po raz 20-ty	F. 100,00
Beziemiennie z Milwaukee, WI (USA), po raz 18-ty — \$ 20,00 ..	F. 136,00
Beziemiennie z Nowego Jorku, po raz 7-my — \$ 26,00	F. 177,00
Beziemiennie z USA, po raz 24-ty	F. 5.183,00

DZIĘKUJEMY!

WPŁATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU
„ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

Anonimowo z Holandii na pomoc aresztowanym i ich rodzinom (Dopłata do sumy F. 500,00 odnotowanej w nr. styczni/luty. Dar wynosił F. 500,00. Rozumieliśmy z listu, że są to franki, ale po zainkasowaniu czeku okazało się, że były to floreny)	F. 782,22
Anonimowo z El Paso, TX (USA) — \$ 10,00	F. 68,00
Anonimowo ze Strasbourga	F. 100,00
Beziemiennie z Cheltenham (Wielka Brytania) — na pomoc dla rodzin uwięzionych w Kraju — £ 200,00	F. 2.050,00
Beziemiennie z Florydy (USA) — na pomoc dla więźniów politycznych w Polsce — \$ 20,00	F. 136,00
Beziemiennie z Kanady — na pomoc dla walczących w Kraju — \$ c. 200,00	F. 1.015,81
Beziemiennie z New Yorku — \$ 36,00	F. 245,00
Beziemiennie z Paryża	F. 400,00
Beziemiennie z RFN	F. 281,37
Beziemiennie z USA — na pomoc aresztowanym, pozbawionym pracy i ich rodzinom, dla uczczenia przyjazdu Tatę — \$ 50,00	F. 340,00
D.C., Saint-Hyacinthe, Que (Kanada)	F. 532,00
Dla uczczenia pamięci mego Męża, płk. dypl. Jerzego Zaremby, przy okazji złożenia prochów w grobie rodzinnym na Powązkach przesyłamy dla rodzin aresztowanych w Kraju — Żona Janina i córka Ewa z Hamiltonu oraz syn Andrzej z żoną z Nowego Jorku — \$ 80,00	F. 544,00

Dla uczczenia pamięci śp. dr. Eryka Kosko, zmarłego w Ottawie 24 grudnia 1982 — na pomoc dla najbardziej potrzebujących rodzin uwięzionych w kraju: — prof. Jerzy Wojciechowski, Ottawa	F. 111,17
— Andrzej i Irena Roszkowscy, Ottawa	F. 132,00
Honorarium z audycji radiowej o Polsce w Genewie — Fr.s. 137,25	F. 459,78
W. Kolaciński, Des Plaines, IL (USA) — na dożywianie głodnych dzieci — \$ 8,00	F. 54,40
Józef Kunc, Long Beach, CA — na Fundusz Samoobrony Społecznej, po raz 12-ty i 13-ty à \$ 50,00 — \$ 100,00	F. 680,00
Józef Masiewicz, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 120,00
Na apel „Konfederacji 76” — na pomoc Polskiemu Ruchowi Oporu wpłacili: W. Evans, N. Jersey — \$ 15,00, E. Bożek, Newark — \$ 10,00, E. Jaszyn, Westfield — \$ 4,00 — razem: \$ 29,00 i na tenże cel złożył w Redakcji „Listów do Polaków” Z. Tazbir, New Britain — \$ 8,00 — ogółem: \$ 37,00	F. 251,50
N.N. z Finlandii — K.Nor. 100,00	F. 90,00
Eugenia Piórkowska, New York — \$ 10,00	F. 68,00
Marian Poboreczyk, Vasteras (Szwecja)	F. 93,02
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — za miesiące styczeń i luty 1983 — \$ 200,00	F. 1.360,00
K. i K. Stysiówie, Ottawa — na pomoc dla b. więźniów obozów odosobnienia i ich rodzin	F. 220,00
Wojciech Szczygielski, Zurych — dla najbardziej potrzebujących w Kraju — Fr.s. 30,00 oraz na pomoc materialną i prawną osobom prześladowanym w Kraju i ich rodzinom — Fr.s. 30,00 — razem: Fr.s. 60,00	F. 201,00

WPŁATY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Beziemiennie z Heidelbergu (RFN)	F. 300,00
E.M., Montreuil (Francja)	F. 100,90
Henryk Czaykowski, Hamilton, Ont. (Kanada) — w hołdzie i pamięci wszystkich z „Solidarności” więzionych w niehumanitarnych warunkach. Symbolem tych ofiar jest dla mnie śp. Grażyna Kuroń — na Polskę Walczącą — \$ c. 100,00 ..	F. 550,00
Jadwiga Anna Festen, Los Angeles, CA (USA) — dla uczczenia pamięci Edwarda Festena, — na pomoc w Polsce rodzinom uwięzionych z „Solidarności” — \$ 100,00,	F. 680,00
Stefan Jachna, Parsippany, N.J. (USA) — \$ 100,00	F. 680,00
Stanisław Komorski, Binningen (Szwajcaria) — Fr.s. 30,00 ..	F. 100,50
W 30-tą rocznicę śmierci Stanisława Kendysia (5 stycznia 1953) z Klepacz (Starosiele - Białegostoku) — syn Czesław z Göteborga — K.S. 200,00	F. 184,00
Dr Z. M. W., Afryka Zachodnia — \$ 200,00	F. 1.360,00

Tereta i Józef Lewandowscy, Uppsala — na T.K.N. F. 183,32

SPROSTOWANIE

W numerze 12/423 *Kultury* odnotowując dar na nasz Fundusz nadesłany przez p. Janinę Zyndram-Kościałkowską mylnie wydrukowaliśmy „Pamięci Jana Zyndram-Kościałkowskiego zamiast „Pamięci Wacława Zyndram-Kościałkowskiego. Za tę pomyłkę najmocniej przepraszamy Panią Kościałkowską.

REDAKCJA

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 349 — ZDZISŁAW NAJDER

ILE JEST DRÓG ?

Wybór esejów społeczno-politycznych w większości publikowanych w latach 1975-1982 pod pseudonimami: SOCJUSZ, Bronisław LA-SOCKI i Marian KOWALSKI: O potrzebie programu. — Polityczne działania i programy. — Dialog z Michnikiem. — Źródła i tama. — Ile jest dróg? — Teorie, wytyczne i spory. — Polskie kwadratury koła. — Gesty i praca. — Spółka Scylla i Charybda. — Teoria i polska jedność. — Solidarność. — Myśli o programie „Solidarności”. — Rozwiązania trwałe a rozwiązania możliwe. — Autoperswazja jako reakcja na intelektualistów na przemoc. — Przy zasadach stojmy.

Str. 196.

Cena F. 60,00.

TOM 352 — KONSTANTY JELEŃSKI

ZBIEGI OKOLICZNOŚCI

Zbiór esejów znanego krytyka, tłumacza poezji polskiej, wybitnego znawcy problemów współczesnych.

Część I — ZBIEGI OKOLICZNOŚCI;

Część II — O PRZECZYTANYM I PRZEŻYTYM.

Str. 424.

Cena F. 120,00.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 1^{er} trimestre 1983.

Imprimé en France

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (3) 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
ARGENTYNA: « Liberia Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000 Tel. 29 1248	\$ A. 4,50	\$ A. 26,00	\$ A. 48,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, wien I, Schöniasterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14. Tel. 52-40-762	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
BELGIA: Maria Rondomanska, 132, Avenue Coghén, 1180 Bruxelles. Tel.: (2) 345 08 25. Konto 310. 0334324. 51 w Banque de Bruxelles	F.B. 300,00	F.B. 1300,00	F.B. 2500,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie czeków do administracji « Kultury »	\$ US 5,00 F. 33,00	\$ US 28,00 F. 175,00	\$ US 52,00 F. 340,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 33,00	Fl h 70 00	Fl h 130,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wiellingeniaan 6, Vliessen. Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel. 621311	\$ Can. 6,00 DM 12,00 F. 33,00	\$ Can. 35,00 DM 60,00 F. 175,00	\$ Can. 60,00 DM 110,00 F. 340,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 2851287 Ottawa. St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszczański, 90 Hillard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen St. W Toronto 145 Ont. Polish Alliance Presse, Ltd. « Zwiastkowiec », 1636 Blood St., w., Toronto, Ont. M6P 1A7	F.S. 10,00 F. 33,00	F.S. 60,00 F. 175,00	F.S. 100,00 F. 340,00
NIEMCY: St. Mikicluk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.			
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss. ...			
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431			
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 3. Stockholm. Tel. (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34-6.			
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel. 475-8886; Ada Dziwanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego, Cal. 92104. Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725 - 17th St., N.W. Washington D.C. 20009; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich. 48234; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, Il. 60617. Tel. (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real Palo Alto, Cal. 94306. Tel. (415) 327-5590 & 851-0748; Ksiebarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38-th Street, New York, N.Y., 10018. Tel. (212) 354-0492	\$ US 5,00 F. 33,00 F. 33,00	\$ US 28,00 F. 175,00 F. 175,00	\$ US 52,00 F. 340,00 F. 340,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel. (01) 370 2210			
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel. 75167-241			

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.340; półroczna — F.175.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 3,50.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 369 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

Zawiera m.in. opracowania: H. Józewskiego — *Zamiast pamiętnika (Rosja)*; J. Szygowskiego — *Konferencja państw bałtyckich w Bulduri (Ryga) w roku 1920*; L. A. B. Kliszewicza — *Placówka łączności w Jugosławii w czasie ostatniej wojny*; *Głosy zza muru cz. II*; M. Budnego — *Wspomnienia niefraszolowe* oraz działy: RECENZJE, OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 60,00.

◆
TOM 370 — CZESŁAW MIŁOSZ

ŚWIADECTWO POEZJI

(Sześć wykładów o dotkliwościach naszego wieku)

Str. 96.

Cena F. 40,00.

◆
TOM 371 — STANISŁAW SWIANIEWICZ

W CIENIU KATYNIA

(Wznowienie foto-offsetowe)

Str. 360.

Cena F. 65,00.

◆
TOM 372 — WOJCIECH KARPIŃSKI

AMERYKANSKIE CIENIE

O Ameryce, „Solidarności”, sztuce i literaturze

Str.

Cena F. 65,00.